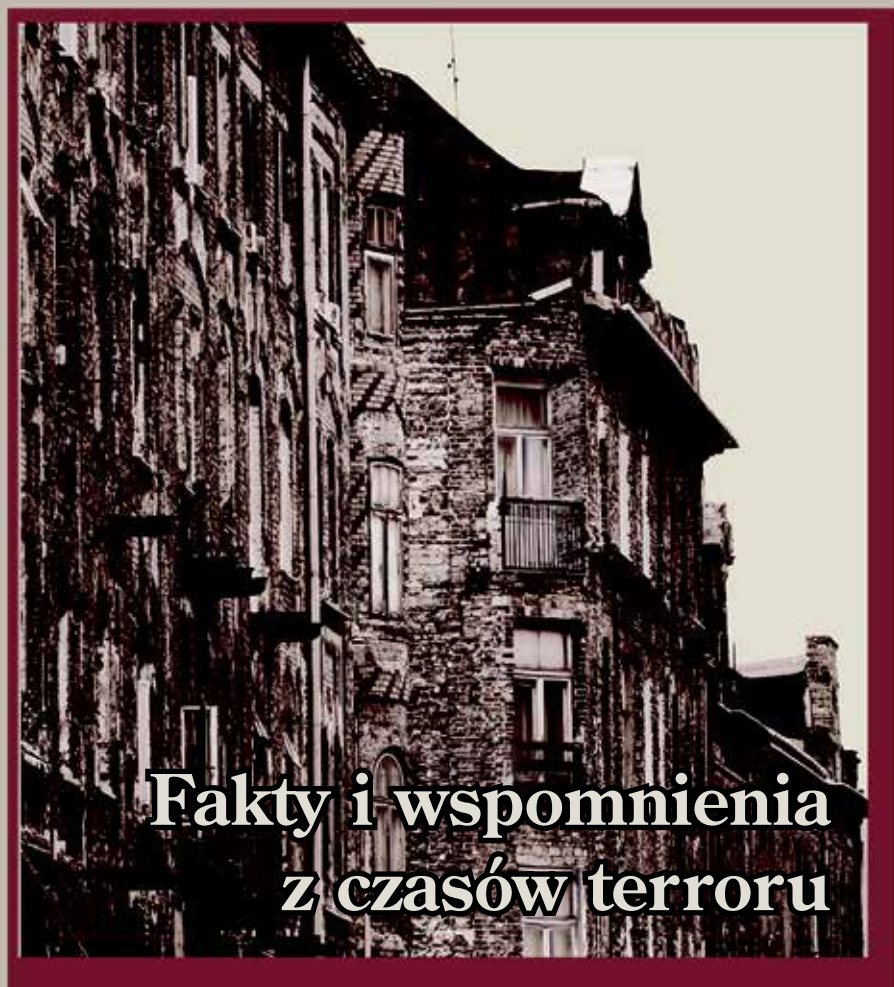


Warszawska Praga w latach 1939-1945



**Fakty i wspomnienia
z czasów terroru**



Fundacja
HEREDITAS

Relacja pułkownika
A. W. Żurowskiego na płycie

DVD

Warszawska Praga w latach 1939-1945

**Fakty i wspomnienia
z czasów terroru**

Warszawska Praga w latach 1939-1945

Fakty i wspomnienia z czasów terroru

*Hubert Kossowski
Władysław Janczewski
Tadeusz Kulbicki*



Fundacja
HEREDITAS

Warszawa 2008

Redakcja

Anna Drzewiecka-Banaszak

*Mennica Państwowa – oczami jej mieszkańca i pracownika
w latach 1939–1944*

Katarzyna Komar-Michalczyk

Przedmoście praskie w latach 1939-1945

Szkola pośród nocy



WARSZAWA

Tytuł dotowany

przez Miasto Stołeczne Warszawa

Partnerzy:



Polskie Centrum
Edukacji



**MENNICA
POLSKA**

ISTNIEJE OD 1766 R.

© Copyright by Fundacja Hereditas, 2008

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-927791-0-0

Projekt okładki, opracowanie graficzne,
skład i łamanie:

Magdalena Barańska

Druk i oprawa:

Agencja Reklamowa MAGA

www.maga.pl

Fot. na okładce:

Dominik Jagiełło

Spis treści

- 7 **Wstęp**
 Leszek Żebrowski
 Mieczysław Wojdyga
- 13 **Przedmoście praskie w latach 1939-1945**
 Hubert Kossowski
- 83 **Szkoła pośród nocy**
 Władysław Janczewski
- 169 **Mennica Państwowa – oczami jej mieszkańca
i pracownika w latach 1939–1944**
 Tadeusz Kulbicki

Wstep

Mimo wielu lat badań historia warszawskiej Pragi nadal nie jest dobrze znana. Dotyczy to szczególnie okresu wojny i okupacji, albowiem badacze koncentrowali się na ogół na śródmieściu lub całej stolicy. W okresie powojennym – aż po 1989 rok – zaważyły na tym także względy polityczno-ideologiczne. Warszawska Praga traktowana była jako dzielnica wybitnie „robotnicza”, powinna być zatem mocną bazą podziemia komunistycznego (PPR i GL-AL). Było jednak całkiem przeciwnie i dlatego ten wstydlivy „problem” traktowano w Polsce Ludowej marginalnie.

Konspiracja niepodległościowa (Armia Krajowa i inne organizacje) na Pradze była szeroko rozwinięta i nie mniej aktywna, niż w innych dzielnicach. Nie jest jednak do dziś dokładnie opisana, choć cały czas ujawniane są nowe, nieznane przedtem źródła, przybywa wspomnień i relacji. Czas już więc najwyższy na opracowanie nowej, pełnej i wyczerpującej wszystkie dostępne możliwości źródłowe monografii Pragi – jako ważnej dzielnicy bohaterskiej Stolicy, jako obwo-du ZWZ-AK, jako terenu działania innych organizacji niepodległościowych (i ich wkładu w walkę z okupantem). Taka monografia powinna też uwzględniać nową wiedzę o terenach podwarszawskich od strony wschodniej, integralnie związanych z Pragą, i tym, co się wówczas tam działo (Legionowo, Marki, Rembertów, Otwock). Mam nadzieję, że publikacja, którą dziś oddajemy Czytelnikowi do rąk, spełni, choć w zarysie, te postulaty.

Ważne zagadnienie stanowi funkcjonowanie struktur cywilnych Polski Podziemnej na Pradze. O tym najmniej wiadomo, a przecież celem ich istnienia była ochrona ludności cywilnej przed represjami, dokumentacja popełnianych zbrodni, miejsc straceń. Ponadto w ramach Polskiego Państwa Podziemnego istniało tajne nauczanie, funkcjonowała podziemna administracja państwowa z różnymi służbami podległymi (struktury bezpieczeństwa, aparat sądowniczy itp.), której celem było natychmiastowe ujawnienie się w okresie powstania powszechnego i podjęcie jawnej działalności.

Szczególny nacisk w odkrywaniu tajnych kart historii należy położyć na pierwsze miesiące funkcjonowania warszawskiej Pragi po wkroczeniu Armii Czerwonej. To, co miało być „wyzwoleniem”, stało się początkiem nowej okupacji. To właśnie na Pradze, zajętej przez „sojuszników naszych sojuszników”, zainstalowano marionetkowe władze „Polski Ludowej” i ich agendy. To tu początkowo mieściły się złowrogie Urzędy Bezpieczeństwa z ich kazamatami, gdzie od początku przetrzymywano i torturowano warszawskich powstańców; tu instalowane były struktury sowieckie – NKWD i jego areszty. Praga – szczególnie w jej centralnej części – usiana jest miejscami, które obficie spłynęły krwią polskich patriotów. Nie wszystkie z tych miejsc są znane warszawiakom, nawet choćby mieszkańcom Pragi...

Integralną częścią niniejszej publikacji jest nagranie (DVD) z relacją dowódcy praskiego VI Obwodu AK, płka Antoniego Władysława Żurowskiego. 22-minutowa, przejmująca relacja bezpośredniego świadka historii, człowieka, który z racji pełnionej funkcji i emocjonalnego zaangażowania wiedział najwięcej o konspiracji, działalności i funkcjonowaniu poszczególnych służb, niech dopełni słowa skreślone piórem Autorów poszczególnych części książki.

Leszek Żebrowski

Praga – od ponad 200 lat dzielnica stołeczna, a jednak ciągle mało znana. Trochę jakby peryferyjna, gdyż taką ukształtowała ją niezbyt łaskawa dla Pragi i jej mieszkańców historia. Ma do dzisiaj swój folklor, posługuje się często własnym słownictwem, które tak pięknie opisał niezapomniany Wiech.

Kiedy dla ekspozycji pt. „Powstanie warszawskie na Pradze i losy ludności cywilnej” (zorganizowanej na terenie d. W.W.W. „Koneser”, w miesiącach lipiec–wrzesień 2007 r.) poszukiwaliśmy materiałów i ekspонатów w warszawskich muzeach, okazało się, że zarówno w Muzeum Historycznym m.st. Warszawy, jak i Muzeum Wojska Polskiego, a także w Muzeum Powstania Warszawskiego – brak ich całkowicie.

Z tym większą przyjemnością polecam Czytelnikom wspomnienia mieszkańców Pragi, wsparte w dużej mierze dokumentacją archiwalną. Autorów łączą praskie korzenie, okres okupacji niemieckiej, powstania i trudnego czasu końca II wojny światowej. Trzy autentyczne historie może choć w części przybliżą czytelnikom prawdę o Pradze i jej historii. Bo Praga to nie tylko „cwaniaczki” z bazaru i dworców, ale wielu wspaniałych ludzi, którzy tu żyli, pracowali i kształcili się. Nie zawiedli, gdy potrzebowała ich Ojczyzna i za swą postawę płacili często cenę najwyższą. W trudnych latach okupacji wrodzony spryt, odwaga, a często także humor, pomagały im żyć i przetrwać. Nie zabrakło chłopaków z Pragi na barykadach powstania warszawskiego i na wszystkich niemal frontach Europy.

Przypomnę autora najbardziej znanej piosenki powstańczej „Pałacyk Michla” – Józefa Szczepańskiego ps. „Ziutek” – dwukrotnie odznaczonego Krzyżem Walecznych, pośmiertnie awansowanego do stopnia porucznika i odznaczonego Orderem Virtuti Militari.

To także trzech braci Fedoreńków, z których pierwszy ginie jako pilot RAF-u, a pozostali dwaj ponoszą śmierć jako żołnierze Kedywu w powstaniu. Co łączyło tych młodych ludzi? Otóż wszyscy byli wychowankami praskiego gimnazjum im. Króla Władysława IV.

Wspomnieć trzeba również wspaniałe postawy nauczycieli, ich niezwykłą odwagę, patriotyzm i pracę. Dom rodzinny i nauczyciele niosący kaganek oświaty nawet w najtrudniejszych czasach, ukształtowały charakter praskiej młodzieży. Relacja śp. prof. Władysława Janczewskiego o podziemnym nauczaniu jest jeśli nie jedyną, to jedną z nielicznych zachowanych dokumentalnych opowieści z czasu okupacji. Są wśród nas już nieliczni, którzy mieli szczęście bohaterów relacji poznać osobiście lub być ich uczniami. Kiedy jedni walczyli z bronią w rękę, inni kształcili młodzież. Cena tej walki była zawsze taka sama – śmierć.

Akcja powstańcza na Pradze, trwająca od 4 do 8 dni, a także czynne wspieranie powstania w Warszawie do połowy września, znaczyło bardzo wiele w obliczu olbrzymiej dysproporcji sił, którymi dysponowali Niemcy. Dzięki rozkazowi dowódcy praskiego VI Obwodu Armii Krajowej, płka Antoniego Władysława Żurowskiego, Praga uniknęła totalnego zniszczenia i tysięcy zbędnych ofiar.

Obecnie, dzięki działającym na Pradze miłośnikom tej dzielnicy, po wielu latach izolacji i zapomnienia dzielnica zmienia się. To tu ciągle mieszka i żyje najwięcej ludzi i rodzin z prasko-warszawskim rodowodem. Materiał zawarty w książce z pewnością przybliży wiele nieznanym Czytelnikowi faktów i epizodów, niektórych zachęci – być może – do sięgnięcia po pióro i powstaną nowe, ciekawe publikacje.

Niniejsza książka będzie świadectwem, że na uznanie swojej stołeczności Praga pracowała przez pokolenia i naszej historii nie musimy się wstydzić, lecz chcemy uchronić ją od zapomnienia, a wszystkim przypomnieć, że – „Praga to też Stolica”.

*Mieczysław Wojdyga
Prezes Towarzystwa Przyjaciół Pragi*

Przedmoście praskie w latach 1939-1945

Hubert Kossowski

Przez pięć lat po klęsce wrześniowej społeczeństwo polskie budowało struktury Polskiego Państwa Podziemnego. W obliczu nieuchronnej klęski, już 17 września 1939 r., na skutek wiadomości o agresji Związku Radzieckiego na Polskę, Wódz Naczelny Rydz-Śmigły przesyła z nadgranicznej Kołomyi do oblężonej Warszawy rozkaz utworzenia zbrojnej organizacji niepodległościowej na wzór dawnej Polskiej Organizacji Wojskowej (POW). Wiadomość dociera ostatnim znajdującym się w dyspozycji samolotem bojowym, pilotowanym przez mjr. Edmunda Golia. W tym samym dniu powstaje w Warszawie zbrojna niepodległościowa organizacja konspiracyjna – Służba Zwycięstwu Polski (SZP), na czele której staje gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz. W kilka dni później, 26 września 1939 r., do walczącej i bombardowanej Warszawy dociera z Bukaresztu polski samolot PZL II/46, którego pilot przekazuje prezydentowi stolicy Stefanowi Starzyńskiemu i dowódcy obrony gen. Walerianowi Czumie uchwałę rządu RP o kontynuowaniu oporu w konspiracji oraz nominację in blanco dla gen. Tokarzewskiego. Podczas toczących się jeszcze przez dekadę walk z Niemcami i Sowietami tworzone były polskie struktury wojskowe i polityczne – od szczebla wojewódzkiego do powiatu i placówek terenowych. Jednocześnie, obok tworzonych przez SZP kompanii kadrowych i bojowych plutonów, spontanicznie powstawały na terenie okupowanego kraju liczne organizacje zbrojne. Dowództwo SZP, posiadające wyłączny kontakt z rządem RP w Paryżu, opracowało statut ramowy jednoczący wszystkie patriotyczne siły społeczne bez względu na orientację polityczną i podziały partyjne. Nawiązano rozmowy scaleniowe z PPS, SL, Stronnictwem Pracy, chadecją, Stronnictwem Narodowym i innymi organizacjami. Dnia 7 grudnia 1939 r. gen. Tokarzewski melduje do Paryża: *Stoję na czele organizacji skupiającej Polaków, odtwarzających kadry wojskowe i władze administracyjne oraz przygotowujących się do opanowania kraju w chwili załamania się Niemiec*¹.

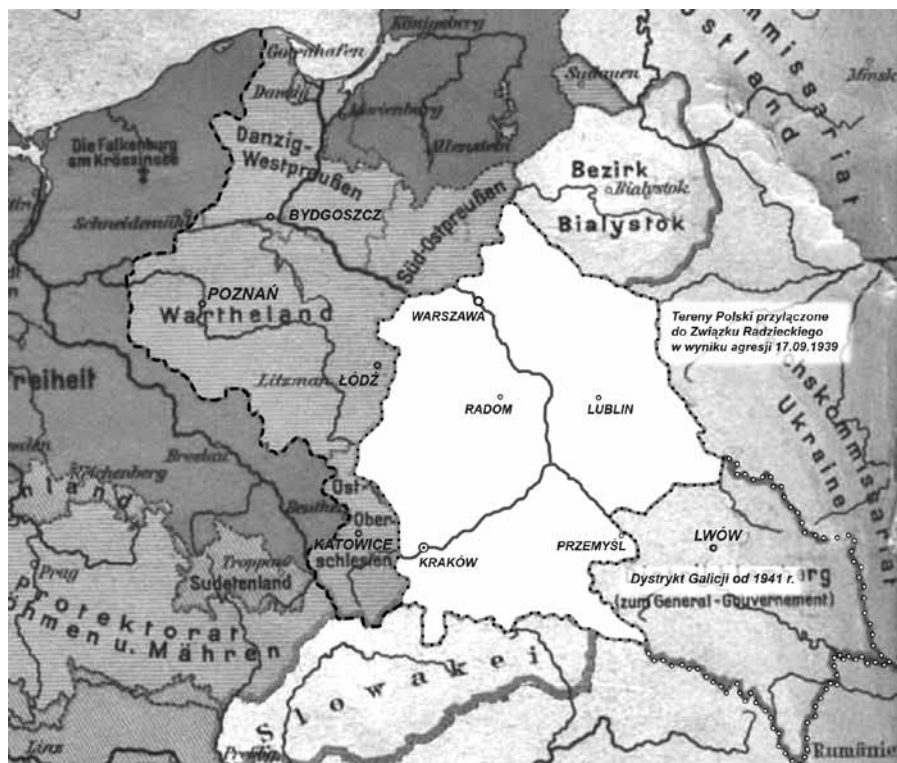
Decyzją Rządu RP, w dniu 16 stycznia 1940 r., nastąpiła zmiana nazwy Służby Zwycięstwu Polski na Związek Walki Zbrojnej (ZWZ). Dowódcą mianowano gen. Stefana „Grota” Roweckiego. Szybko ukształtował się organizacyjny podział okupowanej przez obu zaborców Rzeczypospolitej – na podległe komendom ZWZ (następnie AK) obszary: warszawski i lwowski, które dzieliły się na okręgi, obwody, rejon i placówki.

¹ J. M. Ciechanowski, *Powstanie warszawskie*, Warszawa 1989, s. 20.

W ciągu pięciu lat okupacji każdy dzień konspiracyjnej działalności realizowany był z ryzykiem życia. Taką cenę płacili organizatorzy zarówno za akcje bojowo-sabotażowe, jak i szerzenie oświaty lub kultury narodowej. Cenę tę zapłaciły dziesiątki tysięcy osób, a setki tysięcy trafiły do obozów koncentracyjnych i łagrów, zarówno na terenach okupowanych przez Rzeszę Niemiecką, jak i przez Związek Radziecki. Nie zmienił tej sytuacji akt agresji niemieckiej na ZSRR, w dniu 22 czerwca 1941 r. Dość istotnie natomiast skomplikował sytuację okupowanego narodu fakt przyłączenia do tzw. Wielkiej Rzeszy Niemieckiej rdzennie polskich terenów: Górnego Śląska, północnego Mazowsza, większej części Pomorza i Wielkopolski, Łodzi, a po 1941 r. Białostocczyzny, gdzie ustanowiono restrykcyjnie strzeżone, formalne granice.

Pozostałej po powyższym rozbiórze enklawie ziem polskich nadano nazwę Generalnej Guberni, podzielonej od 25 października 1939 r. na dystrykty: krakowski, warszawski, lubelski i radomski (od 1941 r. również lwowski). Generalnym Gubernatorem mianowany został Hans Frank. W zamiarach Rzeszy obszar ten miał stać się terenem powojennej kolonizacji, a zamieszkujących go Polaków planowano przesiedlić na wschód. Skupiona na terenie Generalnej Guberni polska ludność (ok. 17 mln) była wykorzystywana jako siła robocza i poddana rygorom zbrodniczego wojenno-policyjnego terroru.

Pomimo że formalnym centrum Generalnej Guberni miał być Kraków, to rolę ośrodka podziemnej Polski stanowiła w praktyce Warszawa, będąc równocześnie siedzibą konspiracyjnych władz ZWZ jako okręg wraz z podległymi podokręgami: Wschód, Zachód i Północne Mazowsze. Zakres niniejszej publikacji ograniczamy celowo do dwóch obwodów w okręgu warszawskim – przebieg działań wojennych frontu i rozwój akcji „Burza” oraz czas trwania powstania warszawskiego na tym terenie przebiegał w warunkach zdecydowanie odmiennych niż po lewej stronie Wisły, gdzie walki powstańcze trwały przez 63 dni. Dodatkowymi przesłankami przemawiającymi za takim wyodrębnieniem są zaistniałe na tym obszarze militarnopolityczne przyczyny oraz skutki działań, które zdecydowały o tragicznym losie akcji powstańczej, blisko dwustu tysiącach cywilnych ofiar i zniszczeniu Warszawy.



Legenda:

- - - - - zachodnie granice Polski do 1 września 1939
- granice Generalnej Guberni od października 1939 do czerwca 1945
- o o o o o granice Dystryktu Galicji przyłączone do Generalnej Guberni w wyniku agresji Niemiec w dn. 22 czerwca 1941 na Związek Radziecki
- o siedziby Dystryktów w Generalnej Guberni
- ⊙ siedziba Generalnego Gubernatorstwa

Obwód VII AK krypt. „Obroża”

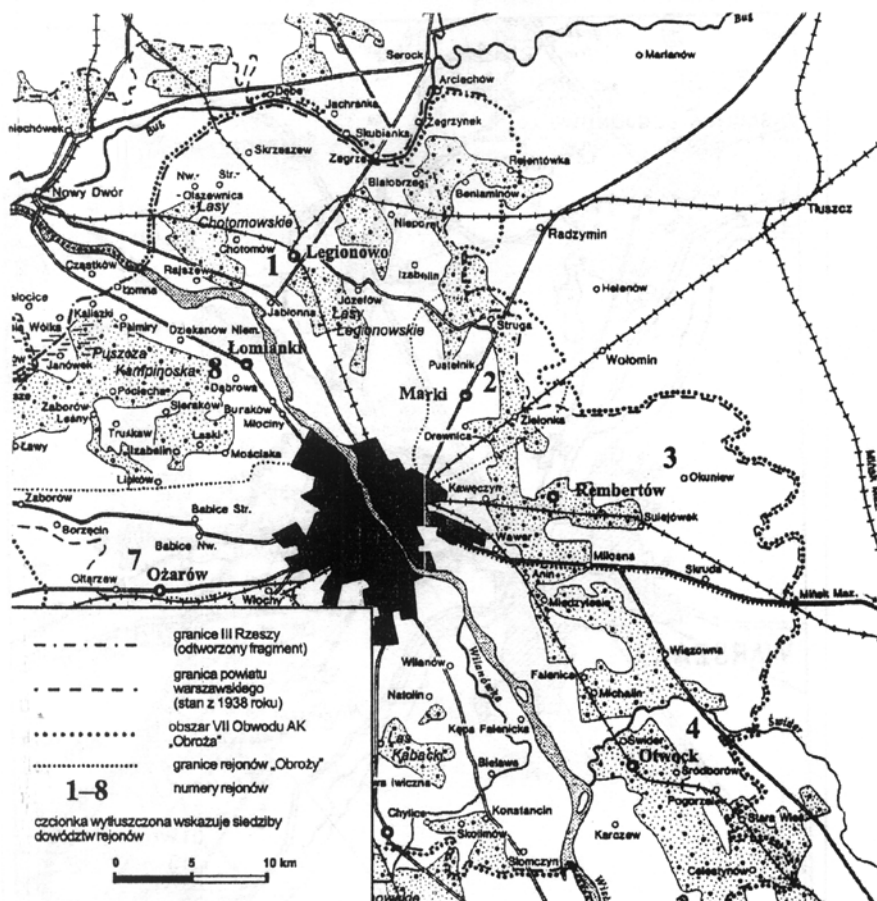
Zdarzenia te koncentrowały się w obrębie VI Obwodu, który stanowiła Praga, oraz VII Obwodu ZWZ (następnie AK) w podokręgu Wschód, krypt. „Obroża”, obejmującym na prawym brzegu Wisły cztery rejony²: Rejon 1 krypt. „Brzozów”, skupiający tereny wokół Legionowa, Rejon 2 krypt. „Celków” – okolice Marek, Rejon 3 krypt. „Dęby” – obejmujący tereny wokół Rembertowa oraz Rejon 4 krypt. „Fromczyn” – tereny wokół Otwocka. Obszary „Obroży” graniczyły od strony zachodniej z administracyjnymi granicami Pragi, od strony wschodniej z Obwodem krypt. „Rajski Ptak” z ośrodkiem w Radzyminie, natomiast od południa z Obwodem „Mewa”. We wszystkich czterech centrach „Obroży” oraz otaczających je miejscowościach już pod koniec 1939 r. powstał spontaniczny ruch angażowania się lokalnych społeczności w pracę konspiracyjną. Do prac konspiracyjnych włączali się w pierwszym rzędzie wojskowi, którzy uniknęli oflagów, harcerze, młodzież, lekarze, nauczyciele, nie brakło również kolejarzy, rolników i robotników.

Rejon 1 krypt. „Brzozów”

W Legionowie, któremu nazwa nadana została 3 maja 1919 r. w uznaniu zasług miejscowego POW i drużyn harcerskich podczas rozbrajania garnizonu niemieckiego w roku 1918, tradycja niepodległościowa była wyjątkowo silna. Miała ona swoje odbicie w obywatelskiej samoorganizacji podczas wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r. Legionowo było przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego miastem garnizonowym. W październiku 1939 r. polskie koszary zostały zajęte przez liczące 2700 żołnierzy oddziały niemieckie oraz liczny oddział żandarmerii. Jednak mimo terroru, konfidentów i volksdeutschów, patriotyzm w Legionowie przetrwał. Już w październiku 1939 r. ppor. Edward Dietrich ps. „Ralf” rozpoczął organizowanie Związku Czynu Zbrojnego, scalonego niebawem z ZWZ. Błyskawicznie zorganizowali się harcerze – również z Chotomowa (w tutejszym liceum od stycznia 1940 r. działają też harcerki, pod przewodnictwem

² Całość Obwodu VII krypt. „Obroża” obejmowała również po lewej stronie Wisły cztery rejony – od Piaseczna, poprzez Pruszków, Ożarów, aż po Łomianki – pozostające poza niniejszym opracowaniem.

OBWÓD VII ARMII KRAJOWEJ „OBROŻA”



Mapa zakreśla obszar ośmiu rejonów Obwodu VII AK tzw. „Obroża”, w tym czterech rejonów prawobrzeżnych:
1 - Legionowo, 2 - Marki, 3 - Rembertów, 4 - Otwów

zastępowej Danuty Krzesińskiej ps. „Danka”), Jabłonny, Nieporętu, Wiśniewa. Trwają szkolenia do służby łączności i sanitarnej. Młodzi harcerze składają uroczystą przysięgę „... służyć Bogu i Ojczyźnie ...”. W 1944 r. wszyscy włączają się w zadania bojowe.

Przez cały czas okupacji funkcjonowało też na tym terenie tajne nauczanie. Jeszcze jesienią 1940 r. por. Mieczysław Smerek ps. „Czcibor” organizuje, wraz z żoną Janiną ps. „Olga”, referat oświatowo-wychowawczy. Prowadzą nasłuch radiowy i wydają komunikaty (posiadanie radia grozi karą śmierci lub obozem koncentracyjnym), redagują pisma lokalne („Reduta”, „Drużyna”, „Z frontu walki cywilnej” – niektóre w nakładzie nawet 1300 egz.) i prowadzą ich kolportaż. Organizują też Kadrę Obywatelską dla tzw. zaplecza konspiracji. Por. „Czcibor” walczy od 30 lipca 1944 r. w Legionowie, a od września tegoż roku w Puszczy Kampinoskiej. Podczas bitwy pod Jaktorowem wyprowadza kompanię z okrażenia i przebiją w Góry Świętokrzyskie.

Na terenie Rejonu „Brzozów” funkcjonowało tzw. zrzutowisko, m.in. w lasach k/Beniaminowa-Zegrza. Tam odbierano nocne zrzućy z alianckich halifaksów: pojemniki z bronią, amunicję, radiostacje i skoczków, popularnie zwanych cichociemnymi. Ryzykowne akcje były silnie ubezpieczane przez lokalne oddziały. Podczas jednej z nich, rankiem z 16 na 17 czerwca 1943 r., ginie w walce z Niemcami dwóch żołnierzy AK – pchor. Stanisław Felicki ps. „Skiba” i pchor. Mieczysław Stępnowski ps. „Alf”, obaj pochowani na cmentarzu w Jabłonnie. Miejsce, gdzie zginęli – pod wsią Stanisławów – upamiętnia od 1944 r. brzozowy krzyż, a od 1957 r. – głaz z kotwicą i opisem.

W latach 1942-1944 zarówno na terenie rejonu jak i poza nim tzw. os-y (oddziały specjalne), przemianowane na oddziały Dywersji Bojowej, wykonywały liczne zadania bojowo-sabotażowe, w tym likwidacji konfidentów (np. mianowanego przez Niemców burmistrza miasta), wywiad, po zdobywanie broni. Uczestnikiem jednej z takich akcji, przeprowadzonej w maju 1944 r., był m.in. konsultant niniejszego opracowania, a wówczas młody podchorąży Jerzy Lachowicz ps. „Jurek”. Akcja odbyła się w samo południe na terenie wartowni niemieckich koszar, gdzie – jak ustalono – istniała możliwość zdobycia przez zaskoczenie trzech pistoletów maszynowych. W akcji brało udział 7 żołnierzy AK uzbrojonych w broń krótką i granaty. Dwaj AK-owcy – Jacek Szperling i „Jurek” – terroryzują wartownię i ze zdobyczą wybiegają na ulicę. Zabłąkane dziecko podnosi przypadkowy

alarm, padają pierwsze strzały. Nadjeżdża ciężarówka pełna żołnierzy Luftwaffe. Z obu stron padają serie wystrzałów i granaty. Akcja kończy się pełnym sukcesem. Nikt z siódemki śmiałków nie odniósł nawet żadnych ran. Ich zdobycz, trzy szmajsery, będą służyć im wiernie podczas powstania.

Nadchodzi ostatnia dekada lipca 1944 r. Od południa i wschodu rusza w stronę Warszawy potężny Front Białoruski. W ciągu tygodnia spycha wielokrotnie słabsze wojska niemieckie z rejonu Lublina na przedpola Pragi. Z 30 na 31 lipca jednostki sowieckie znajdują się już w Radzyminie, Strudze pod Zegrzem, nad Wisłą w Okuniewie, w Kobyłce, Miłosnej, Międzylesiu, Falenicy, Radości.

Trzy bataliony AK w Rejonie „Brzozów”, w łącznej sile ok. 2300 żołnierzy, rozpoczynają działania bojowe już 30 lipca. Walczący opanowują koszary wartownicze w Beniaminowie, uwalniając kilka tysięcy jeńców sowieckich oraz zdobywając niewielką ilość broni. 1 sierpnia powstańcy opanowali Legionowo, odpierając atak niemieckiej piechoty i czołgów, zadając im straty. Powodzeniem zakończyła się również akcja blokady linii kolejowej. Wykolejono pociąg wojskowy nadjeżdżający od strony Nowego Dworu. Przewaga Niemców wzmocnionych odsieczą, zmusiła powstańców do odwrotu po kilkugodzinnej bitwie. Pomimo strat (jeden poległy i kilku rannych), polscy żołnierze zdobyli sprzęt stanowiący wyposażenie szpitala polowego, medykamenty i amunicję. Przez trzy dni linia kolejowa była nieczynna, co uniemożliwiało transport wojskowy na linii Modlin–Praga.

Dnia 2 sierpnia Niemcy atakują od strony Chotomowa z pomocą piechoty i broni pancernej, lecz wdzierają się do wsi dopiero 3 sierpnia, po naprawieniu torów, którymi wprowadzają do walki pociąg pancerny. Pacyfikują Chotomów, pomimo oporu stawianego przez cofających się AK-owców. Rozwścieczeni oporem Niemcy mordują cywilów w ich własnych domach. Walki przenoszą się na teren Legionowa-Przystanku i trwają do wieczora. Niemcy wycofują się. W bitwie poległo pięciu AK-owców (na swoim stanowisku przy erkaemie ginie por. Stefan Krasieński ps. „Kacper”), sześciu odniosło rany. W dramatycznej walce giną też strz. Antoni Grabowski ps. „Czerwiec”, a w chwilę później jego narzeczona Henryka Narostkówna – łączniczka, z bronią poległego narzeczonego w ręku (za trzy dni miał odbyć się ślub tej pary). Zacięty bój miał szczególny charakter – większość AK-owców broniła własnych domów i rodzin. Krwawo okupione odparcie niemieckiego

ataku zapewniło w Legionowie ostatni dzień wolności. Po dwudniowej walce, 3 sierpnia, udało się jednak Niemcom zlikwidować III batalion AK – w okolicach Nieporęt–Białobrzegi. Poległo tam kilkunastu powstańców, dwudziestu trafiło do niewoli, m.in. ppor. Michał Klimowicz ps. „Komar” został rozstrzelany na miejscu, por. Konstantego Radziwiłła skatowano i przed egzekucją obwieziono po okolicy z tablicą „Polski hrabia – polski bandyta”.

Równocześnie od 1 do 3 sierpnia trwały walki I batalionu AK, ryglującego szosę Jabłonna–Zegrze barykadą przy skrzyżowaniu na Strugę. Niemcy od początku wprowadzili do walki artylerię i pojazdy pancerne. Dnia 3 sierpnia zaatakowała niemiecka piechota, wspierana przez czołgi. Powstańcy cofnęli się do lasu.

Komendant Rejonu ppłk Roman Kłockowski ps. „Grosz” stanął 4 sierpnia w obliczu trudnej decyzji przerwania walk zaczepnych. Pod uwagę należało wziąć zarówno sytuację w Rejonie, jak też rozwój działań na froncie sowiecko-niemieckim. W dniu 3 sierpnia Sowietzi rozpoczęli odwrót na wschód, oddając Wołomin, Radzymin, Strugę. W Rejonie rośnie liczebna przewaga Niemców. Powstańcy nie mają środków bojowych do walki z artylerią i czołgami przeciwnika. Walki powstańcze na pobliskiej Pradze wygasają.

W tej sytuacji powstańcy zgromadzeni w lasach Bukowca (ponad 1000 osób) otrzymują rozkaz przemieszczenia trzysuosobowego batalionu, uzbrojonego w broń maszynową i karabiny, pod dowództwem por. Bolesława Szymkiewicza ps. „Znicz”, w lasy wokół Grabiny. Pozostali, zdając broń krótką, przechodzą do konspiracji. Z bronią w rękę pozostaje też oddział Dywersji Bojowej w lasach k/Dąbrówki Szlacheckiej.

Pomimo coraz większego nasycenia oddziałami niemieckimi, do końca sierpnia trwają w Rejonie drobne potyczki. Dochodzi też do dużej, zaplanowanej i zakończonej sukcesem akcji zbrojnej, wykonanej przez oddział 40 powstańców pod dowództwem por. Jana Raczkowskiego ps. „Motor”. Dnia 20 sierpnia żołnierze grupują się na Białolęce, w gospodarstwie Jana Bochenka. Celem ataku ma być Dworzec Kolejowy Warszawa-Praga, obiekt o dużym znaczeniu strategicznym dla Niemców z uwagi na dostawy amunicji z Nowego Dworu i Modlina. Powstańcy podchodzą w ciemnościach do zabudowy dworca. Likwidują wartownika. Niespodziewanie natykają się na wjeżdżający pociąg wojskowy z Nowego Dworu, wiozący kompanię żołnierzy

i sprzęt wojenny. Błyskawicznie podejmują decyzję i z wielkim powodzeniem, bez strat, kończą walkę. Od ich ostrzału i granatów ginie ok. 100 Niemców, kilkudziesięciu jest rannych, zniszczone są też wagony i sprzęt.

Przed końcem sierpnia funkcjonowanie uzbrojonych oddziałów AK w Rejonie staje się coraz trudniejsze. Płk „Grosz” podejmuje decyzję przeprawy i przemarszu oddziału liczącego 220 ludzi do Puszczy Kampinoskiej. Zadanie jest niełatwe – Niemcy kontrolują brzegi po obu stronach Wisły. Termin przeprawy ustalono na noc z 6 na 7 września. Niestety, Niemcom udaje się zniszczyć przygotowane do przeprawy łodzie. W krytycznej sytuacji całe zgrupowanie przemieszcza się forsownym marszem wzdłuż brzegu i przechodzi brodem na tzw. Kępę Burakowską. Tam żołnierze zmuszeni są przetrwać bez posiłku i wody aż do nadejścia nocy. Dopiero wtedy, na z trudem pozyskanych dwóch łodziach, zdolnych pomieścić 10-15 osób, przedostają się na upragniony lewy brzeg. Przeprawa trwa 3 godziny. Forsownym marszem, dźwigając broń, skrzynie z amunicją i medykamenty, w dniu 8 września oddział melduje się w Wierszach, w miejscu postoju dowódcy Grupy Kampinos. Żołnierze, mimo poniesionych ofiar w swej „legionowskiej insurekcji” i świadomości wrogiego stosunku Sowietów, walczyli do 27 września. Potem wzięli także udział w tragicznej bitwie pod Jaktorowem. Wielu z nich przedarło się też na Kielecczynę i tam walczyło do końca.

Opuszczony przez oddziały powstańcze Rejon, przez blisko miesiąc bezkarnie pustoszyli Niemcy. Pozostających tam mężczyzn często brano za partyzantów – zatrzymanych wywożono poza teren, do prac przymusowych pod nadzorem wojska. Większość pozostałej ludności przesiedlono do odległej strefy wiejskiej, skazując na życie w skrajnym niedostatku.

Gdy 28 października do opustoszałego Legionowa wkroczyli Sowietzi, a ludność zaczęła powracać do swoich siedzib, rozpoczął się kolejny etap tragedii. NKWD spędza wszystkich mężczyzn do Bukowca, gdzie w budynku użytkowanym przez Niemców jako dom publiczny dokonuje selekcji, mającej na celu wyeliminowanie AK-owców. Czynny udział w tej operacji biorą członkowie lokalnych komórek PPR, której przewodzi sekretarz tow. Kahlem. Wskazani przez nich AK-owcy, zgromadzeni pod strażą w piwnicach, poddani zostają parodii procesu w trybie sowieckiego wojskowego kodeksu karnego

z art. 58 – zdrady narodu polskiego. Role prokuratorów pełnią polskojezyczni sowieccy funkcjonariusze. Zapadają wyroki – od kary śmierci po więzienie. Wyroki wykonywane są natychmiast, przy stosowaniu wyjątkowo perfidnych szykan, z pozorowanymi zbiorowymi egzekucjami włącznie. Wśród zatrzymanych znajduje się również por. Dietrich, aktualny dowódca Rejonu po przeprawie komendanta płka Kłockowskiego za Wisłę.

Tygodniami więzieni w nieludzkich warunkach, przetrzymywani pod strażą NKWD w Wołominie, zatrzymani skierowani zostali do liczącego 2200 osób transportu – przez Dęblin do Świerdłowska. Podczas trwającej 6 tygodni podróży z powodu mrozu, chorób i głodu (przy racji składającej się z pół wiadra wody i paczki sucharów przypadającej co drugi dzień na jeden wagon) umiera 400 uwięzionych. Pozostałym przypadnie kilka lat ekstremalnych warunków gułagów i mordercza praca w kopalniach. Nie wszyscy temu podoleją. Po latach, powracając do Polski, zmuszeni będą podpisać dokument – kartę PUR (Polski Urząd Repatriacyjny).

Powodzenie akcji NKWD i UB w Rejonie było również wynikiem agenturalnej działalności w szeregach AK zdrajcy Zygryda Winiarskiego, który zgromadził i przekazał NKWD nazwiska, pseudonimy i adresy dużej grupy powstańców. Winiarski zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach.

Rejon 2 krypt. „Celków”

Centrum Rejonu stanowiła niewielka miejscowość Marki. Obszar obejmował tereny Zielonki, Strugi, Pustelników oraz pomniejszych wsi i osiedli. Przestrzennie najmniejszy – miał ze względów strategicznych znaczenie szczególne. Przez Rejon przebiegały dwie ważne dla Niemców arterie komunikacyjne – trasa kolejowa Warszawa–Białystok oraz szosa białostocka. Dzięki znacznemu zalesieniu, teren sprzyjał ponadto rozwinięciu działań konspiracyjnych. Niezależnie od zrozumiałego sprzeciwu społeczeństwa wobec rygoru okupacji i spontanicznego rozwoju tajnej konspiracji, podstawą obywatelskiej mobilizacji stała się konkretna zbrodnia niemiecka. Z okazji narodowego święta, 11 listopada 1939 r., spiskowa grupa harcerska rozwiesiła w publicznych miejscach na terenie Marek plakaty o treści „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”. Lokalny konfident ukierunkował

żandarmów na krąg młodzieży harcerskiej. W dniu 12 listopada nastąpiła obława – kilkunastu młodocianych harcerzy ujęto i przewieziono na skraj lasu w kierunku Zielonki. Tam przeprowadzono przyspieszone śledztwo, obiecując życie za wskazanie bezpośredniego sprawcy. Drakońska próba zawiodła, tym bardziej, że jeden z chłopców znał język niemiecki – usłyszał, że wszyscy i tak są skazani. Zatrzymani podjęli próbę ucieczki przez las. Niestety, udało się ona tylko trzem z nich. Pozostałych rozstrzelano.

Zbrodnia ta uświadomiła lokalnej społeczności bezwzględność okupanta i skalę narodowej zagłady. Wywołała uzasadnioną potrzebę obrony i odwetu. Przystąpiono do działań, pomimo trudności związanych z zaostrzoną obserwacją Niemców, konfidentami i silną obsadą wojskową, liczącą ok. tysiąca żołnierzy oraz plutonu policji. Organizacją ruchu, z inicjatywy SZP-ZWZ, zajął się por. Sergiusz Hornowski ps. „Adam”. Komendantem formującego się Rejonu został mjr Henryk Okińczyc ps. „Bil”. Por. Hornowski – jako lekarz – kierował służbą zdrowia. Wojskową Służbą Kobiet (WSK) zawiadowała Jadwiga Turska ps. „Katarzyna”, wywiad nadzorował ppor. Bolesław Graf ps. „Sław”, Kadre Obywatelską – por. Karol Sokołowski ps. „Wiktor”. W 1944 r. Rejon dysponował liczbą ok. 800 zaprzysiężonych żołnierzy, wraz z Kadra Obywatelską i służbą zdrowia. Trzon bojowy stanowiły trzy kompanie, których stan wynosił ok. 620 żołnierzy. Kompanią 1 dowodził ppor. Albin Furczak ps. „Alf”, kompanią 2 – ppor. Wacław Błachnio ps. „Znicz”, kompanią 3 – kpt. NN ps. „Las”, a po nim ppor. NN ps. „Łokietek”.

Rejon prowadził aktywną działalność w okresie poprzedzającym akcję „Burza” i powstanie warszawskie, zarówno w zakresie organizacji sieci placówek w terenie, wyszkolenia kadry dowodzenia, gromadzenia broni, kolportażu wydawnictw informacyjno-propagandowych i prac wywiadowczych, jak również akcji bojowych i sabotażowych. Do lipca 1944 r. w akcjach tych poległo sześciu AK-owców.

Szybkie postępy ofensywy sowieckiej na terenach przedmościa praskiego w ostatnich dniach lipca 1944 r. zdeorganizowały łączność Rejonu z Komendą Obwodu. Komendant mjr „Bil” nie zdołał dotrzeć na odprawę dla dowódców Rejonów w dniu 30 lipca 1944 r. ze względu na przerwanie komunikacji kolejowej w kierunkach wschodnich. Zdany na własne siły, zmuszony był podejmować szybkie decyzje – na teren Rejonu wkroczyły już sowieckie czołgi. Gdy otrzymał

meldunki (w sztabie zlokalizowanym na terenie cegielni w Zielonce) o zajęciu przez Sowietów Wołomina i wkroczeniu sowieckich czołgów do Strugi, zgodnie z dyrektywami przekazał im wszystkie posiadane informacje o rozmieszczeniu sił niemieckich oraz wydał rozkaz wspierania bojowego przez oddziały AK.

Następuje ujawnienie się oddziałów AK, do których przyporządkowują się: lokalny oddział – pluton Organizacji Wojskowej PPS (OW PPS) oraz 25-osobowy pluton AL. Sowietci chętnie korzystają ze wsparcia AK-owskich oddziałów. Na szosie białostockiej wspólnie niszczą konwój wojskowych ciężarówek ze sprzętem. Powstańcy zdobywają broń. W lasach k/Strugi w podobnej akcji zniszczono dwa niemieckie czołgi. AK-owcy zdobywają samodzielnie niemiecki magazyn broni zlokalizowany w szkole w Pustelniku, staczają zwycięską walkę z niemieckim oddziałem grabiącym i represjonującym ludność cywilną w Rościszewie i Pustelniku II. Biorą jeńców, zdobywają broń i ciężarówkę. Masowo zgłaszają się ochotnicy, dla których – niestety – brakuje broni.

Oddział 400 żołnierzy AK dociera do Wołomina, wzbudzając powszechny entuzjazm. Od dnia 1 sierpnia 1944 r. przez dwa dni utrzymują pod ogniem artylerii ryglowanie zaporami szosy Zegrze-Rembertów. Kompania ppor. „Alfa” zajmuje Kobyłkę. Rankiem 3 sierpnia powstańcy prowadzą atak na niemieckie czołgi w Pustelniku. W Nowej Wsi zawierają porozumienie z dowódcą sowieckiej grupy pancernej, gen. Wiediejewem.

Krótkim okazał się jednak ten sojusz. Był on wymuszony koniecznością ubezpieczenia odwrotu radzieckich czołgów, które znalazły się dalej, niż przewidywały plany polityczne Komendy Głównej na Kremlu i rozkaz wydany z Moskwy – o wstrzymaniu ofensywy, rankiem 1 sierpnia. Informacji tej bohaterским żołnierzom Rejonu 2 nie ujawniono. Sami dostrzegli oni całkowity odwrót jednostek sowieckich w kierunku Mińska Mazowieckiego, już w dniu 3 sierpnia. Mjr „Bil” podejmuje decyzję zmniejszenia liczebności oddziału do ok. 120 żołnierzy – najlepiej uzbrojonych ochotników, gotowych ponosić ryzyko osamotnionej walki. Do 4 sierpnia por. doktor „Adam” prowadzi we wsi Ręczaje improwizowany szpital rannych AK-owców i Sowietów. Wieczorem są świadkami odwrotu ostatnich jednostek radzieckich. Patrole powstańcze meldują zbliżanie się czołgów 3 Dywizji Pancernej „Totenkopf”. Dnia 5 sierpnia 1944 r. powstańcy

decydują się na marsz w lasy okuniewskie. Około 7-8 sierpnia, po licznych potyczkach z niemieckimi patrolami, docierają na miejsce. Przed sobą mają zwartą linię pozycyjnego frontu, której przekroczyć nie sposób...

9 sierpnia komendant mjr „Bil” zbiera na leśnej polanie pełny stan oddziału i dokonuje odnaczeń 24 żołnierzy. Ppor. „Alf” otrzymuje Krzyż Walecznych. Dziękując wszystkim za męstwo, odwagę i waleczność, rozkazem dowódcy komendant rozwiązał oddział. Samotna walka w zaistniałych realiach była skazana na oczywistą porażkę. Broń zabezpieczono i ukryto w tartaku. Tak zakończył się bohaterski zryw do niepodległości żołnierzy z „Celkowa”, których akcja bojowa przekroczyła daleko granice ich Rejonu. Tak również zakończyła się służba ojczyźnie mjra „Bila”, zgłodzonego na Łubiance w 1945 r.

Drogo zapłacili żołnierze Rejonu 2 za swój patriotyczny zryw – w lipcowo-sierpniowych walkach z Niemcami zginęło ich trzynastu, dwóch poległo w Warszawie. Dwudziestu pięciu, po powrocie w rodzinne strony, zostało aresztowanych, a następnie wysłanych przez Niemców do obozów.

Nie był to koniec prześladowań i śmierci. Największe żniwo strat przyniosło sowieckie „wyzwolenie”, w efekcie którego do łagrów zesłano czterdziestu czterech żołnierzy, gdzie pięciu zginęło, a los siedmiu jest do dziś nieznanym.

Bezcennym uzupełnieniem historii Rejonu „Celków” są relacje zdarzeń przekazane przez por. doktora Sergiusza Hornowskiego (obecnie w stopniu pułkownika) w autoryzowanym wywiadzie udzielonym w 2008 roku autorowi niniejszego opracowania. Por. „Adam” miał jako lekarz przez blisko tydzień możliwość bezpośredniego kontaktu z grupą czołgistów i piechurów sowieckich. Lecząc rannych, pozyskał ich zaufanie. Oficerowie sowieccy byli zaskoczeni faktem przerwania wsparcia ich grupy pancerniej przez oddziały piechoty oraz ustania dostaw amunicji i paliwa. Ich jednostka z 1-2-dniowym wyprzedzeniem osiągnęła operacyjny cel, docierając do brzegów Narwi. Wyrazili również całkowite niezrozumienie faktu, że od dnia 1 sierpnia ustala osłona ze strony radzieckiego lotnictwa. Z godziny na godzinę oczekiwali na pojawienie się szturmowych „iłów” – na próżno. Szturmowce te były skuteczną bronią w stosunku do niemieckich czołgów typu „tygrys” i „pantera”, których pancerze odporne były na ostrzał sowieckich czołgów T-34 z dalszej odległości. Górne władze „tygrysów”

i „panter” były słabo odporne na ostrzał działek „il-ów” z powietrza.

Faktem jest, iż do 31 lipca lotnictwo sowieckie dominowało w powietrzu, wspierając pancerny atak. Zaskakujące zjawisko zaprzestania wszelkich operacji lotniczych, od ranka 1 sierpnia, zanotowały również wszystkie punkty obserwacyjne AK w pozostałych rejonach „Obroży”. Odosobnione grupki sowieckich czołgów zostały w większości pozbawione szans powrotu, stając się z upływem dni coraz łatwiejszym celem dla niemieckiej artylerii, lotnictwa i nadciągających formacji czołgów. Por. „Adam” był naocznym świadkiem sytuacji, w której grupa sowieckich czołgów, mając zaledwie po kilkanaście pocisków „na lufę”, otoczona w małym lasku w okolicach Klembowa, broniła się okrężnie – stosując potocznie zwaną metodę „na jeża” – przy wsparciu małego oddziału AK-owców, osłaniającego równocześnie szpital polowy.

Rejon 3 krypt. „Dęby”

Do akcji przygotowywano trzy zgrupowania. Formalny stan ewidencyjny wynosił 2150 żołnierzy. Ok. 10 plutonów z rozkazu KG AK zostało niedługo przed powstaniem dyslokowanych do jednostek na terenie Warszawy, a nawet do Łomianek. Rozkaz podjęcia akcji powstańczej (1 sierpnia 1944 r., godz. 17.00 „W”) dotarł do komendanta Rejonu mjr. Franciszka Amałowicza ps. „Tatar” o godz. 16.00. Łączność z KG była przerwana. Podobnie niemożliwym był kontakt z dwoma zgrupowaniami w dalszym terenie. W dyspozycji pozostawał jedynie będący w zasięgu Amałowicza I batalion – też w niepełnym składzie: liczący ok. 360 żołnierzy. Stan uzbrojenia wynosił: 4 erkaemy, 2 thompsony, 5 stenów, 8 kb, 14 pistoletów i 360 granatów.

Komendant podjął wyzwanie i błyskawicznie wydał rozkazy podjęcia akcji. Niepełne dwa plutony miały zaatakować i zniszczyć baterię artylerii przy rembertowskim cmentarzu, a wzmocniony oddział z saperami otrzymał zadanie opanowania dworca kolejowego i wysadzenia tunelu, celem uniemożliwienia przejazdu w kierunku Warszawy pociągu pancernego, znajdującego się na poligonie. Zanim doszło do natarcia, do cmentarza zbliżyła się kolumna 14 czołgów oraz samochody wypełnione piechotą. Podjęcie akcji byłoby szaleństwem. Około godz. 17.30 ciężkie czołgi 5. dywizji pancerniej SS „Wiking” podjęły patrolowanie miasta. Nie jest wykluczone, że na skutek donosu konfidenta, Niemcy

znaleźli się w posiadaniu szeregu informacji o zamierzonych akcjach. Może o tym świadczyć fakt rozpoznania miejsca dowodzenia mjr. Amalowicza oraz podjęcie natychmiastowej akcji masowych rewizji w domach Starego i Nowego Rembertowa. Do Rembertowa sukcesywnie nadciągały nowe jednostki. Prowadzono wstępne przygotowanie miejscowości i jej najbliższego otoczenia do roli najważniejszego bastionu obrony praskiego przedmościa, który będzie skutecznie odpierał sowieckie ataki przez blisko półtora miesiąca.

W zaistniałych warunkach, około godz. 19.00, komendant Rejonu wydał rozkaz przejścia do konspiracji i ukrycia broni.

W dniu 13 września oddziały Armii Czerwonej zajęły Rembertów. Rozpoczęły się represje żołnierzy AK i ludności cywilnej. Ujawniający się pluton Dywersji Bojowej wcielono do LWP. Do powstałego specłagru skierowano większość zatrzymanych, a trzydziestu oficerów i podoficerów na „szerokie tory” (co w potocznym języku znaczyło zesłanie), gdzie dwóch zginęło, zaś los trzech pozostaje nieznany.

Pomimo faktu, że w dniu rozpoczęcia akcji powstańczej Rejon 3 czynnych działań nie podjął (i podjąć nie mógł), zaznaczył swój udział w walkach na Mokotowie, Sadybie i Czerniakowie. Dwie grupy powstańcze: drużyna 760 plutonu dowodzonego przez ppor. Eugeniusza Lokajskiego ps. „Brok”, w składzie kpr. pchor. Leszek Rydzy ps. „Mały”, Zbigniew Pawelski ps. „Jastrząb”, Tadeusz Woźniak ps. „Sęp I”, Antoni Sanclewicz ps. „Chętny”, Henryk Wardecki ps. „Nowy”, Roman Kwiek ps. „Cygan”, st. strz. Ryszard Adamski ps. „Wróbel” i dwóch żołnierzy NN oraz grupa pchor. Janusza Kustowskiego ps. „Dżems”, przedarły się przez Wisłę z pełnym uzbrojeniem. Ich droga wiodła przez Grochów, Saską Kępę – do Wału Miedzeszyńskiego. Zapłacili wysoką cenę, wielu poległo i odniosło rany.

Tragicznym okazał się dla Rejonu 3 okres, który nastąpił po wkroczeniu Sowietów (13 września 1944 r.). Na podstawie porozumienia podpisanego w Moskwie przez PKWN, w dniu 26 lipca 1944 r., tereny „wyzwolone” podlegały specjalnej jurysdykcji NKWD (w odwecie za czyny popełnione w strefie operacji wojennych). Za czyn karygodny uznano przynależność do Armii Krajowej i każdej innej organizacji konspiracyjnej współdziałającej z rządem polskim w Londynie. Podstępem, zdradą lub zbrojną przemocą aresztowano i więziono tysiące Polaków.

W celu izolacji więźniów szybko adaptowano przejęte po Niemcach

obozy koncentracyjne. Pierwszym z nich był Majdanek. Kolejnym stał się od września 1944 r. obóz NKWD nr 10 w Rembertowie (utworzony na bazie niemieckiego), w którym przetrzymywano jeńców sowieckich, a następnie Polaków zmuszanych do budowy fortyfikacji frontowych. Obóz ten, usytuowany na terenie Zakładów Amunicyjnych „Pocisk” przy ul. Wawerskiej (obecnie Marsa), mógł pomieścić ok. 2000 więźniów. Panował tam głód, choroby zakaźne, zimno. Dziennie umierało średnio 15 osób. Zmarłych grzebano w pobliskim lesie i zgodnie z sowieckimi zwyczajami, znanymi choćby z Katynia, na miejscu masowego pochówku sadzono – dla zatarcia śladów – drzewa. Prowadzono liczne przesłuchania, którym towarzyszyły bicie i tortury. W obozie przetrzymywano również kobiety. Co pewien czas wysyłane stąd były transporty więźniów do Swierdłowska, Szybatowa na Łubiankę, Kołymę, do Charkowa, podczas których umierało średnio 10-15% osób.

W rembertowskim łagrze przetrzymywano ok. 600 volksdeutscheów i własowców, liczba więzionych AK-owców sięgała natomiast ok. 1500 osób.

Stosunkowo nieliczna grupa byłych AK-wców utworzyła trzy oddziały bojowe (30 żołnierzy pod dowództwem ppor. „Wichury” Edwarda Wasilewskiego, oddział por. „Groma” liczył 12, a drużyna sierż. Jana Szyszko „Kłosa” – 10 żołnierzy) i podjęła zadanie uwolnienia uwięzionych. Termin akcji wyznaczono na godz. 24.00, w nocy z 20 na 21 maja 1945 r. Z okolic Wyszkowa, przez Radzymin i Strugę, spiskowcy ruszyli zarekwirowanym samochodem na Rembertów. Plan akcji zakładał ubezpieczenie od strony Gocławia (gdzie na ul. Wawerskiej stacjonowała cała sowiecka pancerna dywizja) i uderzenie drużyny „Kłosa” oraz oddziału „Groma” na wartownię. Oddział „Wichury” miał przeprowadzić akcję wewnątrz obozu. Zadania zostały wykonane bezbłędnie. Oddział „Groma” zlikwidował obsady strażnic i pod ogniem utrzymywał resztę załogi wartowni, której bezładny ostrzał był nieskuteczny. Uzyskano dostęp do 12 drewnianych baraków. Rozbito zaryglowane drzwi. Szał radości opanował uwolnionych jeńców. Cała akcja trwała prawdopodobnie nie więcej niż pół godziny. W ciemną noc, we wszystkie kierunki, rozbiegli się obdarowani wolnością.

Od strony Gocławia nadciągała załoga obozu pomoc. Dysponująca trzema erkaemami i pistoletami maszynowymi drużyna „Kłosa” stawiała dzielny opór. Sowieckie samochody, mimo strat, przebiły się do Rembertowa. Tu, sądząc, że wartownia znajduje się w rękach

partyzantów, otworzyli w jej kierunku ogień. W udanej akcji nie poległ żaden z AK-owców, jedynie kilku zostało rannych. Po stronie NKWD zginęło 68 osób, nie licząc rannych.

Przyjąć należy, że z obozu zbiegło ok. 800 żołnierzy AK. Niestety, do końca następnego dnia oblawy NKWD i UB ujęły już ok. 200 zbiegów. Złapanych często mordowano na miejscu, a około 180 zakatowano na terenie obozu. Podczas poszukiwań zdarzały się wypadki mordowania rodzin zbiegów (29 maja 1945 r. ubecy: Zdzisław Kraśnicki i Jan Stromecki zastrzelili małżonków Marię i Daniela Rogalskich – za odmowę wskazania kryjówki poszukiwanych synów). Jedynym trwałym skutkiem akcji stała się ostateczna likwidacja obozu: pozostałych AK-owców wywieziono do Związku Radzieckiego, a obóz przekształcono w żwirownię i magazyn materiałów budowlanych. Do 7 czerwca 1945 r. zwożono tam duże ilości wapna, które składowano w miejscu prawdopodobnego zbiorowego pochówku ofiar. Okolicznych mieszkańców, po przesłuchaniach i represjach, wysiedlono.

Rejon 4 krypt. „Fromczyn”

Oś Rejonu stanowiła linia kolei elektrycznej z Warszawy do Otwocka, aż po lasy w okolicach Celestynowa. Zachodnią granicę wyznaczała Wisła, a od wschodu – szosa z Warszawy do Mińska Mazowieckiego. Organizowanie się grup konspiracyjnych przebiegało od 1939 r. w sposób zbliżony do pozostałych rejonów „Obroży”. Należy jednak wyróżnić znaczące dla sytuacji w tym Rejonie zdarzenie, którym stała się – szczególnie dla miejscowości leżących na styku z Warszawą – popełniona przez Niemców zbrodnia w Wawrze. Zbiorowa egzekucja (ok. 107 cywilnych ofiar) wstrząsnęła okolicą i całą Warszawą, a po części miała także wymiar międzynarodowego skandalu – w amoku ślepej zemsty zginęło dwoje obywateli Stanów Zjednoczonych (z którymi Rzesza nie była jeszcze w stanie wojny).

W ramach działalności szkoleniowo-konspiracyjnej oddziały harcerskie grupowały się w Aninie, Wawrze, Międzyzlesiu, Radości – aż po Otwock, prowadząc mały sabotaż, kolportaż i uczestnicząc w tajnym nauczaniu. Najbardziej zaawansowaną formę przybierały działania w środowiskach Anina, Wawra, Zerzenia i Lasu. Równolegle konsoliduje się i scala profesjonalna sieć wojskowa, ZWZ-Bataliony

Chłopskie, które włączają się do walki porozumieniem z dnia 30 maja 1943 r. W szeregi AK wstępuje 356 BCh-owców, wraz z kierownictwem – Stanisławem Miłkowskim (Centralny Komitet Ruchu Ludowego), Stanisławem Krupką (wójtem gminy Wawer), Stanisławem Dróždżem (Komendantem BCh) i Stanisławem Waśkiewiczem (dowódcą plutonu Wojskowej Służby Ochrony Powstania – WSOP). Od końca 1942 r. organizują się pododdziały Kedywu w Radości, Falenicy, Otwocku, Karczewie, Świdrze, Wiązownej. Ich oddziały liczą ok. 120 żołnierzy. Pojawia się konieczność dozbrojenia rosnących szeregów – poprzez tajną produkcję środków bojowych. Konstrukcja i montaż odbywa się na Grochowie, natomiast poligon znajduje się w lesie, w pobliżu Pohulanki, Starej Miłosnej i Zakrętu. Nietrudno domyślać się, że próby broni wytwarzanej z zaimprovizowanych materiałów były wysoce niebezpieczne (ofiara jednej z prób granatu był m.in. dowódca Kedywu por. Leon Tarajkiewicz ps. „Gryf”, który utracił prawą dłoń i część przedramienia).

Na terenie Rejonu dokonano na przestrzeni 1943 r. licznych akcji bojowych. Do ważniejszych należy zaliczyć m.in.: zniszczenie akt ewidencyjnych przygotowanych dla Niemców w urzędach gmin Falenicy i Wiązowny, ubezpieczanie zrzutów alianckich na zrzutowisku krypt. „Pierzyna” (na wschód od Wiązowny), akcję napadu na pociąg ze sprzętem wojskowym pod Pogorzela, ubezpieczenie tajnej radiostacji w Wiązownie, wysadzenie Urlaubzugu relacji Berlin–Brześć pod Skrudą, wysadzenie Urlaubzugu relacji Berlin–Kowel pod Celestynowem. W okresie półrocza poprzedzającego powstanie warszawskie odbyły się kolejne, znaczące akcje bojowe: wysadzenie Urlaubzugu relacji Brześć–Essen pod Skrudą, wysadzenie Urlaubzugu relacji Kowel–Hamm pod Pogorzela, zniszczenie akt w gminach Michalin, Wiązowna, Karczew, zniszczenie akt w Arbeitsamtach w Falenicy i Otwocku, osłona tajnej radiostacji w Radiówku, wysadzenie Urlaubzugu relacji Lublin–Stuttgart pod Pogorzela.

Wysadzenia pociągów powodowały szczególnie duże straty Niemców. Przykładowo, podczas jednej tylko akcji pod Celestynowem zginęło ok. 120 niemieckich żołnierzy, a 230 odniosło rany (dane według zachowanego meldunku). Straty były wynikiem wykolejenia pociągu, dokonanego ładunkiem wybuchowym oraz 15 minutowej walki. Straty własne 72-osobowego oddziału AK to 1 poległy i 4 rannych.

W ramach odwetu Niemcy stosowali w Rejonie wszelkie możliwe metody represji. Patrole żandarmerii prowadziły intensywne rewizje w podejrzanych lokalach, sprawdzano przechodniów na ulicach i dworcach, działali trudni do rozpoznania konfidenci. Po okolicy krążyły samochody ze specjalnie wyszkoloną obsługą, posługujące się precyzyjną aparaturą pomiarową (tropiące aparaty krótkofalowe). W wypadku zlokalizowania nadajnika przez Niemców, szanse przeżycia szyfranta i jego osłony praktycznie były żadne. Taka tragedia wydarzyła się w Radości. W styczniu 1944 r. namierzona została krótkofalówka przy ul. Różanej 3. Dodatkowo w lokalu tym mieścił się duży magazyn broni. Około godz. 22.00 gestapowcy niepostrzeżenie otoczyli budynek i otworzyli ogień. Mimo ostrzału z trzech stron, dwaj AK-owcy podjęli nierówną walkę – zniszczyli szyfry, aparat, podpálili magazyn broni, po czym przebijali się przez obławę, rzucając granaty oraz skutecznie strzelając z erkaemu. Niestety, tylko jeden wyszedł zwycięsko z tej potyczki. Po stronie gestapo było dwóch zabitych i kilku rannych. Za bohaterską i skuteczną obronę obaj AK-owcy odznaczni zostali orderem *Virtuti Militari*, poległy – Krzyżem *Walecznych*.

Na początku lutego 1944 r. Niemcy dokonali blokady Radości i Miedzeszyna. Przeszukali setki domów, zatrzymując kilkadziesiąt osób cywilnych, które skierowano do obozów. W walce i egzekucjach ginęli również żołnierze Armii Krajowej. W l. 1943-44 podczas akcji bojowych zginęło 7 AK-owców, 7 odniosło ciężkie rany, a 10 zostało straconych po aresztowaniu.

Nadszedł lipiec 1944 r. Do granic Rejonu, wzdłuż Wisy i Celestynowa, zbliżały się szybko oddziały sowieckie. Rejon „Fromczyn” formalnie dysponował siłą ok. 1540 żołnierzy, zgrupowanych w 9 kompaniach, usytuowanych liniowo w większości miejscowości od Otwocka po Anin i Wawer. Plany operacyjne tych kompanii z wielu przyczyn uległy dezaktualizacji. Jedną z nich stał się szybszy, niż można się było spodziewać, fakt wycofania się Niemców z Otwocka. Nie bez znaczenia był też brak łączności ze sztabem Obwodu w Warszawie, zaistniały na skutek przerwania komunikacji kolejowej, co uniemożliwiło przybycie komendanta Rejonu kpt. Stanisława Szulca ps. „Kania”. Szybki odwrót, a raczej ucieczka Niemców, wyprzedziły możliwość jakiegokolwiek akcji bojowych kompanii w Celestynowie oraz dwóch kompanii w Otwocku. Jedynie w Karczewie, w dniu 29 lipca, dwa plutony starły się z niemiecką strażą tylną. Po krótkiej wymianie ognia

Niemcy wycofali się, porzucając niedużą ilość uzbrojenia. AK-owcy zniszczyli ponadto niemieckie łodzie przygotowane do przeprawy na lewy brzeg Wisły. Na ulice opuszczonego nocą Otwocka wyszły rankiem AK-owskie patrole – z biało-czerwonymi opaskami – a Służba Cywilna rozpoczęła obsadzanie obiektów administracji. Zaciągano posterunki. Odbyla się też radosna manifestacja ok. 200 harcerzy z biało-czerwonymi chorągiewkami. Radość z tak łatwo odzyskanej wolności trwała kilka godzin. Nadciągnęli sowieccy „wyzwoliciele”. Z urzędów usunięto przedstawicieli Służby Cywilnej, patrole i posterunki skrzętnie zarejestrowały ich nazwiska, adresy i przynależność organizacyjną. W dniu 31 lipca rozpoczęły się aresztowania. Ujawniającym się oddziałom odbierano broń. Szeregowcom oferowano wstąpienie do Ludowego Wojska, dowódców i oficerów aresztowano, kierując ich do obozu na Majdanku. Podobnie potoczyły się losy pojedynczych kompanii Rejonu na osi linii otwockiej w Falenicy, Międzylesiu i Wiazownie, błyskawicznie zajmowanych przez oddziały sowieckie do 31 lipca.

Jedynie gmina Wawer usiłowała aktywnie włączyć się w akcję powstania warszawskiego. Teren gminy znajdował się w bezpośredniej strefie frontu po stronie niemieckiej. Z dnia na dzień narastało zagrożenie przymusowej deportacji wszystkich mężczyzn – jako siły roboczej – na zaplecze frontu lub jako podejrzanych do obozów koncentracyjnych. Maskujący się w tym terenie pluton Szarych Szeregów postanowił stanąć do walki. Podjęto decyzję przeprawy przez Wisłę i dołączenia do walczących powstańców na Mokotowie. Do przeprowadzenia zwiadu zgłosiło się ochotniczo dwóch śmiałków: plut. Feliks Waśkiewicz ps. „Czarny” i strz. Zygmunt Jabłoński ps. „Orlik”. Nocą z 8 na 9 sierpnia, ryzykując życiem, przez zaminowany teren docierają do brzegu. Zmuszeni są zmierzyć się z nurtem rzeki, która po opadach przybrała o ponad półtora metra. Lustro wody oświetlane jest cyklicznie przez silny reflektor, umożliwiający niszczyć ogniem karabinów maszynowych każdy odkryty, podejrzany cel. Młodzi śmiałkowie, zmuszeni są, płynąc, pokonywać dodatkowo opór ciągniętych za sobą blaszanych puszek z odzieżą i bronią. Ostatkiem sił osiągają drugi brzeg, na którym zziębnięci i wyczerpani dokonują w ciemnościach, po omacku, rozpoznania. Szczęśliwie docierają do skraju wsi Siekierki. W pierwszym domu (obecny adres: ul. Gościniec 2) dowiadują się, że we wsi stacjonują Niemcy oraz czołgi. Dalsza penetracja terenu

potwierdza prawdę tych słów. Konkluzja jest jednoznaczna. Tą drogą, nawet pod osłoną nocy, pluton nie ma szans przedarcia się na Mokotów. Drogę powrotną na praski brzeg zwiadowcy pokonują dzięki przypadkowo znalezionej łódce.

Przekazana – po powrocie do plutonu – najgorsza z możliwych wiadomości nie ma wpływu, jak się okazało, na konieczność opuszczenia gminy. W zaistniałej sytuacji wybrano wariant przedarcia się przez linię frontu do sąsiedniego Międzyzlesia, do Sowietów, a następnie zgłoszenia do armii tzw. kościuszkowców. Było to pozornie blisko, a jednak daleko... Ruszają 10 sierpnia, pod osłoną nocy, dźwigając posiadaną broń (erkamy, peemy, 20 kb, granaty i amunicję). Grupa liczy 30 osób, jest wśród nich także łączniczka – Eliza Wojtyszko (nauczycielka ze szkoły w Zerzeniu). Dowodzi komendant hufca – Sylwester Rak ps. „Szarota”. Jego zastępcą jest plut. Feliks Waśkiewicz. Z uwagi na pola minowe i odkryty teren zmuszeni są obrać trasę okreśną, wielokrotnie dłuższą, prowadzącą przez nabrzeża wiślane i łachy. Niestety, na Wale Miedzeszyńskim także natykają się na pola minowe. Mimo wielkiej ostrożności przypadkowo powodują wybuch, co zmusza pluton do pozostania w bezruchu aż do świtu – detonacja spowodowała silny ogień broni maszynowej przeciwnika. Jeszcze przed wschodem słońca dostrzegają sowiecki patrol. W celu nawiązania kontaktu wysłano znającą język rosyjski łączniczkę „Ewę”. Wynik jej rozmowy oraz przekazany, umówiony sygnał, wprowadzają harcerski oddział w strefę oddziałów radzieckich. Potraktowano ich brutalnie. Nastąpiły szczegółowe przesłuchania, odebranie broni i wielodniowe aresztowanie pod strażą, w prymitywnych warunkach, bez posiłków. Przemieszczani pieszo po zapleczu frontu, łączeni byli z coraz liczniejszą rzeszą podobnych aresztantów. Prócz tych, którzy przybyli z terenów „Obroży”, liczną grupę stanowili AK-owcy z 27 Dywizji Wołyńskiej (wyłapani w pobliżu frontu, podczas próby marszu na pomoc Warszawie). Wierzyli, że po dotarciu do strefy polskiej armii, ich los się odmieni. Niestety, spotkało ich rozczarowanie. Przewiezieni samochodami do Lublina, zamiast do koszar – wyladowani zostali na terenie byłego niemieckiego obozu zagłady, na Majdanku. Ku ich krańcowemu zaskoczeniu, strażnikami byli żołnierze i oficerowie w polskich mundurach – Polacy...

Przysły resztki złudzeń. Przez kilka dni przetrzymywani byli w ekstremalnie trudnych warunkach, wśród rojów insektów, braku żywności i opieki medycznej. Kiedy dostrzegli, że jeden po drugim

znikają oficerowie i podoficerowie, nie czekali na swoją kolej. Ucieczka czwórki żołnierzy, podjęta mglistym świtem, szczęśliwie się powiodła. Wśród nich znajdował się również „Czarny”, autoryzujący wywiadem powyższe zdarzenia i fakty. Biegli obok krematorium, poprzez doły pełne setek rozkładających się ciał. Szli bez dokumentów, ukrywając się przed Sowietami, którzy patrolowali wszystkie drogi. Zbiegów wspomagali mieszkańcy wiosek, którzy doświadczyli już dobrodziejstwa „wyzwolenia”. Napotykali wsie, w których wszyscy mężczyźni tygodniami ukrywali się w lesie, w poczuciu zagrożenia – za pomoc oddaną AK-owskim partyzantom.

Po powrocie w rodzinne strony dowiadują się, że trwają tam już NKWD-owskie obławy, rewizje i denuncjacje. Zmuszeni są ukrywać się. W Otwocku „Czarny” dowiaduje się o śmierci ojca, który zginął wraz z sześcioma innymi mieszkańcami Zastowa i Lasu, gdy jako dowódca grupy prowadził ponad 100 mężczyzn, pragnących uniknąć deportacji przez Niemców – szli do Międzyzlesia, nocą 15 sierpnia, tą samą trasą, którą kilka dni wcześniej przeszli harcerze i syn prowadzącego grupę. Nie czekał na ich ciepły, spokojny dom. Zrujnowane przez wojnę domostwa zajęli na kwatery Sowieci zgrupowani wokół rembertowskiego poligonu artyleryjskiego. Resztki dobytku i żywności zagospodarowano na potrzeby wojska. Pola były zaminowane. Największym niebezpieczeństwem okazały się jednak działania NKWD i UB, wyłuskujące AK-wców i osoby im sprzyjające, które następnie przetrzymywano w sąsiadującym z ich byłym rejonem Rembertowie. Ci, którzy przeżyli powstanie, drogę do Międzyzlesia, Majdanek – nie zostali zapomniani przez UB i NKWD. Pomimo formalnego ujawnienia, nie ominęły ich przesłuchania i wyroki „sądów”. Aktem koniecznej desperacji było odbicie więzionych AK-owców z rembertowskiego „łagru”, przez który przeszły tysiące walczących przez 5 lat o wolną Polskę. Z Rejonu 4 do sowieckich łagrów wywieziono 25 oficerów AK, dwóch zginęło, a los czterech pozostał nieznany.

Obwód VI AK krypt. „Praga”

Dopiero trzy dni po podjęciu działań bojowych na terenach Rejonów 1 i 2 „Obroży” nastąpiła akcja powstańcza, która objęła Warszawę. W dniu 31 lipca 1944 r., w godzinach popołudniowych, komendant Obwodu VI AK płk Antoni Władysław Żurowski ps. „Andrzej” podejmuje samodzielnie skrajnie ryzykowny rekonesans. Wykorzystując fakt, że formacje straży pożarnej były w większości przyporządkowane AK i dysponowały taborem samochodowym, wyrusza jedynym wozem, jaki znajdował się na Pradze, aby osobiście ocenić sytuację na linii frontu. Maskując się mundurem strażaka, przedziera się przez pełne patroli i stanowisk obronnych ulice Grochowa, docierając niemal do skraju niemieckiej obrony w Wawrze. Tu znajduje potwierdzenie meldunków składanych już od 29 lipca przez ppłk. Mieczysława Bigoszewskiego ps. „Groch” oraz przez innych oficerów wywiadu AK, informujących o obecności jednostek wojsk sowieckich na przedpolach Pragi. Ustala, że bezpośrednie walki toczą się na linii Międzyziesie–Wesoła. Ten obraz sytuacji frontowej pozwala Żurowskiemu na błyskawiczną ocenę – lada chwila spodziewać się można rozkazu podjęcia walki.

Płk „Andrzej” był doświadczonym, zawodowym oficerem. Miał za sobą chlubny, żołnierski szlak. W 1918 r. służył w Komendzie POW i rozbrajał Austriaków w Radomiu, w 1919 r. uczestniczył w odsieczy Lwowa. Po ukończeniu Szkoły Oficerskiej w Centrum Wyszkożenia w Rembertowie, podjął służbę na wschodniej granicy w Korpusie Ochrony Pogranicza. W 1939 r. jego batalion, zaskoczony sowiecką agresją, cofa się z rejonu Równego i łączy z formacją gen. Władysława Orlika-Rückemanna, staczając od 17 września liczne bitwy z Sowietami. Batalion Żurowskiego walczy w bitwie pod Kockiem do końca, wraz z Samodzielną Grupą Operacyjną „Polesie” gen. Franciszka Kleeberga.

W latach okupacji Żurowski od samego początku współorganizował obwód praski. W pamięci miał słowa płk. Antoniego Chruściela ps. „Monter”, skierowane do niego w Komendzie Głównej AK: *Pułkowniku, pierwsi spotkacie się z wojskami radzieckimi. Nawiążecie z nimi kontakt i wystąpicie w imieniu Armii Krajowej jako dowódca i gospodarz Pragi*³. Zadanie to zawierało ryzyko

³ Pamiętniki płk. A.W. Żurowskiego, cz. I, mps w posiadaniu rodziny, s. 15.

nieznane oficerowi, którego żołnierski profesjonalizm miał się zmierzyć z nieprzewidywalnym politycznie zachowaniem sowieckiego „aliantha”. Dzięki informacjom z radiowych krótkofalówek wiedział o podstępnych i wrogim zachowaniu Sowietów w stosunku do AK-owskich oddziałów powstańczych na terenie Wołynia, Wileńszczyzny. W owym czasie działania takie usiłowano częściowo tłumaczyć faktem, że miały miejsce na terytorium Kresów, do których od 1939 r. Związek Radziecki wysuwał jednoznaczne roszczenia. Pocieszano się, że sprawy powojennych granic Rzeczypospolitej będą uregulowane po zakończeniu wojny.

W dniu 28 lipca 1944 r., ostatnim kursem nadwiślańskiej kolejki uciekają w kierunku Otwocka – do „swoich” – członkowie KC PPR, z tow. Władysławem Gomułą. 29 lipca Julian Skokowski, dowódca naczelny Polskiej Armii Ludowej (PAL), tytułujący się bezprawnie stopniem generała dywizji, i płk Henryk Borucki (również stopień bezprawny) publikują kłamliwe odezwy, usiłujące zdyskredytować dowództwo AK w oczach ludności stolicy. Ich propagandowe działania nie odnoszą żadnego skutku. Wieczorem 30 lipca Moskiewska Kwatera Główna wydaje rozkaz powstrzymywania bezpośredniego natarcia na Pragę, gdyż ich agenturalny monitoring środowisk AK donosi o możliwości akcji powstańczej.

Położenie, w jakim znajdowała się Komenda Główna AK, nie było łatwe. Posiadając jednoznacznie potwierdzone informacje o faktycznym przebiegu linii frontu i absolutnej przewadze sił sowieckich, musiała podjąć decyzję o terminie powstania. Dowództwo w sztabie AK w pełni zdawało sobie sprawę z niedostatecznego stanu uzbrojenia, amunicji, braku właściwej broni przeciwpancernej i przeciwlotniczej oraz przewagi bojowej frontowych formacji niemieckich. Za podjęciem akcji przemówił jednak fakt, że jest to ostatnia szansa dowodząca nieugiętej, zdeterminowanej walki o niepodległą Polskę. Prawdą jest również, że w tych dniach ludność stolicy w większości oczekiwała chwili odwetu za pięć lat okupacyjnego ludobójstwa i terroru. Tak więc, z czysto militarnego punktu widzenia, przy wzięciu pod uwagę wiedzy KG AK w Warszawie, nawet przy istotnych mankamentach uzbrojenia, moment podjęcia akcji powstańczej był racjonalnie uzasadniony. Dalece prawdopodobne było także przewidywanie, że walki zakończą się po kilku dniach. Wieczorem 31 lipca 1944 r., w lokalu przy ul. Pańskiej 67, podczas odprawy sztabu Komendy Głównej AK,

zapadła decyzja o podjęciu akcji powstańczej dnia 1 sierpnia o godz. 17.00 – „W”.

Decyzję tę płk „Monter” przekazał szyfrowym rozkazem do komendantów obwodów za pośrednictwem łączniczek. Możliwość koordynacji tej akcji z dowództwem Frontu Białoruskiego była niemożliwa ze względów politycznych, zdeterminowanych faktem zerwania przez Związek Radziecki stosunków dyplomatycznych z rządem RP (w kwietniu 1943 r.), po ujawnieniu zbrodni w Katyniu. Rozkaz rozpoczęcia walki dotarł do komendanta Obwodu „Praga” w dniu 1 sierpnia o godz. 10.00 rano. Płk „Andrzej” znalazł doskonale katastrofalny stan uzbrojenia we wszystkich podległych mu pięciu rejonach Obwodu. Broni tej starczyć mogło na przeciętne uzbrojenie ok. 500 ludzi, tj. maksymalnie jednego batalionu. W tej sytuacji do akcji ruszały z konieczności oddziały, w których na 20-, 30-osobowy pluton wypadały 1-2 karabiny bojowe, 3-4 pistolety różnicowanych kalibrów (z ograniczoną ilością amunicji), kilkanaście granatów oraz butelki zapalające. Należy podkreślić, że podobnym stanem wyjściowego uzbrojenia odznaczały się również oddziały powstańcze w całej Warszawie, z wyjątkiem batalionów Kedywu i „Baszty”. Panowało ogólne przekonanie, że brakującą broń powstańcy zdobędą podczas walki podjętej przez zaskoczenie. Stan ewidencyjny praskich oddziałów powstańczych wynosił ok. 8000 osób, łącznie z WSK i służbą medyczną. Ze względu na trudności komunikacyjne i wyjątkowo krótki czas mobilizacji, walkę podjęło ok. 6000. Lecz nie brak żołnierzy stanowił tu o niepowodzeniu akcji (tym bardziej, że w wielu miejscach zgłaszali się liczni ochotnicy), lecz brak broni. Wiele budynków, w których istniały przygotowane magazyny broni i amunicji, zostało w dniach 31 lipca-1 sierpnia niespodziewanie zajętych przez oddziały niemieckie.

Przed nadejściem godziny „W” pojawiały się coraz to nowe formacje niemieckie i grupy czołgów, co zmieniało dotychczas rozpoznany stan sił nieprzyjaciela. Zawiodła również łączność (newralgiczna dla kontaktu Obwodu z Komendą Okręgu w Warszawie), którą miała zapewnić przekazana z Rembertowa krótkofalówka. Wykonanie zadania okazało się niemożliwe z uwagi na fakt, że rozkaz z powiadomieniem o godzinie „W” dotarł do Rembertowa o 16.00, a 16.30 zjawiała się tam formacja 15 czołgów typu „tygrys”, artyleria i jednostki osłowo-pomocnicze. Drogi komunikacyjne zostały zablokowane, liczne

oddziały piechoty przygotowujące teren do obrony pozycyjnej uniemożliwiły wszelki kontakt z Pragą. Zakres zadań bojowych dla obwodu praskiego był opracowany już na kilka dni wcześniej, w oparciu o dość chaotyczny obraz odwrotu rozbitych jednostek wycofywanych z frontu. Zakładano, że przeprowadzony z bliskiego dystansu atak na kierujące się bez ubezpieczenia kolumny, przez zaskoczenie spowoduje dezorganizację, straty i pozwoli zdobyć znaczące ilości broni.

Z pewnością to wyjątkowa sprawność sowieckiej agentury pozwoliła na przekazanie drogą radiową, nocą z 31 lipca na 1 sierpnia, informacji o powstańczym rozkazie do Moskwy (specjalna radiostacja działała m.in. na Żoliborzu, obsługiwana przez agenta kpt. Karola Więckowskiego). Potwierdza to pośrednio radiowy rozkaz z Moskwy do sztabu 1 Frontu Białoruskiego, przekazany rankiem 1 sierpnia o godz. 4.10, o natychmiastowym wstrzymaniu działań ofensywnych na całej linii frontu i przejściu do czynnej obrony.

Dowodzący Frontem gen. Konstanty Rokossowski natychmiast przekazał rozkaz nacierającym jednostkom, w tym również walczącym na przedpolu Pragi brygadam 2 Armii Pancерnej gen. lejtn. Radziejewskiego. Ta nieoczekiwana i absurdałna z militarnego punktu widzenia decyzja zaskoczyła wiele zgrupowań sowieckich czołgów, walczących w terenie odległym od baz zaopatrzenia w amunicję i paliwo. Zabrakło również wsparcia piechoty oraz wysoce skutecznego w osłonie i walce lotnictwa szturmowego. Wywiad niemiecki posiadał ponadto pochodzące z własnych źródeł informacje o możliwości zbrojnych wystąpień w Warszawie. Niewiadomymi dla nich były jedynie skala i siła tych akcji oraz obszar ich wystąpienia. Wiele źródeł wskazuje na fakt, iż w kalkulacjach operacyjnych Niemcy nie zakładali tak dużej skali akcji powstańczej (teren całego miasta). Ograniczyli się jedynie do wzmocnienia głównych obiektów o znaczeniu strategicznym, koszar, dworców kolejowych, magazynów sprzętu wojennego, przyczółków mostów, zakładów przemysłowych i szpitali wojskowych – przez wprowadzenie dodatkowych oddziałów wartowniczych i stanowiska broni maszynowej.

Na ulice skierowano liczniejsze patrole żandarmerii oraz zarządzono wcześniejszą godzinę policyjną (na godz. 18.00). Czujność Niemców już od godz. 14.30 alarmowały liczne potyczki zbrojne na terenie miasta, wynikające z przypadkowych interwencji patroli natykających się na grupy transportujące broń powstańczą do miejsc koncentracji

oddziałów. Niewątpliwie dodatkowym czynnikiem sprzyjającym Niemcom w dniu 1 sierpnia było wstrzymanie sowieckich działań szturmowych na froncie. Jeśli nawet w sztabie niemieckiej 9 Armii Polowej nie odczytano trafnie pozornie nielogicznych intencji tego manewru, to przez czas pięciu godzin pozwoliło to Niemcom na swobodne zluźnianie wyczerpanych jednostek pierwszej linii i wzmocnienie posiłkami zagrożonych odcinków frontu. Również brak sowieckich eskadr szturmowych i bombowych umożliwił transport – w biały dzień – pierwszych formacji czołgów z dywizji „Wiking” i „Hermann Göring”, dwóch pułków grenadierów pancernych oraz artylerii zmotoryzowanych na stacje Woli, Piastowa i Pragi.

Godzina podjęcia akcji powstańczej miała być późniejsza, celem ukrycia w ciemności rażących braków uzbrojenia i psychologicznego spotęgowania efektu ataku. Zadania bojowe zakładały opanowanie przez oddziały powstańców wszystkich czterech przyczółków mostowych (mostu Poniatowskiego, Kierbedzia, kolei średnicowej oraz mostu kolejowego na wysokości Cytadeli). Do strategicznych zadań należało również zajęcie szturmem koszar wojskowych na umocnionym, rozległym terenie pomiędzy ulicami: Modlińską, Ratuszową, 11 Listopada i nasypem kolejowym oraz wszystkich dworców kolejowych. W założeniach zadań znalazło się także przejście budynków szkolnych, w których z reguły stacjonowały załogi niemieckie, posterunków policji granatowej, centrali telefonicznej, zakładów przemysłowych, folwarku „Agril” i wielu innych obiektów. Niestety, w dniach 30-31 lipca Niemcy opanowali sytuację, porządkując przepływ formacji i sprzętu. Wokół podejść do mostów pobudowali umocnienia ogrodzone zasiekami, stanowiskami cekaemów i działek przeciwlotniczych – wszystkie obsadzone silnymi załogami. W koszarach przy ul. 11 Listopada zjawiono się ok. 20 czołgów formacji dywizji SS „Hermann Göring” i zgrupowało ok. 1200 żołnierzy Wehrmachtu. Podobnie, przy wylocie ul. Grochowskiej w kierunku Wawra, rozlokowało się zgrupowanie czołgów dywizji „Totenkopf”. Na terenach Grochowa, Saskiej Kępy, Śliwic, Parku Praskiego, Bródna rozlokowano liczne baterie dział i cekaemów przeciwlotniczych. Nadciągnęło tu również kilka tysięcy kompletnie uzbrojonych żołnierzy z formacji frontowych. Uszczelniono i wzmocniono stanowiska oddziałów strzegących dworców i linii kolejowych przez Bahnschutz (niemiecka formacja ochrony kolei). Ich motorowe drezy były wyposażone w cekaemy. W stałym pogotowiu znajdowały się

dwa pociągi pancerne. Wkrótce siły niemieckie na Pradze przewyższały liczebnością zmobilizowane oddziały powstańcze, nie mówiąc o uzbrojeniu, czołgach i artylerii, przeciwko którym powstańcy byli całkowicie bezsilni.

Gdyby założyć aktywny atak Sowietów – w dniu 1 sierpnia – to można przypuszczać, że większość zgrupowanych sił niemieckich znajdowałaby się na linii frontu odległej o kilka kilometrów poza zabudową dzielnicy, zaangażowana w obronę. W tych warunkach akcja powstańcza, pomimo znikomego uzbrojenia, miała szansę miejscowych powodzeń, a przede wszystkim sens istotnego wsparcia nacierających wojsk sowieckich. Niestety, polityczna intryga zniweczyła militarną logikę i Niemcy mogli bez przeszkód skierować większość sił na stłumienie powstania w praskiej enklawie.

Taki obraz faktów kształtował, w uproszczeniu, świadomość około miliona mieszkańców stolicy, gotowych na miarę swoich sił wesprzeć działania powstańczego czynu, które zakończyć się miały, w ich pojęciu, zwycięstwem. Złożoność sytuacji, ogromne ryzyko podjęcia akcji powstańczej, przy ograniczonej wiedzy o stosunku aliantów do sprawy Polski, poznało jedynie wąskie grono oficerów KG AK i Delegatura Rządu RP na Kraj. Wypadki bieżące i bliskość frontu wymagały niezwłocznej decyzji. Nikt jednak, przy najdalej posuniętych obawach i wątpliwościach, nie był w stanie przewidzieć tragicznego epilogu – wyrachowanej zbrodni, spełnionej cynicznie kosztem setek tysięcy ludzi i doszczętnego zniszczenia miasta.

Przypadkowy zbieg okoliczności pozbawił praskich powstańców nawet możliwości podjęcia akcji przez zaskoczenie. Zmierzająca na punkt zborny grupa powstańców z por. Michałem Łazarskim ps. „Biebrza”, natknęła się ok. godz. 16.30 na silny patrol Schutzpolizei przy zbiegu ulic Markowskiej z Ząbkowską. Wymuszony sytuacją bój przyniósł ofiary – zabitych i rannych – po obu stronach. Zginął również por. „Biebrza”. Zdarzenie to ujawniło Niemcom fakt objęcia Pragi planem powstania, co stało się sygnałem do natychmiastowego alarmu oraz wstrzymania ruchu kołowego i pieszego.

Taktycznie obwód praski podzielony był na 5 rejonów według ówczesnych granic administracyjnych, dalece odbiegających od stanu obecnego. Pelcowizna, Gołędzinów, Śliwice i Bródno stanowiły obszar Rejonu 1. Komendantem tego rejonu był kpt. Zygmunt Pawlik ps. „Gawryło”, a jego zastępcą – kpt. Stanisław Szczechura

ps. „Wiktor”. Stan ewidencyjny Rejonu 1 wynosił 860 żołnierzy i służb pomocniczych (sformowanych w 6 zgrupowaniach – kompaniach) oraz pluton saperów ppor. Jerzego Górskiego. O godz. „W” mobilizacja zgromadziła nieco ponad 600 powstańców. Należy podkreślić, że mimo nikłego stanu uzbrojenia w szeregach panowały zapał, wola walki i wiara w zwycięstwo. Dowodzą tego podjęte szybkie i ryzykowne akcje pojedynczych żołnierzy i małych grup AK-owców, wyprzedzające nawet o kilka minut godzinę podjęcia akcji. Były to akcje rozbrojeniowe patroli niemieckich. Zdobyto istotny obiekt – kompleks szkół przy ul. Białoleńskiej (obecnie Wysockiego), w którym ulokowało się dowództwo Rejonu. Gruby i wysoki mur otaczający obiekt stanowił dostateczną osłonę przed ostrzałem nawet średniego kalibru artylerii. Wokół tej reduty, przy pomocy ochotników spośród okolicznych mieszkańców, wykopano błyskawicznie rów przeciwczołgowy, a w ulicach Białoleńskiej i Odrowąża zbudowano barykady z bruku i wozów tramwajowych. Wypadami grup szturmowych udało się zlikwidować posterunki niemieckie na pobliskim przejeździe kolejowym. Ze wstępnym powodzeniem rozwinął się atak na warsztaty kolejowe przy ul. Palestyńskiej, gdzie 20-osobowy pluton uzbrojony w 1 kb i pistolety, dowodzony przez ppor. ps. „Piast”, zlikwidował załogę i zdobył znaczącą ilość materiałów wybuchowych. Pomyślnie rozwijał się brawurowy atak na parowozownię i inne obiekty dworca Warszawa-Praga. Niestety, do wycofania z zajętego terenu zmusił powstańców silny ogień broni maszynowej, prowadzony z wieżyczek strażniczych, których powstańcy nie byli w stanie zdobyć, dysponując jednym erkaemem. Niemcom, tymczasem, nadjechał z odsieczą pociąg pancerny. Czterogodzinne walki w tym obszarze kosztowały powstańców 15 zabitych i ok. 20 rannych.

Tragicznie zakończyła się akcja plutonu saperów pod dowództwem ppor. Jerzego Górskiego ps. „Grot”, usiłujących zniszczyć most kolejowy na kanale Żerańskim. Zostali na odkrytym terenie, osaczeni ze wszystkich stron silnym ogniem działek, cekaemów i czołgów. Padło 8 zabitych, 14 odniosło rany. Zginął również ppor. „Grot”. Niedobitki powstańców wycofały się na ul. Toruńską. Podobny los spotkał działania drugiego plutonu saperów, z którym do akcji ruszyli ochotniczo mieszkańcy. Ich zadaniem miało być wysadzenie wiaduktu kolejowego na ul. Modlińskiej. Niestety, zostali wstrzymani przez silny ogień broni maszynowej oraz ostrzał z czołgów od tyłu. Zginęło 10 saperów i duża

liczba cywilów. Niemcy odparli również zdeterminowany atak na koszarę gołędzinowskie (prowadzony przez zgrupowanie por. Ruśkiewicza ps. „Wachał”), w których broniło się 400 żandarmów i służb wartowniczych, zaś w terenie umocnionym atakowało ok. 100 powstańców. Mimo znacznych strat, Niemcy obronili także gmach Niższej Szkoły Technicznej przy ul. Białoleńskiej 5, wsparci w krytycznej chwili przez odsiecz czołgu. Desperackie walki trwały przez całą noc na linii ul. Odrowąży i równoległej osi linii kolejowej. Obie strony poniosły tam znaczne straty. Zdobyto niemieckie samochody i wzięto wielu jeńców, Niemcom udało się jednak utrzymać strategiczne punkty w terenie. Dnia 2 sierpnia powstańcy odparli skutecznie atak niemieckich czołgów prowadzony na ich „Redutę” przy ul. Białoleńskiej.

Niestety, w skali założonych zadań Rejonu 1 prawie nic nie osiągnięto. Straty wynosiły 83 zabitych i prawie 90 rannych, tj. ok. 20% stanu osobowego oddziałów. W tej sytuacji, przy niedostatku broni przeciwpancernej i braku oznak sowieckiego natarcia, wieczorem dnia 2 sierpnia komendant zdecydował o przerwaniu walki. Część powstańców przeszła na teren Pragi Centralnej, a niektóre oddziały do lasów Choszczówki. Na terenie Rejonu 1 pozostały jednak oddziały w stanie konspiracyjnego pogotowia, które jeszcze przez pewien czas prowadziły walkę i na miarę swoich sił organizowały opór.

Rejon 2, graniczący z Rejonem 1 ścianą Cmentarza Bródnowskiego i osią ulicy Świętego Wincentego, obejmował swoim obszarem Targówek. Komendantem Rejonu 2 był kpt. Apoloniusz Korejwo ps. „Karo”, a jego zastępcą por. Kazimierz Praxmayer ps. „Kazik”. Stan ewidencyjny wynosił 950 żołnierzy, rekrutujących się głównie spośród lokalnych mieszkańców, dzięki czemu stan mobilizacji o godz. „W” był bardzo wysoki – wynosił 80%. Do walki ruszyło 750 powstańców – w czterech zgrupowaniach. Zgrupowaniem 654 dowodził por. Zygmunt Lewandowski ps. „Kat”, zgrupowaniem 658 – por. Juliusz Nowicki ps. „Dąb”, 662 – por. Jan Kozłowski ps. „Sęk II”, a zgrupowaniem 670 – por. Stanisław Gęsicki ps. „Józef”.

Stan uzbrojenia był mizerny. Według archiwalnego zapisu na blisko stuosobowe zgrupowanie por. „Kata” przypadło 9 kb, 12 pistoletów i rewolwerów oraz 200 granatów.⁴ Sytuację zgrupowania

⁴ L. Bartelski, *Warszawskie Termopile. Praga*, Warszawa 2000, s. 82.

poprawiła nieznacznie akcja rozbrojenia posterunku policji granatowej przy ul. Oszmiańskiej, gdzie zdobyto kilkadziesiąt sztuk broni krótkiej. Niestety, dalsza akcja na osi ul. Św. Wincentego przyniosła tragiczne efekty. Próba ataku na budynek zarządu cmentarza została odparta, gdyż stacjonował tam oddział 75 grenadierów pancernych z dywizji SS, dysponujących 4 samochodami pancernymi oraz betonowym bunkrem ze stanowiskiem cekaemu. Podobnie zakończył się atak na folwark „Agril”, który Niemcy przygotowywali na lotnisko polowe. Otoczony zasiekami teren „Agrilu” broniony był przez kompanię wojska, dysponującą – prócz broni maszynowej – 10 działkami przeciwlotniczymi.

Straty powstańców tylko w tych dwóch nieudanych atakach wyniosły 20 zabitych i wielu rannych. Pomimo strat oraz faktu wprowadzenia na ul. Św. Wincentego czołgów, opór powstańczy trwał, czynnie wspomagany przez mieszkańców. Nie ryzykując – w zapadających ciemnościach – walki w głębi Rejonu, Niemcy bestialsko pacyfikowali oś ulicy ostrzałem budynków mieszkalnych z czołgów, a silne oddziały piechoty SS dopuszczały się aktów masowego ludobójstwa na cywilach. Powstańcy zostali zmuszeni wycofać się w głąb Targówka, barykadując wjazdy przed wtargnięciem czołgów. Niemcy odparli, również przy wsparciu czołgów, natarcie na silnie umocniony posterunek kolejowy Michałów.

Zgrupowanie por. „Dęba”, w natarciu na Szmulowiznę, zajęło zespół szkół przy ul. Otwockiej, lecz główny cel – opanowanie wiaduktu kolejowego na osi ul. Radzywińskiej – okazało się niewykonalne. Powstańcy, dysponujący zaledwie 2 pistoletami maszynowymi i kilkoma rewolwerami, zostali z łatwością odparci przez oddziały Bahnschutzu i pociąg pancerny. W drugim natarciu na wiadukt kolejowy, kosztem 5 zabitych i kilku rannych, zgrupowanie opanowało nocą obiekt, lecz z braku materiałów wybuchowych nie było w stanie go zniszczyć. Utrzymali teren do nocy 2 sierpnia, lecz oczekiwane czołgi sowieckie nie pojawiły się.

Zgrupowanie por. „Sęka II”, mające jeszcze słabsze uzbrojenie, nie mogło odegrać żadnej roli, ponieważ przewidziane zostało do działań przeciwko – jak się spodziewano – cofającym się w nieładzie, pod naporem sowieckiego natarcia, Niemcom.

Zgrupowanie por. „Józefa” planowało – atakiem z ul. Ziemowita – opanować budynek szkoły przy ul. Mieszka I. Akcję uniemożliwił, celnym ogniem, pociąg pancerny oraz kontrnatarcie oddziału niemieckiej



W tym miejscu, nad ranem 2 sierpnia 1944 r., Niemcy dokonali zbrodniczej egzekucji na ok. 70 Polakach – cywilnych mieszkańcach ul. Św. Wincentego – w odwecie za przejawy wsparcia i pomocy rannym powstańcom. Przed nocą 1 sierpnia do garaży zarządu Cmentarza Bródnowskiego esesmani spędzili kilkuset cywilów, a ich domy zniszczono ogniem czołgów lub przez podpalenie. Nocą wybrano grupę mężczyzn wg kryterium wieku od 16 do 65 lat i partiami, po dziesięciu, wyprowadzono na miejsce kaźni. Fot. H. Kossowski



Pod ścianami tego budynku, w dniu 1 sierpnia 1944 r., grenadierzy dywizji SS „Hermann Göring” dokonali egzekucji na 17 wziętych do niewoli, w większości rannych, powstańcach. Tablica główna – z okresu PRL – określa ofiary wyłącznie jako „poległych za wolność Ojczyzny”. Dopiero dodana (u samej góry) po 1990 r. mała tabliczka (wraz z symbolem Polski Walczącej – kotwicą) informuje, że byli to żołnierze AK. Fot. H. Kossowski

piechoty. Zginęło ok. 25 powstańców. Na teren Targówka Przemysłowego Niemcy wprowadzili samochody pancerne i oddziały grenadierów, pałac budynki i dopuszczając się przemocy wobec cywilnych mieszkańców. Walki w głębi Targówka toczyły się przez całą noc.

Grochów i Saska Kępa stanowiły obszar Rejonu 3. Komendantem był mjr Tadeusz Schollenberger ps. „Rakowski”, jego zastępcą rtm. Zygmunt Bargiel ps. „Zygmunt”. Stan ewidencyjny wynosił ok. 1100 ludzi, tworzących cztery zgrupowania: 678 (pod dowództwem por. Kazimierza Zawadowskiego ps. „Łoś”), 684 (dowódca – por. Jerzy Hołociński ps. „Jerzy”), 690 (kpt. Mieczysław Szyszko ps. „Sambor”), 696 (ppor. Marian Rudnicki ps. „Mariański”) oraz pluton Szarych Szeregów i pluton Wojskowej Służby Ochrony Powstania (WSOP).

Na tym terenie, przez ponad dwa lata, trwała zorganizowana produkcja broni na potrzeby akcji bieżących. Mimo ogromnych trudności w zdobyciu materiałów, zdolni i pełni poświęcenia wojskowi inżynierowie i chemicy potrafili w chałupniczych warunkach produkować steny, granaty i materiały wybuchowe, zasilające grupy szturmowe i oddziały partyzanckie w terenie. Istniała tu cała sieć większych i mniejszych warsztatów, w których powstawały elementy broni, a finalny montaż realizowano w piwnicy przy ul. Grochowskiej 138, w której – w improwizowanych warunkach – montowali je w całość por. Roman Sitkowski ps. „Wiktor”, sierż. Bogumił Jaszkowski ps. „Jarek” i Stefan Jezierski ps. „Jodła”. Broń wytworzona w tej prymitywnej rusznikarni musiała być następnie przetestowana. Poligon ulokowano w zalesionej strefie Starej Miłosnej, wokół wille „Pohulanka” (własność rodziny Jaszkwoskich). Tajna produkcja wiązała się z podwójnym ryzykiem – dekonspiracji oraz utraty życia podczas koniecznej próby przed wydaniem broni do użytku. Testy prowadzili sami konstruktorzy. Podczas jednej z prób sierż. „Jarek” utracił dłoń.

Tak więc Grochów stanowił główną bazę zaopatrzenia okręgu warszawskiego Armii Krajowej w broń strzelecką i granaty. Mógł tym samym odegrać znaczącą rolę podczas akcji powstańczej, lecz bieg zdarzeń i tu okazał się niekorzystny...

W Rejonie 3 znajdowało się centrum łączności z zasięgiem na rejon „Obroży” po Otwock, Wołomin, Rembertów, Kawęczyn. Stąd płynęły

do sztabu Komendy Głównej AK bieżące informacje. Łączność prowadził pchor. Zdzisław Mikulski ps. „Herkos” z lokalu w pobliżu pl. Szembeka, ustalając linię frontu i informując o represjach stosowanych przez cofających się Niemców wobec ludności cywilnej. Od rana 1 sierpnia sytuacja uległa nieoczekiwanej zmianie. Z godziny na godzinę przybywały coraz liczniejsze formacje niemieckie i czołgi. Na kwatery wojskowe przejmowano budynki publiczne i domy, rugując mieszkańców. W wielu wypadkach eksmisja objęła miejsca, w których zlokalizowane były magazyny broni. Niemcy gorączkowo organizowali stanowiska artylerii przeciwlotniczej. Liczebność żołnierzy niemieckich ponad trzykrotnie przewyższyła przygotowujące się do akcji siły powstańców. Dowództwo Rejonu 3 jeszcze rano zakładało możliwość szturmów Sowieci i planowało atak na cofających się Niemców. Niestety, oczekiwany scenariusz nie nastąpił. Podjęto jednak próby ataku na przewidziane w planach obiekty. Wszystkie zostały odparte. Wynik ten przesądzały zarówno ilościowa przewaga nieprzyjaciela, jak jego uzbrojenie.

Koszary w budynkach szkolnych przy ul. Boremlowskiej 6/12 obsadzone były załogą liczącą ok. 400 esesmanów, dysponujących samochodem pancernym, 4 działkami i stanowiskami cekaemów na dachu. W tej sytuacji zgrupowania poruczników „Łosia” i „Jerzego” nie miały żadnych szans powodzenia. Podobnym skutkiem zakończył się atak na przyczółek mostu Poniatowskiego i stanowiska artylerii przeciwlotniczej przy al. Waszyngtona, gdzie w walce poległa cała grupa szturmowa. Niepowodzeniem zakończyły się także próby opanowania nocą zakładów przemysłowych, silnie obsadzonych przez Niemców. Pewien stopień powodzenia uzyskało na krótko zgrupowanie kpt. „Sambora”, wdzierając się na teren stacji rozrządowej na odcinku kolei Olszynka Grochowska–Wiatraczna, gdzie uszkodzili trakcję do Otwocka. Do wycofania zmusił ich ogień ok. 30 czołgów. W akcji tej zginęło 3 powstańców. W kilku innych akcjach ulicznych udało się powstańcom zlikwidować – przez zaskoczenie – niemieckie patrole i zdobyć trochę broni.

Ocena bilansu walki, dokonana rankiem 2 sierpnia w sztabie Rejonu, wykazała całkowity bezsens podejmowania akcji zaczepnych. Oddziały zaczęły przemieszczać się na Pragę Centralną oraz na względnie spokojną Saską Kępe.

Rejon 4 obejmował obszar Michałowa. Jego oś stanowiła ul. 11 Listopada. Komendantem Rejonu był ppłk Henryk Beldycki ps. „Stefan”. Ewidencyjnie siły Rejonu wynosiły 1040 ludzi w 6 zgrupowaniach: 1604 (dowodzonym przez por. Michała Łazarskiego ps. „Biebrza”; poległ na ul. Markowskiej, zastąpił go oficer NN ps. „Sęp” ze zgrupowania 1630), 1608 (dowódca – por. Apoloniusz Dobrzyński ps. „Kruk”), 1612 (por. Zygmunt Jaworski ps. „Murzyn”), 1616 (por. Alojzy Gryczmański ps. „Gonzaga”), 1620 (kpt. Stanisław Łukaszewicz ps. „Stach”), 1626 (por. Czesław Mazka ps. „Rokita”).

Najważniejszym zadaniem bojowym w Rejonie 4 było opanowanie koszar wojskowych przy ul. 11 Listopada. Był to rozległy teren, ogrodzony dwumetrową siatką, zabezpieczony zasiekami i betonowymi bunkrami. Niemiecką załogę należy szacować na ok. 1300 żołnierzy mających na wyposażeniu cekaemy, baterię artylerii polowej i przeciwpancernej oraz jednostkę ok. 20 czołgów typu „tygrys”, przybyłych drogą kolejową 1 sierpnia. Atak na koszarę podjęto o godz. 17.00 z terenu cmentarza żydowskiego przez nasypy kolejowe. W akcji brały



W tym miejscu dokonana została przez Niemców egzekucja na dwóch ujętych, rannych dowódcach zgrupowań Armii Krajowej: por. Zbigniewie Dobrzyńskim ps. „Kruk” (zgrupowanie 1608) i por. Czesławie Mazku ps. „Rokita” (zgrupowanie 1626). Fot. H. Kossowski

udział zgrupowania poruczników: „Gonzagi”, „Stacha”, „Rokity” oraz trzy plutony poległego por. „Biebrzy”, dowodzone przez „Sępa”. Aby dotrzeć do koszarowego ogrodzenia powstańcy stoczyć musieli w otwartej przestrzeni bój z załogą pociągu pancernego, a następnie – pokonując ogrodzenie i zasieki – odpierać ostrzał broni maszynowej z bunkrów. Szalę walki przeważały ostatecznie czołgi, których kontrnatarcie zmusiło powstańców do wycofania się na Targówek i Michałów. Zginęło ponad 20 atakujących, wielu zostało rannych. Ujętych Niemcy rozstrzeliwali na miejscu. Tak zginęli por. „Kruk” i „Rokita”. Poważnie ranny został też komendant plk „Stefan”.

Próba zajęcia koszar od strony wschodniej, pomimo desperackich wysiłków i wielogodzinnej walki, zakończyła się niepowodzeniem. Nocą dowództwo objął osobiście komendant Obwodu plk „Andrzej”. Zarządził koncentrację sił na terenie Michałowa i nocne uderzenie od strony ul. 11 Listopada. Powstańcy sforsowali pierwszą linię obrony, zdobywając nieznaczna ilość broni i biorąc jeńców. Brak broni maszynowej i przeciwpancernej zmusił ich jednak do wycofania się na pozycje wyjściowe. Niemcy w ciągu dnia 2 sierpnia również nie kontratakowali, nie wiedząc, że powstańcom zabrakło amunicji. Ograniczano się jedynie do sporadycznej wymiany ognia z linią barykad i rowów, obsadzoną przez oddziały powstańcze.

Rejon 5 stanowił centrum Pragi i był dla Niemców – ze względów strategicznych – terenem kluczowym. Tu krzyżowały się arterie drogowe w kierunku pobliskiego frontu, przebiegające ulicami: Zygmuntowską (obecnie al. Solidarności), Targową, Ząbkowską, Radzywińską i Grochowską. Tu również znajdowały się dwa dworce kolejowe, zakłady przemysłowe, rzeźnia, szpitale oraz dostęp do mostów. Komendantem Rejonu był mjr Zygmunt Bobrowski ps. „Ludwik II”, a jego zastępcą kpt. Euzebiusz Jarema ps. „Karol”. Stan ewidencyjny był wysoki – wynosił ok. 1800 żołnierzy, łączniczek służb medycznych, formacji pomocniczych zgrupowanych w trzech batalionach (batalionem 1 dowodził por. Henryk Miłowidzki ps. „Ran”, batalionem 2 – por. Bronisław Gontarczyk ps. „Bolek”, batalionem 3 – ppor. Bronisław Ratyński ps. „Olszyna”) oraz odwodu ok. 200 żołnierzy pod dowództwem ppor. Władysława Bobrowskiego ps. „Ura” (w skład którego wchodziło zgrupowanie 1653 ppor. Feliksa Matuszkiewicza ps. „Turek”). Stan uzbrojenia zbliżony był do poziomu pozostałych rejonów. Zadania

operacyjno-bojowe Rejonu 5 zakładały uchwycenie przyczółków mostów, obu dworców kolejowych, budynków Dyrekcji PKP, centrali telefonicznej tzw. Małej Pasty przy ul. Ząbkowskiej 15a, rzeźni, obiektu Schutzpolizei przy ul. Targowej 15, Monopoli Spirytusowego, poczty i szkół.

Zadania te, opracowane 25 lipca, w dniu 1 sierpnia były praktycznie zdezaktualizowane. W ciągu kilku dni poprzedzających 1 sierpnia oraz w dniu wybuchu powstania Niemcy dokonali daleko idącego wzmocnienia zajmowanych i dozorowanych obiektów. O opanowaniu przyczółków mostów siłami wyznaczonymi 25 lipca – przy ich mizernym uzbrojeniu – nie mogło być mowy. Próba jedynego ataku na most Poniatowskiego została odparta z dużymi stratami. Dworca Wschodniego strzegła załoga 300 żołnierzy Wehrmachtu oraz Bahnschutzu, a tuż przed godziną „W” nadjechało z frontu 300 kolejnych żołnierzy oraz samochody pancerne. W tej sytuacji batalion por. „Rana” nie miał szans powodzenia. Mimo takiej przewagi nieprzyjaciela, powstańcy podjęli jednak walkę, atakując przez wiele godzin z ulic: Brzeskiej, Lubelskiej i Kawęczyńskiej. Walczyli do późnej nocy, mimo przewagi niemieckiego ognia, przeciwko czołgom i samochodom pancernym. Komendant mjr „Ludwik II” nie podesłał posiłków. Nad ranem walczącym skończyła się amunicja. Dworzec Wileński, chroniony przez 30 żołnierzy Wehrmachtu, udało się przejściowo opanować, lecz z rozkazu mjra „Ludwika II” ok. godz. 19.00 opuszczono pozycje. Wyjątkowo ciężki bój stoczony został w parku Skaryszewskim. Miał on charakter walki czysto spotkaniowej. Zgrupowanie Saperów Praskich – z punktu koncentracji na Grochowie przez Saską Kępe – usiłowało dotrzeć do Rejonu 5 z zadaniem wysadzenia wiaduktu kolejowego przy ul. Targowej. Zbliżała się godz. „W”. Od celu dzieliło ich w prostej linii 900 m. Trasę tę postanowili przebyć zadrzewionym terenem parkowym, wzdłuż brzegu jeziora Kamionkowskiego. W trakcie przemarszu natknęli się na jednostkę dywizji spadochronowej SS „Hermann Göring”, przybyłą niedługo przed nimi. Z zaskoczenia podjęli atak i – dysponując erkaemem – przedzierali się do celu. Niestety, inne jednostki niemieckie – zaalarmowane – przybyły na odsiecz, zakleszczył się też powstańczo-erkaem. Po blisko trzech godzinach walki, mając zabitych i rannych, powstańcy zmuszeni zostali do wycofania się na Saską Kępę. Niepowodzeniem zakończył się również atak na siedzibę Schutzpolizei w budynku przy ul. Targowej 15, przeprowadzony przez zgrupowanie

pod dowództwem por. Pawła Jurczaka ps. „Pawelski”, poległego w czasie akcji. Obiektu broniła silna załoga. Tylko z samego dachu ogień prowadziła drużyna, dysponując cekaemem. Obronę wspierał również niemiecki cekaem, z dachu domu po przeciwnej stronie ulicy. Wspomnieć należy również krótkotrwałe, lokalne powodzenia, do których zaliczyć trzeba opanowanie kompleksu gmachów Dyrekcji PKP przy ul. Targowej 74 przez oddział batalionu por. „Bolka”, po rozbrojeniu komisariatu policji granatowej przy ul. Wileńskiej. Zdobyto ok. 20 kb i skrzynkę amunicji. Podjęto natychmiast akcję ryglowania newralgicznego skrzyżowania ulicy Targowej z Zygmuntowską, w kierunku na most Kierbedzia. Powstańcy z okien kompleksu Dyrekcji PKP zadali w ciągu ponad 2 godzin znaczące straty kolumnom samochodowym, wypełnionym żołnierzami jednostek SS. Przy pomocy cywilów zbudowano pospiesznie barykady. Na powstańczy bastion Niemcy skierowali czołgi i silny ogień cekaemów. Zaczęło brakować amunicji i przed godz. 19.00 nadszedł rozkaz wycofania się (wydany przez mjra „Ludwika II”). W akcji tej, według relacji plut. Ryszarda Sosnowskiego ps. „Lassota”, wyjątkową odwagą odznaczył się plut. Marian Stasiak ps. „Maniek”, jedyny poległy w walce. Zgrupowaniu por. „Pawelskiego” udało się – drugim szturmem – zdobyć pocztę – łącznicę telefoniczną przy ul. Żąbkowskiej 15a. Obiekt otoczony był dwumetrowym murem, zasiekami i bunkrem. Był broniony przez wzmocnioną załogę. Desperackim szturmem z ul. Brzeskiej sforsowano żelazną bramę i w walce wręcz zlikwidowano Niemców. Zdobyto broń i amunicję. Do późnej nocy Niemcy wielokrotnie usiłowali odbić pozycję. Wszystkie ich ataki, nawet przy udziale czołgów, zostały odparte. Niestety, niemiecka obsługa zablokowała łącznicę i kontakt z lewobrzeżną Warszawą został przerwany. W tej sytuacji obiekt stracił znaczenie w systemie łączności i ok. godz. 2.00/3.00 nad ranem został opuszczony przez powstańców.

Powstańcy usiłowali atakować również zespół gmachów Monopoli Spirytusowego przy ul. Żąbkowskiej, lecz tu obrona niemiecka była wyjątkowo dobrze przygotowana – w pobliżu obiektu nastąpiło starcie grupy por. „Biebrzy”, wyprzedzające godzinę „W”. Polskie natarcie zdołało jedynie przejściowo zająć znajdujące się na terenie kompleksu budynki Mennicy Państwowej (od strony ul. Markowskiej). Powiodło się również zajęcie rzeźni przy ul. Jagiellońskiej i portu rzecznego, lecz poszerzenie tej enklawy uniemożliwiał silny ostrzał niemieckiej artylerii

i stanowisk cekaemów z terenu Szpitala Praskiego i z wież kościoła św. Floriana. Zdobyto również szkołę przy ul. Gocławskiej 4, biorąc jeńców i pozyskując 3 cekaem, 20 kb, 150 granatów i amunicję.

Lokalne sukcesy okupione ofiarnością i bohaterstwem nie mogły, niestety, decydować o powodzeniu na miarę całego Rejonu 5, a tym bardziej Obwodu. W dniu 2 sierpnia powstańcy nie podejmowali akcji zaczepnych, a Niemcy ograniczyli działania wyłącznie do patrolowania głównych ulic pod osłoną czołgów.

Komenda Obwodu, pozbawiona łączności z Komendą Główną, znalazła się w wyjątkowo trudnym położeniu. Meldunki o położeniu powstania na Pradze przekazano przez łączników forsujących Wisłę wpław i kajakiem, pod osłoną nocy. Wiadomość najgorszą z możliwych otrzymał płk „Andrzej” z przedpola wschodniego. Był to meldunek pchor. „Herkosa”, informujący o cofaniu przez Sowietów frontu w kierunku na Otwock. Wprawdzie rozpoznanie patrolu pod dowództwem Stanisława Staniszewskiego ps. „Zbrucz” przyniosło z okolic Marek wiadomość od radzieckiej szpicy pancерnej, że lada godzina ruszy atak na Pragę, lecz upływ czasu ujawnił fałsz tego zapewnienia. Dnia 4 sierpnia istniała już absolutna pewność, że Sowietci nie podejmą walki. Pewności tej nabrali również Niemcy, rozpoczynając systematyczne akcje rewizji domów mieszkalnych, aresztowań, wysyłek na roboty i egzekucji. Stopniowo obejmowały one kolejne kwartały ulic i groziły zarówno tysiącom powstańców, jak i całej ludności cywilnej.

Między brzegami: 5 sierpnia–15 września 1944 r.

Już rankiem drugiego dnia powstania, walczący na praskim brzegu zostali pozbawieni złudzeń. Sowietci, których wojska znajdowały się o kilka kilometrów od granic miasta, przerwali atak, formując pasywną linię frontu, cofniętą o 25-30 km. Była to realizacja rozkazu z Moskwy, przekazana sztabowi 2 Frontu Białoruskiego w dniu 1 sierpnia o godz. 4.10. Rozkaz dotarł do wszystkich dowódców jednostek szturmowych ok. godz. 12.00.

Ranek 2 sierpnia ujawnił również, że prawie wszystkie ataki powstańcze na strategiczne obiekty zostały odparte z dużymi stratami (300 zabitych i ponad 300 rannych), amunicja jest na wyczerpaniu, a Niemcy

dysponują absolutną przewagą w uzbrojeniu, broni pancernej i liczbie żołnierzy.

Na Pragę dotarły także informacje z rejonu Otwocka, przekazane częściowo przez naocznych świadków, o rozbrajaniu przez NKWD AK-owskich oddziałów, aresztowaniach dowódców i internowaniu żołnierzy. Spodziewany sojusznik okazał się wrogiem. Na domiar nieszczęścia, VI Obwód praski był całkowicie pozbawiony łączności z dowództwem w Warszawie – radiostacja z Rembertowa nie dotarła na skutek blokady niemieckiej, a zdobyta łącznica telefoniczna przy ul. Ząbkowskiej została zablokowana. Obraz militarnej klęski, zawiedzionych nadziei i pełnej izolacji tworzył sytuację beznadziejną, a wszelkie próby zaczepnych działań nie miały sensu.

Zarówno w dowództwie, jak i w szeregach żołnierskich, zwyciężyła jednak wola walki i wiara w ostateczne zwycięstwo. Na komendancie płku Antonim Żurowskim ciążyła ogromna odpowiedzialność za życie kilku tysięcy powstańców i ponad 100 tysięcy cywilów, których Niemcy od pierwszych godzin walki obejmowali odwetowymi egzekucjami. Nie cofnął się przed wydaniem rozkazu, przekraczającego formalnie jego kompetencje: od 4 sierpnia wszystkie oddziały przeszły w stan zakonspirowanego pogotowia bojowego i tylko w koniecznych sytuacjach miały odpowiadać ogniem na ataki Niemców. W punkcie 5 wymienionego rozkazu było ukierunkowanie przepraw przez Wisłę, w celu kontynuowania walki, z zachowaniem jednego warunku – posiadania indywidualnego uzbrojenia.

Na pełnomocnika organizowania przepraw został wyznaczony ppłk Henryk Beldycki ps. „Stefan”. Już 5 sierpnia mała grupa powstańców, dowodzona przez kpt. Ludwika Pobóg-Pagowskiego ps. „Ludwik I”, szczęśliwie dociera na Sadybę. Do 6 sierpnia zostaje też zorganizowany szlak przerzutu i przeprawy przez Białolekę, Choszczówkę i Legionowo do Kampinosu. 7 sierpnia, jako ochotnicy, w celu nawiązania trwałej łączności z Komendą Okręgu zgłaszają się dwaj 17-letni żołnierze Szarych Szeregów. Są nimi: plut. Jarosław Stodulski ps. „Kruk” i st. strz. Ryszard Goliszek ps. „Kołłataj”. Przez sześć dni płk Żurowski zwleka z decyzją, wiedząc, jakie ryzyko wiąże się z taką wyprawą. 14 sierpnia wyraża zgodę, a już następnego dnia, w postrzelanej na wylot łodzi, młodzi śmiało wracają szczęśliwie z rozkazami. Trwała łączność została nawiązana. Pełnił ją wielokrotnie st. strz. Ryszard Goliszek.

Do 10 sierpnia przeprowadzają się do Kampinosu, już przetartym

szlakiem, kpt. „Sambor” (z grupą 50 żołnierzy) i pluton łączności, dowodzony przez ppor. Leszka Ryłskiego ps. „San”. Nocą z 9 na 10 sierpnia por. Władysław Niderhaus-Zawistowski ps. „Zawisza”, przeprawia się na Sadybę z grupą 30 powstańców. Kolejne dni (12-15 sierpnia) przynoszą przeprawy pchor. Euzebiusza Malinowskiego ps. „Rekin” i sierż. Aleksandra Gozdana ps. „Wodniak”, w których przewożą na Siekierki, obok powstańców, broń i amunicję, przejętą ze zrzutów lotniczych. W dniach 17-18 sierpnia do Choszczówki, w celu przeprawy do Kampinosu, dotarli oddziały ochotników z Szarych Szeregów, dowodzone przez ppor. Michała Jabłońskiego ps. „Zygmunt”, pchor. Leona Skórzewskiego ps. „Salin” i pchor. Jarosława Stodulskiego ps. „Kruk”. Niemcy podjęli obławę. Wybuchły walki. Nie wszystkim udało się przedostać na drugi brzeg. Dnia 22 sierpnia kpr. Andrzej Wrzesiński ps. „Czarski” przeprawia się z grupą 13 ochotników na Siekierki, przewożąc broń i 30 kg amunicji, wydobytej z jeziora Kamionkowskiego, z wraku zestrzelonego samolotu. 26 sierpnia przedarł się przez Wisłę do Kampinosu dowódca Rejonu 3 mjr Tadeusz Schollenberger ps. „Rakowski”, prowadząc oddział 110 AK-owców. 4 września por. Bolesław Szymkiewicz ps. „Znicz”, por. Stanisław Karolewski ps. „Lechita” i pchor. Zbigniew Gregorewicz przeprawiają się z grupą ok. 30 żołnierzy.

Wyłącznie z Pragi przeprawiło się, by kontynuować walkę, ok. 550 powstańców. Oprócz nich przenikały na Mokotów i do Kampinosu grupy AK-owców z rejonów Obwodu VII AK krypt. „Obroza”. Wszyscy walczyli do końca powstania, a wielu z nich – jeszcze do połowy stycznia 1945 r. (dotyczy to tych, którzy po bitwie pod Jaktorowem, stoczonej 28 sierpnia, przedarli się w rejon Kielecczyzny).

Cena przepraw była bardzo wysoka – mierzona ludzkim życiem. Nikt nie prowadził ewidencji poległych, zwłaszcza ochotników z różnych oddziałów, znanych jedynie z pseudonimów. Setki tych, którzy szczęśliwie przedarli się przez patrolowaną przez Niemców rzekę, dziesiątkowała dalsza walka o ideę niepodległej Polski, prowadzona w osamotnieniu. Do nielicznych należą dziś ci, którzy przeżyli tamte dni i doczekali naszych czasów. Jednym z nich jest prof. dr n. med. Jarosław Stodulski, wybitny kardiochirurg, wówczas 17-letni żołnierz Szarych Szeregów. Osiągnął zawodowy sukces, pomimo drastycznej dyskryminacji w czasach PRL. Jest też wśród nich prof. i gen. dyw. Jerzy Modrzewski, który w połowie sierpnia 1944 r. przepłynął Wisłę, dotarł do Kampinosu, walczył w Warszawie i brał

udział w końcowej fazie walk na Czerniakowie, przydzielony do oddziału desantowego „kościuszkowców”. W dniu 23 września, w obliczu dobijania resztek oddziału pozostawionego bez pomocy przez Sowietów i bez żywności, powtórnie przepłynął na praski brzeg, w panterce z dystynkcjami plutonowego AK. Zatrzymany przez patrol sowiecki na Wale Miedzeszyńskim, bity podczas przesłuchania przez oficera NKWD i osadzony w przejściowym więzieniu, desperackim atakiem obezwładnił wartownika i – ryzykując kulę w plecy – szczęśliwie uciekł prześladowcom. Te zdarzenia przyspieszają polityczną dojrzałość 18-letniego plutonowego. Po kilku tygodniach, zatajając przynależność do AK, wstępuje do wojska i szybko awansuje jako zdolny i odważny wojskowy, a dziś wybitny znawca broni.

Przytoczone fakty świadczą dobitnie, jak wysoka i świadoma była determinacja praskich powstańców w zaistniałej, wyjątkowo niekorzystnej sytuacji militarnej, w jakiej znalazła się dzielnica od pierwszego dnia podjętej akcji. Śmiało możemy postawić tezę, że Praga wniosła do powstania warszawskiego wysoki wkład poświęcenia, ograniczony w stratach do możliwego minimum, dzięki rozwadze dowódcy, płka Żurowskiego. Należy też wspomnieć o grupie ok. 500 żołnierzy AK, którzy rozkazem oddelegowani zostali z Pragi do lewobrzeżnej Warszawy jeszcze przed nastaniem godziny „W”.

Pomoc ze zrzutów

Powstańcza Praga miała także (do końca sierpnia 1944 r.) swój znaczący wkład w odbiorze alianckich zrzutów. Z odległego lotniska pod Brindisi startowały lancastery i halifaksy, niosące pomoc warszawskim powstańcom. Była ona zdecydowanie zbyt mała, by uzupełnić braki uzbrojenia, amunicji i medykamentów, lecz jej znaczenie dla ducha walki i wytrwania w oporze było ogromne, zarówno dla żołnierzy Armii Krajowej, jak też ludności cywilnej. Odbывające się nocą zrzuty były dowodem na to, że walczący z Niemcami „wolny świat” pamięta o Warszawie.

Niemiecka artyleria i cekaemy przeciwlotnicze zwalczały działania bohaterskich załóg zmasowanym ogniem. Krzyżowe smugi reflektorów i setki świetlnych rakiet usiłowały uchwycić w kleszcze widoczności niosące pomoc samoloty, by uczynić z nich łatwiejszy cel dla serii

światlnych pocisków, niosących śmierć. Pierwszą ofiarą skuteczności niemieckiej artylerii przeciwlotniczej stał się w nocy z 13 na 14 sierpnia Liberator EV 966 „Cate” z 178 Dywizjonu RAF-u. Samolot runął na obrzeże jeziora w Parku Skaryszewskim. Z załogi ocalał jedynie strzelec pokładowy, wzięty przez Niemców do niewoli. Natychmiast po oddaleniu się Niemców, na miejscu katastrofy pojawili się powstańcy z 1680 plutonu AK pod dowództwem st. strz. Eugeniusza Drzewieckiego ps. „Szpak”. Odnaleźli i pochowali zwłoki dwóch lotników, a z dna jeziora wydobyli kontener zrzutowy, zawierający 30 kg amunicji, broń i mundury. Trzynastu powstańców wymienionego plutonu, dowodzonych przez 17-letniego kpr. Andrzeja Wrzesińskiego ps. „Czarski”, przerzuciło w dniu 22 sierpnia odzyskany ładunek przez Wisłę na Siekierki.

Kolejny samolot został zestrzelony nad Śliwicami 15 sierpnia. Dwóm członkom załogi udało się szczęśliwie wyskoczyć na spadochronach. Lądowali na Pelcowiznie. Zakonspirowane oddziały AK odnalazły Anglików i do 14 września ukrywały ich na terenie Nowego Bródna.

W dniu 15 sierpnia oddziały AK przyjęły zrzut na terenie fabrycznym przy ul. Radzymińskiej 124. Ładunek zawierał 3 granatniki wraz z pociskami, amunicję do karabinu typu mauzer, 6 kb i 5 rewolwerów. Następnej nocy, z 16 na 17 sierpnia, w okolicy ul. Radzymińskiej (tory kolejowe) oddziały 654 zgrupowania AK przyjęły 12 kontenerów broni, amunicji i mundurów. Do końca sierpnia AK przyjęła na Pradze jeszcze 3 serie zrzutów: na terenie Michałowa, przy ul. Tarchomińskiej i na Nowym Bródnie, przerzucając broń na lewy brzeg.

Podsumowując temat zrzutów dla walczącej Warszawy podkreślić należy, że na ograniczoną ich liczbę, a co za tym idzie niedostateczną pomoc, decydujący wpływ miały wyjątkowo trudne warunki dla powietrznej pomocy w rejonie powstania, jak też ograniczony obszar zrzutowiska. Nie można przy tym zapominać o ofiarnej postawie lotniczych załóg. Zasadnicze straty maszyn i ludzi, sięgające 30%, powstawały wskutek odmowy Sowieców na możliwość korzystania z ich lotnisk polowych, znajdujących się w odległości 40-50 km na wschód od Warszawy, nawet dla alianckich maszyn, uszkodzonych przez niemiecką obronę przeciwlotniczą.

Ilość paliwa maszyn dokonujących zrzutów na tak odległej trasie wystarczała zaledwie na ich powrót do bazy po najprostszej linii lotu.

Ten fakt wykorzystywało niemieckie lotnictwo, skutecznie atakując powracające załogi za pomocą nocnych myśliwców i artylerii, głównie na obszarze Niziny Węgierskiej, nazwanej przez alianckich lotników „cementarzem”. Tam koncentrowało się źródło największych strat lotniczych, bowiem nad Warszawą Niemcom udało się stracić jedynie 6 maszyn.

Kobieca służba

W szeregach żołnierzy Armii Krajowej znaczące miejsce zajmowały kobiety. Stanowiły ok. 5-7% stanu etatowego. Już od lat 1939-40 pełniły odpowiedzialne funkcje, w których były niezastąpione jako łączniczki, kurierki, sanitariuszki. Organizowały lokale konspiracyjnych spotkań, ukrywały kolegów tropionych przez gestapo. Los okupacyjny, podobnie jak mężczyzn – nie oszczędzał ich. Podczas pełnienia służby padały ofiarą łapanek, rewizji i zatrzymań. Schwytane przez Niemców – traktowane były z całą bezwzględnością brutalnych przesłuchań i tortur. Kończyły w obozach koncentracyjnych lub przy ścianie straceń. Tak było w całej Polsce, również na warszawskiej Pradze. Znamiennym przykładem była aresztowana w 1942 r. łączniczka Janina Rylska, która przetrzymała bestialskie przesłuchania w al. Szucha, a rok później zmarła w Oświęcimiu. Wspaniałą kartę zapisały, obok zaprzysiężonych lekarzy, liczne sanitariuszki praskich szpitali, wspomagając i ukrywając rannych (m.in. uczestników zamachu na Kutscherę) przez cały okres okupacji.

Nadszedł koniec lipca 1944 r. Zbliżało się powstanie. Zapamiętałem panią doktor Wasilewską ze Szpitala Kolejowego przy ul. Brzeskiej, z którego wynosiłem wykradane przez nią z ambulatorium medykamenty. Doktor Wasilewska, urodzona pacyfistka, wtykając mi za koszulę ampułki i opatrunki, modliła się, powtarzając: *Boże, spraw, żeby do tego nie doszło...* Zgromadzone lekarstwa odebrał doktor Stanisław Bielobradek, od lat bywały w naszym domu. O tym, że był szefem służby medycznej w Rejonie 3 i miał pseudonim „Zygmunt”, dowiedziałem się dopiero po latach.

Nieuchronna godzina „W” nadeszła. Padały strzały. Padali ranni powstańcy i przypadkowi cywile. Niemcy nie honorowali białych opa-

sek z czerwonym krzyżem. W wirze walki lub pod ostrzałem, 16-18-letnie sanitariuszki biegały z noszami lub na rękach wynosiły rannych spod ognia. Towarzyszyły również grupom szturmowym podczas desperackich ataków na umocnione stanowiska wroga. Jedną spośród nich była Zosia Szubakiewicz ps. „Nieznana”, asekurująca powstańców podczas ataku, a następnie obrony zdobytej tzw. Małej Pasty (łącznicy telefonicznej) przy ul. Ząbkowskiej 15a. Podobna rola przypadła Jance Robakiewicz ps. „Janka” i Zosi Nałęcz ps. „Sława”, uczestniczącym w morderczym ataku na ufortyfikowane koszary przy ul. 11 Listopada, od strony Michałowa. Wiele innych brało udział w służbie na terenie Targówka i Białoleki, gdzie z narażeniem życia transportowały rannych do zaimprovizowanych szpitali przy ul. Tykocińskiej, pod opiekę doktora Jerzego Wilczyńskiego ps. „Poraj”.

Cudów odwagi dokonywały sanitariuszki z plutonu sanitarnego Zosi Jodelko ps. „Zola” w Rejonie 5 (Praga Centrum), ewakuując rannych do części cywilnego Szpitala Przemienienia Pańskiego od strony ul. Sierakowskiego, pod ogniem strzelców wyborowych i cekaemów z wież kościoła św. Floriana. Ogromne, wielotygodniowe ryzyko ponosiły sanitariuszki i lekarze pod kierownictwem doktora Stanisława Bednaczewskiego w Rejonie 3 (Grochów), którzy w improvizowanych szpitalach przy ul. Siennickiej oraz w Instytucie Weterynarii ukrywali ok. 500 powstańców symulujących choroby.

Od 1 sierpnia do połowy września, z bohaterskim uporem pełniły też całodobową służbę łączniczki. Służba ich była trudna – od 4-5 sierpnia nie było na Pradze ani jednej arterii komunikacyjnej, która nie byłaby kontrolowana przez niemieckie patrole. By przebyć kilka ulic, należało posiadać prawdziwe lub fałszywe dokumenty potwierdzające tożsamość, właściwe zameldowanie i przepustkę. Bywało jednak, że nawet i to nie chroniło przed rewizją i zatrzymaniem.

Wśród licznych stałych punktów łączności funkcjonował ośrodek łącznikowy przy ul. Ząbkowskiej 17, pozostający w stałej dyspozycji komendy Rejonu 5, która zlokalizowana była przy ul. Białostockiej 20 oraz w budynku fabrycznym „Bruna”. W tym miejscu około dziesięć łączniczek, wraz z komendantką Lucyną Wilczyńską ps. „Wilma”, miały pozornie bezpieczne schronienie, przychylność lokatorów i formalny meldunek. Mimo to wydarzył się wypadek, mogący kosztować dziewczyny życie, a mieszkańców – w najlepszym wypadku obóz koncentracyjny. Około 10 sierpnia na teren budynku wkroczył pluton

żandarmerii. Odbyła się „rutynowa” kontrola. Wszystkich wypędzono na podwórko. Mężczyźni od lat 16 pod jedną ścianę, kobiety i dzieci – pod drugą. Każdy z dokumentami w ręku. Sytuację „kontrolował” ustawiony, gotowy do strzału erkaem i około dziesięciu Niemców ze szmajserami na biodrze. Reszta rozbiegła się po mieszkaniach, dokonując ścisłej rewizji. Szeptem rozeszła się informacja, że brakuje komendantki, która nie ma dokumentów, ponieważ przekazała je jednej z łączniczek, wysłanych z meldunkiem.

Stojący pod ścianami, w ponurym milczeniu oczekiwali najgorszego. Minuty oczekiwania dłużyły się jak godziny. Wreszcie ukazał się niemiecki żołdak, popychający lufą ślaniającą się komendantkę. Ku zaskoczeniu wszystkich, popchnął ją w kierunku grupy kobiet. Włosy tej 30-letniej dziewczyny stały się białe...

Przez blisko godzinę po odejściu Niemców, „Wilma” nie była w stanie wyjaśnić cudu swego ocalenia. Okazało się, że w krytycznym momencie poszła bezwiednie do kuchni, włożyła fartuch i zaczęła siekać coś na stole. Pytana przez Niemca, nie mogła wydobyć głosu, przez co wzięto ją za niespełna rozumu gospozię. Szczęśliwy przypadek uratował ok. 60 osób. Niestety, mało co kończyło się wówczas szczęśliwie.

Dwie łączniczki, wysłane przez płka Żurowskiego w celu nawiązania kontaktu z Sowietami w rejon Marek, zostały ostrzelane. Jedną z nich Niemcy schwytali, druga, ciężko ranna, przekazała informacje – niestety, najgorsze z możliwych – Sowietom się wycofują... Rozpoczyna się nowa, coraz trudniejsza skala zadań. Z terenu Pragi trzeba pilotować grupy powstańców – na lewy brzeg, do walczącej Warszawy. Brzeg Wisły kontrolują patrole, lustro rzeki oświetlają reflektory, a na ścieżkach zagrażają miny. Mimo tych przeszkód odbywają się dziesiątki przepraw. Dzielna łączniczka Halina Zanussi ps. „Krystyna” doprowadza pluton ppor. Leszka Ryłskiego ps. „San” do przeprawy przez Choszczówkę do Kampinosu. Na Grochowie Barbara Szewczyk ps. „Baśka” wynosi broń ukrytą przy ul. Podskarbińskiej 4, po czym z grupami powstańców przeprawia się przez Wisłę. Podobnie działa Małgosia Janecka ps. „Margarita”, prowadząca wielokrotnie nocne przeprawy. Podczas ostatniej, 10 września, traci nogę od wybuchu miny na Wale Miedzeszyńskim.

Stoicki spokój zachowuje komendantka Wojskowej Służby Kobiet por. Stanisława Stodółska ps. „Ewa”, której 17-letni syn, dowódca

plutonu łączności, przeprawia się przez Wisłę jako ochotnik, w dniach 14-15 września, z istotnymi dla losów Pragi meldunkami i nawiązuje trwałe kontakty z Komendą Główną AK.

W okresie tych tragicznych tygodni nawiązały się pomiędzy młodymi bohaterami trwałe uczucia, a nawet związki. Łączniczka pchor. Halina Szczebłewska i jej narzeczony por. Edward Wasilewski szczęśliwie przeprawiają się na Sadybę i tam, 2 września, biorą ślub. Niestety, w tym samym dniu giną podczas bojowych akcji oddziału.

Nieocenioną rolę spełniły w powstaniu na Pradze kobiety i kilkunastoletnie dziewczyny, przeszkolone i zorganizowane przez Wojskową Służbę Kobiet i Szare Szeregi. Przy każdym zgrupowaniu (kompanii) AK istniała sekcja łączności i sanitarna, a na terenie każdego z pięciu powstańczych rejonów Pragi funkcjonowała służba medyczna, kierowana przez doktorów: Mariana Zielińskiego, Stanisława Bielobradka, Stanisława Bednarzewskiego, Jerzego Wilczyńskiego oraz Stanisława Weibla.

PAL i AL w powstaniu na Pradze

Oba wymienione ugrupowania nie wzięły udziału w walkach powstańczych. PAL i AL dysponowały na Pradze maksymalnie siłami ok. 200 bojowców. Ich dowódcom pozostawiono swobodę działania uzależnioną od biegu wypadków. Wspomaganie AK-owskiego powstania było, z oczywistych względów, sprzeczne z ich oczekiwaniem i rolą polityczną. O istnieniu PAL i AL świadczą jedynie meldunki dowódców oddziałów AK i indywidualne relacje powstańców. Już 1 sierpnia 1944 r. zaistniały incydentalne próby kaperowania przygotowujących się do akcji oddziałów do PAL i AL. Patrol łączności por. ps. „Wesoły” oraz oddział dowodzony przez ppor. ps. „Frącek” otrzymały propozycje przyjęcia legitymacji in blanco i podporządkowania się dowództwom. Żołnierzom „Wesołego” i „Frącka” usiłowano wręczać ulotki z apelem – odezwą dowództwa PAL z 29 lipca 1944 r., podpisaną przez Juliana Skokowskiego, generała dywizji (faktycznie był pułkownikiem).⁵ Próbami tymi kierował dowódca 2 Brygady PAL na teren Pragi, mjr Bronisław Kotnowski ps. „Bronisław”. Znamienna dla dopełnienia rzeczywistego obrazu tych dni jest relacja młodego

⁵ L. Bartelski, op.cit., s. 74-77.

OBRONCY POLSKI!

Żołnierze bohaterskiej Podziemnej Armii!

Godzina czynu wybiła! Dziś Ojczyzna wzywa Was do walki otwartej!

Z dumą stwierdzamy, że niewolnikami nigdy nie byliśmy. Lud Polski egzamin zdał.

Ponieważ dowództwo t. zw. Armii Krajowej i N.S.Z. swą zbrodniczą sanacyjno-faszystowską polityką zapisało się na liście wojennych zbrodniarzy i w dzisiejszej sytuacji na bieg wypadków wpływu nie posiada, przeto cały ciężar odpowiedzialności za Niepodległość i przyszłość Rzeczypospolitej spada na Ośrodek Polskiej Demokracji (Centralny Komitet Ludowy) i na

P O L S K A A R M I Ę L U D O W A.

Wzywam więc wszystkich członków KOP bez względu na to, czy tkwią jeszcze w szeregach AK, Miecza i Pługa czy N. S. Z.

do natychmiastowego zgłoszenia się wraz z podległymi oddziałami do jednostek Polskiej Armii Ludowej, a do czasu zameldowania, od zaraz – pilnie stosować się do rozkazów i wezwań Centralnego Komitetu Ludowego i Komendy Polskiej Armii Ludowej.

Wszyscy członkowie i sympatycy PAL – natychmiast do swych oddziałów lub biur werbunkowych PAL.

Niech żyje Wolna, Ludowa Rzeczpospolita!

(-) C Z A R N Y

Komendant Polskiej Armii Ludowej
i Komendant Obrońców Polski

podchorążego Tadeusza Kostewicza ps. „Ren”, który szczęśliwie ocalał, unikając rozstrzelania na cmentarzu Bródnowskim: *Gdy rankiem 2 sierpnia dotarłem na miejsce wyznaczonej poprzedniego dnia w godz. „W” koncentracji oddziału, przed którą zatrzymał mnie na ul. Św Wincentego patrol SS, zastałem tam grupę AL-owców, pijących wódkę z własowcami*⁶.

Przyczyny takiego stanu rzeczy i prawdę ujawniają archiwalne dokumenty. Naczelne kierownictwo PAL sprawował od połowy 1940 r. ppor. rezerwy Henryk Borucki ps. „Czarny” – człowiek o wybujałych ambicjach, dążący do osiągnięcia możliwie wysokiej pozycji politycznej. Jego niechęć do ZWZ i AK wynikała z przyczyn nie tyle natury ideologicznej, lecz z obsesyjnej obawy przed oczywistą weryfikacją stopnia wojskowego. Ta dekonspiracja sytuowałaby go, co najwyżej, na poziomie dowódcy plutonu. Funkcja wiodąca w organizacji, w której – za pomocą zręcznej manipulacji – zmitologizował swoje umiejętności i zasługi, czyniąc się ideowym wodzem, byłaby wykluczona.

Fakty i dokumenty ujawniają prawdę i obalają mit osoby Boruckiego. Ucieczka z Pawiaka (w 1942 r.) nie zawierała żadnego elementu bohaterskiego ryzyka. Była zorganizowaną z zewnątrz, przy pomocy przekupionych strażników, zbiorową ucieczką, jedną z kilku, jakie udało się przeprowadzić. Kolejna ucieczka – w 1943 r. – z transportu do Majdanka, była szczęśliwym zbiegiem okoliczności odbicia transportu więźniów w lasach za Celestynowem.

Kim naprawdę był Borucki? Miał maturę, co w standardach jego czasów dawało poczucie przynależności do inteligencji. Był pracownikiem umysłowym, zatrudnionym na stanowisku komendanta obrony przeciwlotniczej w Zakładach Amunicyjnych „Pocisk” na Grochowie. W wojnie 1939 r. nie brał udziału. Rodzina Boruckich posiadała majątek rolny w Belsku koło Grójca, a ich status materialny zapewniał im pewne wpływy w okolicy. Nie był również „Czarny” typem charakteru dążącego potwierdzić swój patriotyzm w bezpośredniej walce. Nigdy nie brał udziału w żadnej akcji zbrojnej, podobnie zresztą, jak wszystkie podległe mu oddziały – do 1 sierpnia 1944 r. Jego kwalifikacje wojskowe były na poziomie średnio-teoretycznym.

⁶ Nagranie autoryzowane w posiadaniu autora opracowania.

Był również, mimo trudnego czasu wojny i okupacji, człowiekiem materialnie zapobiegliwym. Niedługo przed powstaniem, które w swoich kalkulacjach w Warszawie wykluczał, nabywa plac przy ul. Targowej i planuje budowę kamienicy. Znamienny jest również jego koniunkturalizm. W latach 1939-41 jest jawnym, programowym zwolennikiem idei polskiego rządu oraz instrukcji premiera Władysława Sikorskiego, co przebija z łam konspiracyjnie kolportowanej prasy KOP-PAL pt. „Polska żyje”. Zmiana ideologiczna dokonuje się w nim z chwilą, gdy o dalszej pomocy finansowej rządu emigracyjnego ma decydować obligatoryjnie scalenie z ZWZ-AK. Brak finansowego wsparcia wpływa istotnie na topnienie szeregów PAL. Większość narad sztabowych PAL odbywających się na przestrzeni 1943 r. dotyczy optymalnych metod zbierania składki członkowskiej na utrzymanie organizacji. Ideologia organizacji ma lewicowe nastawienie. Intuicja podpowiada „Czarnemu”, że ogólna orientacja „na Sowiety” i akceptacja lewicowych haseł może dać szansę na realizację jego nadziei po zakończeniu wojny. Unika, pomimo potwierdzonych kontaktów, jednoznacznego połączenia z AL i PPR. Zdaje sobie sprawę, że tam także – podobnie jak w AK – jego miejsce w szeregu „zasłużonych” będzie odległe.

W latach 1943-44 pojawia się w dokumentacji na temat „Czarnego” motyw współdziałania z gestapo, co potwierdza archiwalny wyciąg z Informacji Politycznej AK z dnia 21 czerwca 1944 r.: *Dot. Skokowski, Borucki. Tereny ich pobytu znane gestapo. Jaktorów pod obserwacją gestapo. „Czarny” – szczupły, wysoki blondyn, zamieszkuje na ul. Szustra pod nazwiskiem Kisielewski, w lokalu, który jest lokalem grupy konfidenckiej gestapo*⁷. Jest to możliwe, ponieważ niemiecki wywiad rozpracował PAL i ocenił prawidłowo jego słabość militarną, traktując jako źródło informacji o innych organizacjach. Również fakt, że PAL demonstrował publicznie wrogą postawę wobec AK, był dla gestapo ważniejszy, niż likwidacja niegroźnej praktycznie formacji.

Pełne napięcia dla warszawiaków dni 23-27 lipca, „Czarny” spędza w rodzinnym majątku w Belsku, co – jak na formalnego przywódcę – nie licuje z elementarną odpowiedzialnością. Do Warszawy

⁷ Archiwum IPN BU 0259/573, Akta karno-śledcze MSW, t.1, s.4, 16, 17, 23, 251; t.2, s.73, 90-96

wyrusza 29 lipca, uspokojony wiadomościami od małżonki (pobyty w stolicy pozwala jej stwierdzić, że powstania nie będzie; ma wrażenie, że Niemcy opanowali panikę odwrotu z Frontu Wschodniego). Podobnie ocenił sytuację Sztab Wojskowy PAL, czego dowodem jest zaplanowanie i organizacja narady w dniu 1 sierpnia (przy ul. Szustra 24). „Czarny” nie miał pojęcia o godzinie „W” – w tym samym czasie zajęty był, wraz z jednym z PAL-owców, liczeniem wpływów ze składek. Okres powstania Borucki przetrwał poza miastem, ukrywając się na terenie powiatów Grójec i Piaseczno u członków organizacji.

Płk Skokowski ps. „Zaborski” przeznaczył „Czarnemu” (od kwietnia 1944 r.) pozycję przewodniczącego organizacji, a sam objął realną funkcję dowódcy Sztabu PAL. Poparcie dla swoich intryg uzyskał awansując szerokie grono kadry na absurdalne stopnie wojskowe, nie zapominając również o sobie i mianując się generałem dywizji. Formacja PAL w Warszawie składała się ostatecznie z kompanii oficerów stopni od średniego po generalskie. Około półtora plutonu stanowiły także szarże niższe. Przytomność umysłu nie opuściła „Zaborskiego” nawet podczas powstania, w którym zaskoczone sytuacją drobne oddziały prokomunistyczne i lewicowe usiłowały odnaleźć właściwą pozycję polityczno-wojskową. Skokowski zaproponował „zagubionym” koncepcję utworzenia Dowództwa Zjednoczonych Sił Zbrojnych AL, PAL i KB, obejmując dowództwo osobiście. Manewr udał się, choć miał znaczenie czysto formalne. W dniu 15 września PAL-owcy wstąpili oficjalnie do AL.

Skokowski był właścicielem willi w Jaktorowie, posiadłości ziemskiej (liczącej 50 ha) oraz domu na Żoliborzu. Podczas okupacji w willi kwaterował znajomy mu oficer SS. Małżonka Skokowskiego, właścicielka hurtowni artykułów spirytusowych, prowadziła do 1945 r. ożywiony handel z Niemcami. Skokowski, już jako członek AL, doczekał nadejścia Sowietów i 1 lutego 1945 r. zgłosił się do LWP, w którym zakwalifikowano go jako gen. brygady i mianowano dowódcą okręgu wojskowego Kraków. Jeszcze przez trzy lata los sprzyjał Skokowskiemu. Ostatecznie zgubiła „Zaborskiego” nieubłagana inwigilacja UB i NKWD, własna pycha i arogancja. Aresztowany w kwietniu 1948 r., skazany został na 15 lat więzienia oraz 5 lat pozbawienia praw publicznych.

Jeszcze szybciej los pokarał „Czarnego”. W styczniu 1945 r. odnalazł go, w gajówce pod Sękocinem, jeden z najwierniejszych jego pretorianów – Zygmunt Malanowski ps. „Turkus”. Malanowski opisał stan

M.p., dnia 25 lipca 1944 r.

R o z k a z Nr. 59/Przygotowawczy

1.
arządzenie
ogotowia.

Zarządza wprowadzenie w stan natychmiastowej gotowości:

- a/ Wszelkie dowództwa - począwszy od d-cy plutonu wzwyż,
- b/ Sztaby,
- c/ Łączność,
- d/ Oficerów lub podoficerów łącznikowych do oddziałów sąsiednich /Łączność do D-twa, do podkomendnych i do sąsiadów/.
- e/ Zwiady w stosunku do npla w obrębie swego pasa działań.
- f/ Pluton szturmowy /15 w pogotowiu stałym + 20 rezerwa/.
- g/ Kompania szturmowa z każdej brygady. Termin gotowości od otrzymania rozkazu "alarm" - 6 godzin.
- h/ Wszelkie brygady zameldują D-cy Korpusu, przewidywany czas gotowości bojowej.
- i/ Podać D-cy Korpusu m.p.d-ców brygad / 2 kwatery/
- j/ Kierownictwa biur werbunkowych działają i łączność utrzymują od zaraz, personel zaś - stan gotowości 6 godzin.

.Służba
irowia.

- a/ Szef Oddz. VII przygotowuje personel i materiał rat. san. i podaje punkty D-cy Okr. Korp. Nr. 1
- b/ Każdy D-ca brygady, wykorzystując personel lekarski rat. san. zorganizuje służbę zdrowia dla własnej brygady.

.Zaopatrze-
ie.

- a/ Od dnia dzisiejszego rozpoczyna działalność Wydział K.G. który uruchamia następujące działy:
 - 1. Kierownictwo uzbrojenia /zdobywanie, zakupowanie, produkcja, magazynowanie i rozdział broni i amunicji/.
 - 2. a/ Intendentura / Zdobywanie, produkcja, zakup i rozdział umundurowania i zaopatrzenia/
 - 2 b/ Intendentura /Zdobywanie, magazynowanie, i rozdział żywności
 - 2 c/ Intendentura /druki, książki, legitymacje, oznaki, proporce, flagi, i tp./
 - 2 d/ Intendentura /Gospodarka pieniężna/.
- b/ Wszyscy d-cy OK i brygad niezależnie od przydziału otrzymanych z góry, dołożą wszelkich starań z własnej inicjatywy, by działy te na odpowiednich terenach funkcjonowały sprawnie. Podkreślam, że wiele części uzbrojenia, zaopatrzenia i środków transportowych należy zrzęcznie improwizować, wykorzystując różnego rodzaju prymitywne środki zastępcze.

Broń pancerna.

D-ca Warsz. Baonu Panc. przydzielony jest do d-wa Korp. 1. Zadaniem jego jest zarejestrować, zagarażować oraz przydzielać oddziałom wszelkie pojazdy mechaniczne. Zgrupować personel fachowy. Uruchomić warsztaty i opanować składy materiałów pędnych.

opaganda.

- a/ Propagandę i działalność polityczną kieruje Wydział IX K-dy Gł. P.A.L.
Ośrodkami politycznymi na zapleczu brygad będą:
 - a/ Biura werbunkowe,
 - b/ Punkty CKL.,
 - c/ Punkty PSD i innych stronnictw CKL.

b/ Pierwsza część materiału propagandowego rozkazana zostaje wraz z rozkazem niniejszym. Dwa brygad, K-dy okręgów i Kierownictwa Biur Werbunkowych traktować to muszą jako materiał mob., który bez ujawnienia musi być przechowywany. Po rozkazie "alarm" należy te materiały szeroko rozpowszechnić przez plakatowanie. Obecnie wolno zacząć /tylko część rozpowszechniać plakaty zatytułowane "Obroncy Polski" oraz małe ulotki /Do żołnierzy AK. i Ludu Polski"/.

m.p.

/-/ CZARNY

NACZELNE DOWÓDZTWO
POLSKIEJ ARMII LUDOWEJ

Zgodność z oryginałem
s t w i e r d z a m :

Odbitka xero z oryginalnego odpisu Rozkazu Naczelnego Dowództwa PAL wykonanego przez płka Małanowskiego ps. „Turkus”. Rozkaz ten jest niemal stuprocentową mistyfikacją. Język i sformułowania wykazują skrajny dyktantyzm formuł wojskowych. Dokument ten miał prawdopodobnie służyć za dowód aktywności nieistniejących realnie formacji PAL. Świadczy też o konkurencyjnym dualizmie w kręgach dowódczych PAL, w których oficjalnie Naczelnym Dowódcą „sił zbrojnych” PAL był już od kilku miesięcy Julian Skokowski.

psychiczny Boruckiego jako bardzo zły. „Czarny” wyznał, że w okresie od sierpnia do listopada 1944 r. wysłał do Sowietów dwóch zaufanych PAL-owców, lecz nie otrzymał potwierdzenia ani odpowiedzi. Nie miał pewności, czy nadeszła już pora, aby ujawnić się. Ostatecznie zjawił się dnia 1 lub 2 lutego w Belsku, gdzie prawie natychmiast przybyły dwa samochody NKWD i UB i przewiozły go do Warszawy. Tam, pobity przez gen. NKWD Iwana Aleksandrowicza Sierowa, trafił pod sąd wojskowy i skazany został na 15 lat więzienia.

Od zdrady do zbrodni

Kim byli w rzeczywistości Henryk Borucki i Julian Skokowski? „Czarny” od 1942 r. współpracował formalnie z gestapo. Jego próby utrzymania pozycji czołowej w PAL przekreślił w 1944 r. inny agent wywiadu niemieckiej Abwehry – właśnie Julian Skokowski. Prawdy o sobie dowiedzieli się obaj agenci na około 10 dni przed powstaniem, co nie w płynęło na poprawę wzajemnych stosunków.

Mając nadzieję na zatajenie współpracy z Niemcami, obaj żywili swe wygórowane ambicje marzeniami o uzyskaniu wysokich funkcji w powojennej Polsce, za cenę działań wspierających KRN i PKWN. Jednocześnie na bieżąco kalkulowali ryzyko „kto pierwszy na drugiego zdąży złożyć doniesienie”. Tu los przejściowo sprzyjał Skokowskiemu, którego NKWD i UB rozpracowało ostatecznie dopiero po kilku latach. Boruckiemu, pomimo znacznie dłuższego zbrodniczego działania na rzecz PPR i Sowietów, los wyznaczył rolę pierwszej ofiary.

W katalogu ciemnych i haniebnych dokonań obu przywódców PAL znalazły się m.in.: deklaracja złożona wiosną 1944 r. delegatom KRN z Osóbką-Morawskim na czele, o jak najszybszym postawieniu PAL do ich dyspozycji, rozkaz z lipca 1944 r. nakazujący jednostkom PAL rozbijanie wskazanych placówek i oddziałów AK, rozkaz likwidacji kilku wskazanych dowódców AK, pełna pomoc funkcjonariuszom gestapo i ich rodzinom zagrożonym podczas powstania warszawskiego, akty denuncjacji Niemcom o miejscach ukrywania się AK-owców po kapitulacji powstania warszawskiego w okolicach podwarszawskich.⁸

⁸ Archiwum IPN..., op.cit.

Powyższe i wiele innych, podobnych informacji, zawierają tomy dokumentacji w IPN, dotyczące również liczного grona funkcyjnych towarzyszy obu agentów, współtowarzyszy w zdradzie sprawy narodowej. Rzecz jasna, nie wszystkich członków PAL-AL poddać możemy takiej ocenie. Lewicowe poglądy wielu z nich spolaryzowały się w tej jałowej dla sprawy narodowej formacji, wielu omamił fałszywy mit przywódców.

Ludność cywilna

W okresie od 1 sierpnia do 14 września 1944 r. warunki materialne ludności obniżyły się do skrajnego minimum egzystencji. Ustało całkowicie zasilenie w wodę pitną, elektryczność i gaz. Ustała wszelka możliwość dowozu żywności ze strefy podmiejskiej. Młyny, piekarnie i rzeźnia objęte zostały ścisłą kontrolą żandarmerii, a produkcja skierowana została prawie wyłącznie na potrzeby wojska.

Opieka medyczna dla polskich cywilów prawie nie istniała, a kilka improwizowanych punktów medycznych tolerowanych przez Niemców, zapelniali w większości ranni lub symulujący chorobę powstańcy. Zakup potrzebnego lekarstwa był utopią. Pozbawione dostaw żywności sklepy były zamknięte. Podstawę wyżywienia stanowiły przeważnie mizerne zapasy domowe, skąpe racje deputatów (głównie chleb, mąka, kasza, margaryna), wydawane w zakładach osobom pracującym dla Rzeszy. Tysiące kobiet i dzieci plądrowało tereny ogrodów działkowych na przedpolu Targówka i istniejących niegdyś na obszarze dzisiejszego Stadionu Dziesięciolecia i Saskiej Kępy, ryzykując w odkrytym polu ranienie ogniem samolotów i ostrzał artyleryjski, w celu zdobycia warzyw i owoców. Mleko i nabiał były artykułami nieosiągalnymi. Kilkanaście krów, które nielegalnie znajdowało się na Targówku i Utracie, nie mogło zaspokoić potrzeb setek matek, stojących w kolejce z płaczącymi na rękę niemowlętami, czy słaniających się z wycieńczenia chorych. Ludność, przez półtora miesiąca zmuszona żyć w takich warunkach, myślała prawie wyłącznie o przetrwaniu. Na oczach rodziny umierali najbliżsi, a każdy dzień niósł obawę o następny. Wiele rodzin wegetowało praktycznie bez dachu nad głową, znajdując schronienie w piwnicach i na schodach, ponieważ ich domy uległy zniszczeniu lub zostały zajęte na potrzeby wojska.

Nie próżnowała w tym czasie komunistyczna agitacja prowadzona przez siatkę AL-PAL-PPR. Przed końcem sierpnia zaczęły pojawiać się ulotki, prymitywnie oskarżające dowództwo i oficerów AK, gloryfikujące jednocześnie PKWN i Sowietów. Propaganda ta, w obliczu ciągłego poczucia zagrożenia i płonącej za Wisłą Warszawy, stopniowo szerzyła dezorientację i obawę ujawniania politycznych przekonań. Śmierć i głód powodowały, że dotychczasowe wartości przegrywały z elementarnym pragnieniem przeżycia – za każdą cenę. Podobnie – w szeregach oddziału AK, liczącego blisko 1000 ludzi trwających w konspiracji (choć podkreślić jednocześnie należy, że nowa idea komunistycznej propagandy, maskowanej hasłami PKWN, zaczęła znajdować raczej koniunkturalnych zwolenników, a utajona wśród nich agentura siała zwątpienie). Podczas walk toczonych przez Sowietów na Grochowie i Targówku czynnie wsparty ich oddziały AK, dowodzone przez ppor. Zbigniewa Polaka ps. „Tumry” i Władysława Korczaka ps. „Antek” (w dniu 14 września). Oddziały KB, przekonane, że w Lublinie dowództwo ich uznało PKWN, zgłosiły się do szeregów LWP. Agentura – na długo przed 14 września – rozpracowała tożsamość i miejsca pobytu dowódców AK, m.in. płka „Andrzeja” i jego sztabu.

Zgodnie z faktami, stosunkowo duża grupa zaagitowanych popleczników PPR i PKWN koncentrowała się na terenie Targówka i Marek (ok. 200 osób). Źródeł tej koncentracji należy doszukiwać się w konspiracyjnej działalności polskich komunistów, zrzuconych przez Sowietów już w końcu 1941 r., którzy weszli w struktury konspiracyjne już tam funkcjonujące. Prawdopodobnie w drodze denuncjacji Niemcom wyeliminowali do 1942 r. dwie istotne dla tego rejonu postacie – organizatorów konspiracji z ramienia ZWZ: ppor. Stefana Wyrobka ps. „Żyłka” i ks. Jana Gołędzinowskiego, kapelana ZWZ-AK, proboszcza parafii kościoła przy ul. Tykocińskiej. Jeden z sowieckich zrzutków spadochronowych, ppor. Jerzy Ziółkowski ps. „Jagan”, przejął szkolenie bojowo-ideowe lokalnej młodzieży.¹⁰

Nie można jednak zaprzeczać faktom, że w dniach 14-15 września ludność cywilna Pragi powitała Sowietów radośnie, przejawiając sympatię szczególnie w stosunku do polskich oddziałów „kościuszkowców”. Wyczuwalną była ogromna ulga oddalenia terroru okupanta i radość z jego widocznej klęski oraz nadzieja, że za dzień-dwa, uwolniona

¹⁰ L. Bartelski, op.cit., s. 27 i 39.

zostanie lewobrzeżna Warszawa. Nie bez znaczenia były również akcje rozdawania wygłodniałym mieszkańcom gorącej zupy i żołnierskiego chleba – luksusu długo przez wielu niezazanego. Rzesze wynędzniałej ludności rabowały opuszczone i często podpalone przez Niemców magazyny żywności, m.in. na terenie Dworca Wschodniego, koszar i rzeźni miejskiej. Optymizmem tchnęła również wiadomość, że „nasi” walczą już w Warszawie. Dotyczyło to desantu jednostek 1 Armii LWP na Czerniaków.

Nadzieja, że Warszawa będzie wolna, a znajdujący się tam bliscy i walczący uwolnieni od pożarów, nędzy i śmierci, nie trwała długo. Niedoświadczone w taktyce walki ulicznej oddziały tzw. „berlingowców”, pozbawione jakiegokolwiek pomocy i wsparcia Sowietów, ginęły w walce. Ludność Pragi nie wiedziała również, że w dniu 19 września do sztabu gen. Rokossowskiego dotarł z Warszawy patrol KG AK – z pisemną propozycją operacyjnego współdziałania w celu wyparcia Niemców z Warszawy. Do dyspozycji sztabu 1 Frontu Białoruskiego dostarczono wszystkie elementy umożliwiające podjęcie natychmiastowej łączności radiowej oraz kablowej – za pośrednictwem przewodów znajdujących się na skrzyżowaniu ulic: Zieleniecka–Grochowska. Stały kontakt umożliwiał koordynację skutecznego ognia artyleryjskiego i celów dla lotnictwa bombowego na pozycje niemieckie.

W skład patrolu AK wchodziło pięciu oficerów AK, wśród nich również szyfrant por. Edward Majcherczyk ps. „Marat” oraz oficer propagandy AL por. Władysław Jagiełło ps. „Król”. Parametry dotyczące lokalizacji pozycji niemieckich (które Sowietci mogli otrzymywać na bieżąco, dzięki wywiadowi sprawowanemu przez por. Majcherczyka), gwarantowały możliwość ich całkowitego rozbicia w ciągu kilku dni. Sowiecka generalicja nie była, niestety, zainteresowana wykorzystaniem tej szansy. AL-owca oddzielono od składu patrolu, a pozostałych poddano wielodniowym przesłuchaniom i finalnie skierowano do łagru.

Przez dziesięciolecia nie znano prawdy o rzeczywistym przebiegu kontaktów komendanta Pragi płka „Andrzeja” z przedstawicielami „nowej władzy”. Zdekonspirowany przez środowisko KB – już podczas drogi do Komendy Garnizonu, na rozmowę z gen. Kieniewiczem, został brutalnie zaczepiony przez sowieckiego żołnierza. Padło pytanie o miejsce przebywania AK-owców i groźba ich natychmiastowego rozstrzelania. Na ul. Targowej drogę zastąpił mu ppor. Józef Światło

(prawdziwe nazwisko Fleischfarb), domagając się (jako szef Urzędu Bezpieczeństwa na Pradze), aby „Andrzej” zameldował się u niego, gdyż wie, kim jest Żurowski i do kogo udaje się pułkownik.

W Komendzie Garnizonu Żurowski spotkał się z gen. Bolesławem Kieniewiczem, Edwardem Ochabem i gen. Zygmuntem Berlingiem. Domagano się od niego wydania odezwy do trwających w konspiracji oddziałów AK na Pradze – z nakazem natychmiastowego ujawnienia, wstąpienia do LWP i uznania KRN i PKWN. Obiecywano mu awans generalski i dowództwo pułku, którego skład mieli stanowić AK-owcy. Próbowano też wymóc na „Andrzeju” ujawnienie struktur AK oraz nazwisk i adresów. Żurowski odmówił. Jedyne, na co wyraził zgodę, to ujawnienie struktury Rejonu 5. Wiedział, że Rejon ten jest już i tak zdekonspirowany przez mjra Bobrowskiego z KB. Odezwę wzywającą do wstępowania AK-owców do armii Berlinga napisał przy zastrzeżeniu podporządkowania dowództwa w walce wyłącznie przy zachowaniu odrębności ideologicznej i honoru przysięgi złożonej rządowi RP na emigracji. Komuniści odezwę sfalszowali oraz opublikowali w prasie i na plakatach.

Płk Żurowski został objęty ścisłym nadzorem, aresztowany i dwukrotnie skazany na karę śmierci przez sąd wojskowy. Przeżył, odbity z transportu przez oddział AK por. Mariana Bernasiaka ps. „Orlik” (stracony w roku następnym w praskim więzieniu „Toledo”).

Mobilizacja praskich powstańców do LWP, prowadzona pod presją i fałszywymi hasłami, dała mierny plon ok. 200 osób. Szybko opadła też na Pradze fala radości, wynikająca z końca niemieckiej okupacji. Zaczęto dostrzegać zagrożenie wypływające z nowego reżimu, całkowitą zależność od NKWD i UB, jak też przejawy politycznego terroru. W ciągu czterech miesięcy Praga znalazła się w strefie pierwszej linii frontu, pod ciągłym ostrzałem artylerii niemieckiej zza Wisły i ostrzału strzelców wyborowych. Bezpieczeństwo kończyło się na linii ul. Targowej, której skrzyżowanie z Ząbkowską zyskało nazwę „róg śmierci”. Noce, podczas których trwał ostrzał, ludność zmuszona była nadal spędzać w piwnicach. Codziennie ginęli ludzie. W domach panował przejmujący chłód, a z nadejściem jesieni i zimy – mróz. Okna zabijano deskami – wszystkie szyby zniszczone były przez detonacje. Zapobiegliwsi opatrywali okna materacami, które chroniły skuteczniej, tak przed zimnem, jak i odłamkami. Przygotowywanie posiłków i mierne ogrzewanie zapewniała

w mieszkaniach „koza” – prymitywny piecyk, skonstruowany z cegieł spojonych gliną i doprowadzony blaszaną rurą do kanału wentylacyjnego, bądź po prostu za okno. Oświetlenie stanowiły lampy naftowe, świece i kaganki, choć nawet te skąpe źródła światła nie były dostępne dla każdego. W piwnicach i schronach wciąż trwały modlitwy o rychły koniec wojny, o powrót najbliższych z obozów, powstania, oflagu i – coraz częściej – z nowej, sowiecko-ubeckiej niewoli. Tylko w okresie od 1 sierpnia do 15 września Niemcy wywieźli z Pragi na przymusowe roboty ok. 10 tysięcy mężczyzn. Ilu prażan ogarnęły sowieckie i ubeckie represje – do dziś nie jest wiadome.

Tragiczne tajemnice Pragi

Już od pierwszych dni po wejściu Sowietów rozwijał się – początkowo mało dostrzegalnym nurtem – ponury proceder terroru NKWD wspomaganego przez UB i coraz liczniejsze rzesze tajnych współpracowników (TW). W pierwszej fazie skierowany został przeciwko zwlekającym z ujawnieniem się AK-owcom, objętych formalnym rygorem wstępowania do LWP. Ujawniających się oficerów i podoficerów często aresztowano, zaś tych, którzy podjęli służbę wojskową zatajając stopień, eliminowano – kierując po rozpracowaniu pod sąd wojskowy lub do karnych kompanii. Prześladowaniem aresztu, więzienia i wyroków objęto następnie służbę cywilną wspierającą AK. Kiedy poszukiwani ukrywał się – aresztowano członków najbliższej rodziny. Trzeci rzut objętych obławą stanowili powracający z terenów pozawarszawskich AK-owcy, poszukujący rodzin, bliskich i znajomych, a do końca września – grupy AK, usiłujące przedostać się do jeszcze walczącej Warszawy.

Patrole NKWD i UB zatrzymywały na ulicach, w lokalach publicznych oraz w mieszkaniach prywatnych (na podstawie donosu). Najobfitsze żniwo zbierano na dworcach kolejowych, gdzie oficjalnie legitymowano nieomal wszystkich mężczyzn. Szczególnie tragicznie zapisały się w tej procedurze Dworzec Wschodni oraz nasypy torów na trasie od Gołędzinowa do Targówka. Tu pociągi zwalniały bieg. Ci, którzy pragnęli uniknąć infiltracji na stacji, ryzykowali skok z wysokiego nasypu, usiłując zbiec prześladowcom. W tej okolicy dzień i noc czaiły się patrole NKWD. Ujętych, często ranionych podczas pościgu,

prowadzono do znajdującego się w dyspozycji NKWD obiektu. Był nim istniejący do dziś budynek przy ul. 11 Listopada 68 (obecnie składnica złomu). Tu mieściła się główna katownia i zarazem sowiecki Trybunał Wojenny. Wyroki wykonywano na miejscu. Sprzężoną z tym obiektem rolę pełniła znajdująca się po drugiej stronie torów tzw. „górką rozrządową”, z której wieżyczki istniał daleki zasięg obserwacji i ostrzału. Ofiary zbrodni grzebano nocą, u podnóża nasypu torów. Te bezimiennie ofiary przetrwały w pamięci okolicznych mieszkańców do połowy lat 70. XX w. Tam najdłużej stał drewniany krzyż, a troskliwe ręce sadziły wokół niego kwiaty i paliły znicze. Dla zatarcia śladów zbrodni, towarzysze z KC PZPR zlecieli tow. min. Januszowi Wieczorkowi i b. ubekowi płk. Henrykowi Urbanowiczowi ustawienie w tym miejscu typowego pomniczka – ku pamięci 27 Polaków, rozstrzelanych przez Niemców w maju 1944 r. Dnia 12 września 2008 r. pracownicy naukowcy Instytutu Pamięi Narodowej oraz autor niniejszego opracowania zidentyfikowali w budynku przy ul. 11 Listopada 66 piwnice dostosowane przez NKWD do funkcji prymitywnych cel. Uzyskali ponadto informacje, iż na posesji nr 68a, na niedużej głębokości, spoczywają ludzkie szczątki.



W tym niepozornym budyneczku przy ul. 11 Listopada 68, gdzie mieści się obecnie składnica złomu, funkcjonował w l. 1944-45 obóz infiltracyjny NKWD, połączony z sądem doraźnym i egzekucją wyroku włącznie. Był on realizacją rozkazu gen. Sierowa, skierowaną przeciwko AK-owcom, którzy usiłowali przedostać się na teren Pragi. Ofiary przesłuchań i egzekucji grzebano bezimiennie na poboczach nasypu kolejowego od strony Targówka. Ile tych ofiar było – pozostanie na zawsze tajemnicą. Fot. H. Kossowski

Poza tą szczególną enklawą NKWD istniały na terenie Pragi dziesiątki innych miejsc komunistycznej kaźni, m.in. przy ul. Strzeleckiej 10/12, ulicach: Cyryla i Metodego, Sierakowskiego, w piwnicach wielu budynków zarekwirowanych na użytek UB i opuszczonych willi na terenach podmiejskich. W końcu listopada uruchomiono więzienie w koszarach przy ul. 11 Listopada, w którym funkcjonował kombinat zbrodni – od przesłuchań, poprzez sąd, do egzekucji włącznie. Obiekt ten zyskał z czasem potoczną nazwę „Toledo”.

O rozmiarach praskiej kaźni świadczyć mogą dane dotyczące liczby miejsc dla więźniów w tutejszych katowniach. Sam obóz w Rembertowie mógł pomieścić ok. 2000 więźniów, „Toledo” – ok. 300, a w posiłkowych miejscach – minimum 200 osób. Daje to łączną liczbę ok. 2500 więźniów przetrzymywanych jednorazowo. Nie były to areszty i więzienia stacjonarne. Rotacja w nich przebiegała bardzo szybko, co zapewniał „przerób” ok. 100 wyroków dziennie i deportacje na „szerokie tory” od kilkuset do dwóch tysięcy osób miesięcznie. Oczywiście, oprócz AK-wców w punktach tych znajdowali się również volksdeutsche i zwykli kryminaliści, lecz nie stanowili oni więcej niż 20% przetrzymywanych.

Jak przebiegał cykl aresztowania, śledztwa i procesu po wyrok, wiemy m.in. z opisu płka Żurowskiego¹¹, który trafił do „Toledo” po czterech tygodniach przetrzymywania przez NKWD, wraz z sześcioma innymi AK-owcami, w piwnicy 4x5 m, bez światła, na garści zawieszanej słomy. W „Toledo” przesłuchiwali go: gen. Karol Świerczewski, Grzegorz Korczyński, mjr Dusza i kpt. Józef Światło oraz oficerowie NKWD. Rozprawa w sądzie trwała ok. godziny. Zarzut – art. 1 kpk z 30 października 1944 r.: zamach zbrojny na ustrój państwa, obciążająca okoliczność – służba w AK, jako organizacji przestępczej. Narada sądu przed ogłoszeniem wyroku to przerwa na papierosa. Wyrok – kara śmierci.

W „Toledo” wyroki zwykle wykonywano nie później niż w ciągu 3-7 dni lub natychmiast, by skazany nie zdążył napisać podania o ulaskawienie. Wyroki na Niemcach, volksdeutschech i kryminalistach wykonywano przeważnie przez powieszenie na drzewie przed budynkiem więzienia. AK-owców rozstrzeliwano, a większość

¹¹ Pamiętniki płka A.W. Żurowskiego, cz. *Wspomnienie*, mps w posiadaniu autora opracowania, s. 1-20.

Mr. G.101/45. Wyrok w Imieniu Rzeczypospolitej Polskiej. Dnia 2 lutego 1945 r. Wojskowy Sąd Garnizonowy w Warszawie w składzie: Przewodniczący: por. Garnowski Władysław, Sędzią: ppor. Krzewski Eugeniusz, Ławnik: ppor. Mucha Adela z udziałem plut. Czekaj Michała jako protokółanta bez udziału oskarżyciela i obrońcy na niejawniej rozprawie rozpoczął sprawę Nowickiego Edwarda s. Stanisława, urodzonego 30.IX.1910 r. w Mińsku Litewskim, przed aresztowaniem nie mającego stałego miejsca zamieszkania, oficera zawodowego W.P. w stopniu porucznika, wykształcenia średniego w Korpusie Kadetów, z rodziców ślusarzy, wykształcenia wojskowego: szkoła podchorążych zawodowa, w okresie okupacji należącego do P.Z.P. a obecnie do A.K., biorącego udział w walkach partyzanckich w sierpniu 1944 r. w okolicy Mińska i Ostrowia Maz. w stopniu porucznika, kawalera, majątku, orderów i odznaczeń nie posiadającego, ze słów niekaranego, oskarżonego z art.1 Dekretu o Ochronie Państwa z dnia 30.I.1944 r. /Dz.U.R.P. poz.50/. W toku przewodu sądowego ustalono, że oskarżony po zajęciu Ostrowia przez Armię Czerwoną i Wojsko Polskie, aż do dnia 22.XII.1944 r. należał do związku A.K. mającego na celu obalenie demokratycznego ustroju Państwa Polskiego. Organizacji tej pełnił funkcję oficera łączności obwodu, a następnie funkcję Komendanta Obwodu. W tym czasie posiadał dwa aparaty radio nadawcze i odbiorcze oraz prądnice i starał się nawiązać łączność radiową z Rządem w Londynie. Jako oficer zawodowy w stopniu porucznika wbrew swojemu obowiązкови nie uczynił żadność publicznie wezwaniu do służby w Wojsku Polskim. Do służby w Wojsku Polskim nie zgłosił się dlatego, że od dowództwa A.K. otrzymał rozkaz pełnienia funkcji oficera łączności w tejże organizacji A.K. Czynem tym popełnił przestępstwo z art.1 Dekretu o Ochronie Państwa z dnia 30.I.1944 r. /Dz.U.R.P. Nr.10 poz.50/ na podstawie tych ustaleń oraz art. 200 K.P.K. Wojskowy Sąd Garnizonowy w Warszawie o r z e k ł : oskarżonego Nowickiego Edwarda s. Stanisława uznać winnym zarzucanego czynu i za to na mocy art.1 wspomnianego Dekretu skazać go na karę śmierci, na mocy art. 12 tego Dekretu pozbawić go publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze ; na mocy art. 13 tego Dekretu zarządzić przepadek na rzecz Skarbu Państwa całego mienia skazanego. Wyrok jest ostateczny i zaskarżeniu nie podlega. Przewodniczący: /-/ por. Garnowski, Sędzią: /-/ ppor. Krzewski, Ławnik: /-/ ppor. Mucha Wyrok zatwierdzam D-ca Garnizonu: Grażewicz. 10/2-45r.

Kierownik Archiwum

Służby Sprawiedliwości M. O. N.



PREZANTYCHUNT
major

Arch. 347/57/160 Tom I
str. 110.

egzekucji wykonywał nie pluton egzekucyjny, lecz „doskonalący się” w rzemiośle kata z powołania – naczelnik więzienia por. UB Jerzy Szymonowicz. Egzekucja odbywała się w piwnicy lub na schodach – strzałem z nagana w tył głowy – metodą katyńską. Za wykonanie wyroku Szymonowicz¹⁵ otrzymywał wynagrodzenie – 500 zł. Ofiary początkowo były grzebane w dołach na terenie więzienia, a następnie na pobliskim byłym cmentarzu „choleryków”, na obrzeżu terenu koszar.

W ciągu miesiąca od aresztowania, po katowskich przesłuchaniach, osądzony, skazany i rozstrzelany został – wraz z kilkoma AK-wcami z 13 pp AK – por. Edward Nowicki ps. „Tyczka”. Obok publikujemy odpis wyroku (pozyskany przez siostrzenicę straconego). Prof. Leon Łustacz (pracownik Zarządu Sądownictwa Wojskowego), w rozmowie z autorem niniejszego opracowania, potwierdził, że prośby o ulaskawienie do Bieruta „Tyczka” nie napisał. Wyrok wydano 9 lutego 1945 r., a wykonano 11 lutego 1945 r.



Por. Edward Nowicki, syn Stanisława,
ps. „Tyczka”. Zamordowany w więzieniu
„Toledo” w dniu 11 lutego 1945 r.

¹² Wykonujących wyroki było więcej, m.in. funkcjonariuszka więzienna Genia (wykonująca wyroki poprzez zastrzelenie), strażnik Kozłowski, zam. na Annopolu („specjalizujący się” w wieszaniu) – wszyscy dokonujący swych działań za 500 zł i pół litra wódki, w: T. Kostewicz, *Relacje*, mps w posiadaniu autora, s. 15.



Pod tym murem Cmentarza Bródnowskiego, w okresie od 1944 r. do 1955 r., NKWD i UB dokonywały nocami tajnych pochówków bezimiennych ofiar zgładzonych na terenie więzienia „Warszawa 3 – Toledo”. Dla zamaskowania miejsca procederu celowo sytuowano na tym terenie śmietniki i toalety publiczne. Prawdziwej liczby, a tym bardziej imiennej listy ofiar, nigdy nie uda się ustalić. Dotychczas ustalono jedynie przybliżoną liczbę – ok. 200 pochowanych. Nawet w okresie skrajnego terroru komunistycznego, niewidzialne ręce zapalały tu znicze i składały kwiaty.
Fot. H. Kossowski



Pomnik ku czci pomordowanych na terenie więzienia „Toledo” przy ul. Namysłowskiej i ul. 11 Listopada.
Fot. H. Kossowski

O skali wykonanych wyroków pośrednio może świadczyć przybliżona liczba pochówków w okresie od końca 1945 r. do 1947 r. Straconych skrycie grzebano pod murem Cmentarza Bródnowskiego. Było ich około dwustu. W tym czasie na terenie wokół „Toledo” zaczynało brakować dyskretnych miejsc, a do procederu zbrodni włączano systematycznie obiekty adaptowane na lewym brzegu Wisły. Można założyć, iż samo tylko „Toledo” pochłonęło ok. 1000 ofiar. Nie sposób ustalić liczbę ofiar obozu w Rembertowie, pod nasypem kolejowym na Targówku, czy też zapomnianym od ponad stulecia b. cmentarzu choleryków, gdzie na płytkim poziomie ziemi znajdują się ludzkie szkielety, według informacji przekazanej autorowi przez wysokiej rangi oficera Komendy Rejonowej Policji Warszawa VI (Białoleka, Praga Północ, Targówek) w dniu otwarcia ekspozycji pt. „Powstanie warszawskie na Pradze i losy ludności cywilnej” na terenie d. W.W.W. „Koneser”, w lipcu 2007 r.

Ilu, kogo i gdzie kryją tajemne praskie kurhany – pozostanie na zawsze nieznanne. Tragedia wojenna Pragi zawiera jeszcze jedną, mającą wpływ na życie setek tysięcy, tajemnicę, o której prawdę należy ostatecznie ujawnić. Z początkiem 1945 r. kończyła się wojna. Nadchodził czas bolesnego bilansu strat, wśród których zniszczenie Warszawy i miara stu kilkudziesięciu tysięcy ofiar musiały w skali krajowej i ogólnoswiatowej znaleźć racjonalną ocenę oraz przyczynę. Obciążanie dowództwa AK przez komunistyczną propagandę, a niemieckich formacji o zbrodni, nie mogło spełnić tych oczekiwań i oczyścić Sowietów od udziału w odpowiedzialności. Należało znaleźć logiczne usprawiedliwienie zaprzestania ataku na Pragę w dniu 1 sierpnia, cofnięcie frontu i półtoramiesięczną inercję do 10-15 września.

Nieocenieni w pomysłowości politycy radzieccy zdecydowali, nie po raz pierwszy, posłużyć się fałszem. Stworzono fikcyjną, wielką bitwę pancerną, stoczoną na przedpolach Pragi w dniach 27 lipca–5 sierpnia, w której – poświęcając honor „niezwyciężonej Armii Czerwonej” – zwycięstwo przyznano Niemcom. Usłudni historycy przez dziesięciolecia prześcigali się w eksponowaniu opisów bitwy, której nie było, lecz której efekt – w myśl powiedzenia, że „kłamstwo z uporem powtarzane staje się prawdą” – został osiągnięty. Według tej wersji, pobici przewagą pancernych niemieckich dywizji, tracąc od 500 do 300 czołgów, Sowieci zmuszeni zostali wycofać się i oczekiwać ponad 40 dni na posiłki, aby ponowić natarcie.

Nadszedł spóźniony czas, by ujawnić fałsz i ukazać prawdę faktu dyktowanego zbrodnią celowego zaniechania. Realne straty w czołgach po stronie Sowietów do dnia 1 sierpnia wynosiły 66 zniszczonych, głównie przez artylerię niemiecką. Niemcy do 27 lipca nie posiadali na tym terenie, poza jednostkami dyżurnymi, czołgów, a w obliczu nawały czołgów sowieckich improwizowali, transportem kolejowym, własny stan ilościowy, przerzucając po 10-15 pojazdów i wprowadzając do walki na najbardziej zagrożonych odcinkach frontu.

Stan czołgów niemieckich na dzień 1 sierpnia 1944 r. wynosił 206, wliczając w to 50, które operowały w tłumieniu powstania na Pradze, Rembertowie, Legionowie i Markach. Realna liczba maszyn na froncie z Sowietami mogła wynosić ok. 150 w stosunku do ok. 300 maszyn 2 Armii gen. lejtn. Radziejewskiego oraz znajdujących się w pobliżu: 1 Armii Panc. gen. Kadukowa i 3 Armii Panc. gen. Rybalki, które dysponowały ponad 1000 czołgów. Przewaga Sowietów była 8-krotna w broni pancernej i 5-krotna w dywizjach piechoty (z tym, że dywizja radziecka miała stan min. 10 tys., a dywizje niemieckie 4-6 tys. żołnierzy). Jest faktem, że w dniach 2-5/8 sierpnia zniszczeniu, bądź uszkodzeniu, uległo ok. 114 czołgów sowieckich. Były to jednak straty wynikłe z pozostawienia wysuniętych brygad i korpusów świadomie bez wsparcia przez wykonujący rozkaz Moskwy sztab 1 Frontu Białoruskiego.

Tak więc właśnie tu, na Pradze i otaczających ją wschodnich rejonach „Obroży”, dokonała się finalnie, mimo dramatycznych wysiłków powstańczego zrywu, zbrodnia na całej Warszawie, zbrodnia przesądzająca przez pół wieku o losach całego narodu. Czujny i niezawodny gen. NKWD Iwan Sierow meldował do Moskwy: *W celu wprowadzenia należytego porządku zorganizowaliśmy grupy operacyjno-czekistowskie, mające za zadanie filtrację wszystkich zamierzających przedostać się na Pragę.*

Nota o autorze

Nie jest zrzeczenie, będąc autorem publikacji, samemu o sobie napisać notę biograficzną. Spełniając jednak życzenie Wydawcy, przedstawię raczej przyczyny zajęcia się tematyką lat okupacji i powstania warszawskiego, w które samoistnie wplecie się pewna część osobistego biogramu.

Pierwsze dni wojny w 1939 r. rzuciły losy moich najbliższych i moje na Pragę. Dotychczasowy dom na Żoliborzu został zniszczony przez niemiecki pocisk. Resztki przewożonego dobytku padły ofiarą nalotu – na moście Kierbedzia. Ponure lata okupacji i szereg następnych przeżyłem w kamienicy przy ul. Żąbkowskiej. Doświadczylem wszystkich doznań cechujących życie w czasie tego okresu: od głodu po brak butów. Nie to było jednak najgorsze. Tym gorszym były częste, nawet w nocy, wizyty gestapo, z uporem poszukującego ojca, kapitana WP, który zbiegł, unikając Katynia i oflagu. Rewizje, łapanie i bombardowania były chlebem powszednim wszystkich, lecz nasze mieszkanie funkcjonowało jako lokal konspiracyjny. Mimo bardzo młodego wieku, musiałem więc być świadom wszystkich możliwych zagrożeń. Od 1943 r. często jeździłem z ojcem, podczas jego konspiracyjnych działań w Warszawie i okolicy, w charakterze „alibi”, z ukrytymi w ubraniu niedozwolonymi ładunkami. Z tą przyspieszoną edukacją wszedłem w okres powstania, oczekując sprawiedliwego zwycięstwa. Zapłaciłem też swoją cenę, postrzał w nogę, choć nie niosłem chwalebnie powstańczych granatów, a tylko wodę i chleb.

Rzeczywistość zburzyła złudzenia. Zbrodniczy sowiecki manewr w stosunku do walczącej Warszawy był dla mnie od początku czytelny. Prześladowania AK-owców budziły nie tylko psychiczny sprzeciw. Od 15 września 1944 r. pomagałem matce w obnośnym handlu naftą, która była podstawowym artykułem oświecenia na terenie całej Pragi. Podczas tej pracy widziałem o wiele więcej nieszczęścia ludzkiego, niż tylko własne. O ojcu do 1946 r. brak było jakichkolwiek wiadomości. Na szczęście przeżył. Spełnił – z rozkazu KG AK – „misję”, przedostając się z ogarniętej powstaniem Warszawy (pieszo od dn. 18 września 1944 r.) do Szwajcarii. Rodzina była dyskryminowana ze względów politycznych.

Praktyczną wiedzę i znajomość realiów Pragi pogłębiłem w latach 1945-46 już samodzielnie, trudniąc się handlem papierosami. Do szkoły nie uczęszczałem, gdyż zimą... brakowało butów. Spóźnioną

edukację ukończyłem jednak na Pradze i maturę uzyskałem w gimnazjum im. Króla Władysława IV.

W 1953 r. po raz pierwszy byłem „klientem” na Komendzie UB-MO przy ul. Cyryla i Metodego. Za cenę odbycia jako „ochotnik” służby w Brygadach SP (Bryg. 116-Żuławy), uzyskałem możliwość podejścia do egzaminu na studia. Udało się, na krótko. Szkołę Główną Służby Zagranicznej w 1958 r. zlikwidowano za zbyt aktywne działania na rzecz Rewolucji Węgierskiej i sprawy „Po Prostu”. Zdecydowanie odmówiłem wstąpienia do PZPR i podjąłem pracę zarobkową. W domu nadal panowała bieda. Uporem udało mi się jednak – pracując – ukończyć Wydział Prawa na Uniwersytecie Warszawskim i prawie podstępem uzyskać pracę w zawodzie.

Za wciąż okazywaną przez władzę w stosunku do mnie i podobnych – „niepewnych politycznie” – niechęć, odpłacałem na miarę możliwości działalnością kontrapolityczną. W 1980 r. wziąłem czynny udział w organizowaniu Regionu Mazowsze i byłem delegatem na Zjazd. Podczas stanu wojennego organizowałem opór społeczny nie tylko na poziomie poligrafii i kolportażu. Dosięgła mnie represja SB i rozprawa w trybie doraźnym przed Garnizonowym Sądem Wojskowym.

W efekcie wszystkich doświadczeń życiowych dojrzałem, iż najskuteczniejszą bronią jest prawda i odwaga cywilna w jej upowszechnianiu. Ponieważ historia i politologia były zawsze moimi priorytetami, przez dziesięciolecia pogłębiałem swoją wiedzę w tych tematach.

Tzw. „białe plamy” naszej polskiej, zakłamaney historii, stały się polem moich dociekań, sprostowań i publikacji. Historia Pragi i okolic do dziś nosi wiele takich znamion. W ubiegłym roku udało mi się zorganizować ekspozycję „Powstanie warszawskie na Pradze i losy ludności cywilnej” (na terenie d. W.W.W. „Koneser”, lipiec – wrzesień 2007 r.), ukazującą prawdę i piętnującą fałsz. W bieżącym roku ukończyłem film dokumentalny dla TV Polonia pt. „Obroża” oraz niniejsze – mniejsze, skromne opracowanie, które – jak mam nadzieję – poszerzy krąg wiedzy, nie tylko mieszkańców Pragi, o czasach najtrudniejszego okresu w naszej skomplikowanej, narodowej historii. Mam również nadzieję, iż opracowanie to stanie się podstawą do lokalnej dumy, patriotyzmu i poczucia godnej wartości z wkładu pokoleń Pragi i jej okolic w sprawę polskiej niepodległości, której 90-tą rocznicę obchodzimy w tym właśnie roku.

Hubert Kossowski

Szkoła pośród nocy

Władysław Janczewski

Urodzony 16 stycznia 1910 r. w Warszawie, w rodzinie kolejarskiej. Zmarł w Warszawie w dniu 24 października 1987 r. Pochowany w grobie rodzinnym na Cmentarzu Bródnowskim, aleja 94, rząd trzeci (grób nr 32).

W 1929 r. ukończył Państwowe Seminarium Nauczycielskie im. St. Konarskiego w Warszawie, a następnie Wydział Filologiczny Uniwersytetu Warszawskiego. Uzyskał dyplom magistra (pod nadzorem naukowym prof. Bogdana Suchodolskiego) oraz dyplom nauczyciela szkół średnich, z prawem nauczania języka polskiego i propeutyki filozofii. Pracę zawodową rozpoczął w roku 1930, w Szkole Ćwiczeń Instytutu Pedagogiki Specjalnej, jako nauczyciel języka polskiego. Po upływie roku wyjechał do Szkoły Polskiej w Winterslag (Belgia), zorganizowanej dla dzieci polskich emigrantów – górników, gdzie obok pracy nauczycielskiej prowadził ożywioną działalność środowiskową w organizacjach społecznych (np. Strzelca), sportowych i kulturalnych. Od września 1933 r. był etatowym nauczycielem języka polskiego i historii w Szkole Eksperymentalnej nr 126 im. Józefy Joteyko w Warszawie przy ul. Otwockiej 3. W szkole tej pracował do września 1944 r., kiedy to został aresztowany przez okupantów niemieckich. Po zajęciu Warszawy w roku 1939, władze okupacyjne ograniczyły działalność dydaktyczną szkoły i przenieśli ją do trudnych warunków lokalowych byłego Seminarium Duchownego przy ulicy Kawęczyńskiej 49. Seminarium zostało zamknięte przez władze okupacyjne i ksiądz doktor Lipiński przekazał gmach szkole nr 126. Gmach przy ul. Otwockiej 3 został zajęty na koszarę żandarmerii hitlerowskiej. Prof. Janczewski uratował znaczną część wyposażenia dydaktycznego szkoły – przede wszystkim zbiór biblioteczny, mapy i atlasy. Pozwoliło to na zorganizowanie nielegalnej wypożyczalni książek. Był jednym z najbardziej aktywnych organizatorów tajnego nauczania na terenie Pragi, przy ścisłej współpracy w tym zakresie z dr. Leonem Zygmuntem Usarkiem. Od 1942 r. do wybuchu powstania warszawskiego brał udział w tajnym nauczaniu w Gimnazjum i Liceum im. Króla Władysława IV. Wykorzystywał w tym celu zarówno mieszkania prywatne osób zaufanych, jak i pomieszczenia szkoły podstawowej. Prowadził na Grochowie zajęcia świetlicowe – organizowane przez działaczy Związku Nauczycielstwa Polskiego

(Tajna Organizacja Nauczycielska – TON) dla dzieci jeńców wojennych oraz dla sierot czasu wojny.

Od roku 1941 był zaprzysiężonym żołnierzem Armii Krajowej. Aresztowany w masowej łapance mężczyzn na terenie Pragi we wrześniu 1944 r., zostaje wywieziony do Niemiec, do obozu pracy przymusowej w Keuli w Turynii. Pracuje jako robotnik w cukrowni (Oscherscheleben Bode), następnie przy wyрубie lasów. Po oswobodzeniu przez Amerykanów w kwietniu 1945 r., zorganizował szkołę i przedszkole dla 2800 obozowych dzieci wywiezionych do Niemiec. W tym czasie współpracował z kierownikiem Centrali Szkolnictwa Polskiego w Niemczech dr. Tadeuszem Pasierbińskim. Na jego polecenie został powołany (1 lipca 1945 r.) na stanowisko nauczyciela języka polskiego i historii w Liceum Polskim i Polskiej Szkole Handlowej w Lippstadt w Westfalii. Obie szkoły nauczały w toku semestralnym. Umożliwiło to znacznej grupie młodych ludzi znajdujących się wówczas w Niemczech, w tym żołnierzy roku 1939 i powstania warszawskiego, uzyskanie świadectwa ukończenia szkoły. Z polecenia tejże Centrali był też wizytatorem innych polskich ośrodków nauczania w Westfalii oraz opiekunem powracającej do kraju młodzieży polskiej w Lippstadt. Powrócił do Warszawy w lipcu 1946 r.

Po powrocie z Niemiec podjął przerwana pracę w Szkole Podstawowej nr 126 i Liceum Pedagogicznym przy ul. Otwockiej 3 w Warszawie. Równocześnie uczył języka polskiego w I Państwowym Liceum dla Dorosłych przy ulicy Siennickiej na Grochowie. We wrześniu 1946 r. został służbowo przeniesiony do Ministerstwa Oświaty na stanowisko wizytatora. W roku 1957 rozpoczął nauczanie języka polskiego w liceum polskim (batignolskim) w Paryżu. Pozostawał tam do 1 września 1963 r., tj. do chwili likwidacji liceum przez ówczesne władze. Powrócił do pracy w Ministerstwie Oświaty i pracował tam w Departamencie Kształcenia Ogólnego, jako wizytator, do roku 1975 – do przejścia na emeryturę.

Jako doświadczony pedagog-polonista wykładał na licznych kursach wakacyjnych dla nauczycieli szkół podstawowych i średnich. Od roku 1930 był członkiem Związku Nauczycielstwa Polskiego. Aktywnie pracował w Komisji Historycznej ZNP. Należał też do Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, jedynej legalnej w tych czasach organizacji zrzeszającej kombatanów.

Opublikował wiele artykułów dotyczących całokształtu pracy

nauczyciela, organizacji pracy własnej i pracy ucznia, realizacji programowych tematów lekcyjnych, kontroli wyników nauczania, rozwoju czytelnictwa wśród uczniów, literatury zawodowej. Artykuły te ukazywały się na łamach „Nowej Szkoły”, „Polonistyki”, „Życiu Szkoły”, „Głosu Nauczycielskiego” oraz „Biuletynu Nauczycielskiego”. Ten ostatni był wydawany przez Ambasadę Polską w Paryżu dla nauczycieli konsularnych. Był współautorem pierwszego podręcznika dla dorosłych absolwentów kursów dla analfabetów „Na Trasie”, wydanym przez Naszą Księgarnię w 1949 r.

Odznaczony był Krzyżem Kawalerskim OOP, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Złotą Odznaką ZNP, Odznaką Tajnej Organizacji Nauczycielskiej (TON), Medalem Pamiątkowym „Za zasługi dla Rozwoju Oświaty w Stołecznym Województwie Warszawskim”.

Poślubił Antoninę z domu Lindner, nauczycielkę szkół warszawskich. Miał jedyne go syna – Grzegorza, lekarza otolaryngologa, profesora zwyczajnego Akademii Medycznej w Warszawie, byłego Dziekana I Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Warszawie, wieloletniego Kierownika Kliniki Otolaryngologii AM w Centralnym Szpitalu Klinicznym AM przy ulicy Banacha 1a w Warszawie.



Władysław Janczewski –
zdjęcie do Ausweisu, rok 1942

Zgodnie z rozkazem płka Umiastowskiego uciekaliśmy z Warszawy we wrześniu roku 1939, wraz z Adamem Gawędą, w kierunku wschodnim, gdzie miała tworzyć się kolejna armia zdolna powstrzymać nieustannie napierającego wroga. Polskie drogi kampanii wrześniowej wymagałyby zupełnie oddzielnej epopei. Kataklizm wojny totalnej, która na tych drogach pokazała swe barbarzyńskie oblicze, zdruzgotał nasze sny o potędze Polski mocarstwowej, która miała nie oddać „ani guzika”.

Wieczorem [brak daty dziennej – przyp. red.] września 1939 r. do zagrody gospodarza Wróbla we wsi na zachód od Włodawy, u którego przebywaliśmy od kilku dni, dotarł pluton naszej piechoty. Żołnierze byli utrudzeni i zarośnięci. W bojach i ciągłym cofaniu się przed nacierającymi Niemcami, od kilku dni nie mieli możliwości umycia się. Dowodził nimi młody porucznik. Ich letnie mundury były wypłowiałe i zniszczone, ale broń niezwykle starannie utrzymana. Trzy lekkie karabiny maszynowe, płaskie francuskie hełmy z „grzebieniami”, lśniąca stalą karabiny z bagnietami – gotowe do działania, granaty za pasem. Było to dla nas, w tych dniach wrześniowej klęski, zaskoczeniem i otuchą, że nie wszystko stracone. Żyliśmy bowiem wciąż pełni nadziei i duch bojowy oddziału był znakomity. Patrzyliśmy na naszych wojaków jak urzeczeni. Imponowała ich sprzężystość, karność, sprawność i wiara w odmianę losu wojny. Nie było to wojsko pokonane.

W krótkim czasie całe gospodarstwo było otoczone i żołnierze weszli do chałupy. Po starannym wylegitymowaniu wszystkich obecnych, cały oddział zakwaterował się w naszej zagrodzie i trzech sąsiednich. Akcja rozegrała się błyskawicznie i w absolutnej ciszy. W odległym końcu rozległej wsi stacjonowali Niemcy z taborami, lecz wieczorami nie wychylali się z chałup i nie zapuszczali, nawet patrolami, do kolonii pod lasem. Po wystawieniu wart ubezpieczających, rozpoczęło się generalne mycie oddziału. Pomagaliśmy grzać wodę i obierać kartofle. Po skromnej kolacji oddział ułożył się do snu.

Wyszliśmy przed chałupę. Było ciemno i zupełnie cicho. Gospodarz, który właśnie powrócił do domu po tym, jak jego oddział został rozbity, stał z porucznikiem i sierżantem przed furką, objaśniając dokładnie rozkład zabudowań i dróg we wsi, a zarazem położenie w niej Niemców. Po uzyskaniu tych wieści, porucznik wraz z sierżantem obchodzili zagrodę dookoła i szeptem omawiali sytuację.

Ostrzegali nas przed wychodzeniem poza zagrodę. Sierżant odszedł do stodoły zdrzemnąć się, zaś porucznik siadł z nami na przyzbie. Wyjaśnił, że żołnierze pochodzą z Wielkopolski. Oddział w ciągłych bojach przedzierał się od Warszawy na wschód, gdzie miała utworzyć się kolejna, mocna linia obrony. Właśnie otrzymali wiadomość od kilku uciekinierów, że Warszawa skapitulowała, miasto jest zniszczone, że panuje w nim głód, brak wody i prądu. W trakcie tej rozmowy z nami – zasnął na siedząco. Był skonany wysiłkiem i beznadziejnością sytuacji. Przenieśliśmy go do chałupy na wolne łóżko.

Zdecydowaliśmy, że natychmiast po świtaniu ruszymy w kierunku Warszawy, zwłaszcza, że od wschodu szła na nas Armia Czerwona, do której od czasów wojny polsko-bolszewickiej roku 1920 nie mieliśmy najmniejszego zaufania. Martwiliśmy się o Warszawę i o nasze rodziny, które tam pozostawiliśmy. Adam Gawęda, jak zawsze optymistą, wierzył, że opowiadania uciekinierów z Warszawy, głównie Żydów, są przesadzone i że uciekają oni głównie przed hitlerowskimi Niemcami. Adam twierdził, że zawsze wydaje się, iż zło jest znacznie większym, niż w istocie. Tymczasem prawdą jest, że poprzez spiętrzone gruzy naszej przeszłości osiąga się nowe zdobycze, wspina się na wierzchołek, z którego widzi się nieznane dotąd widoki na przyszłość i znajduje lepsze powietrze dla płuc. Toczona się potworna wojna – przy której, jak się wydaje, wojna lat 1914-1918 była dziecinna zabawą – wykazała, że na zniszczonych fundamentach naszego życia krył się jakiś zasadniczy błąd. Dla Adama było jasne, że zawaliła się nie Polska, zwłaszcza nie naród polski, ale wszystko to, co w II Rzeczypospolitej było złe i naganne. W ciemnościach nocy żarliwy szept Adama był dla mnie pewną i grubą liną, której chwyta się rozbitek ogłuszony kataklizmem klęski. *Pokażcie mi inny naród – mówił Adam – którego żołnierz w takiej powodzi zniszczenia i w takim ogniu, krzepko dzierżył broń do ostatka, by rozbity i skrajnie zmęczony nie wracał prosto do domu, ale szedł w stronę, z której dochodzą odgłosy nowej bitwy. Pokażcie mi gdzieś takich chłopów biedaków, jak nasz Wróbel, który swoją ostatnią kromką chleba i resztką kartofli dzieliliby się z żołnierzem. Prostych ludzi, którzy tak jak on, czuwaliby nad krótkim snem tych znużonych walką żołnierzy, w oddaleniu o kilkaset metrów od znacznie silniejszego, bezwzględного wroga. Pokażcie mi naród, w którym oficer w dniach klęski ma pełną ufność, tak ufa prostemu ludowi, że jest pewien, iż ten nie wyda jego i jego żołnierzy*

w ręce Niemców. Jesteśmy dzisiaj u początku nocy, myślę, że długiej nocy – w dosłownym i przenośnym znaczeniu, ale nad nami wcześniej lub później pokażą się gwiazdy, a następnie świt i słońce. Musimy wierzyć, że damy sobie radę, wbrew wszystkim i wszystkiemu.

We wsi było cicho, gdzieś w oddali czekały wiejskie psy, żołnierze spali, warty zmieniały się co pewien czas. Ta poznańska piechota imponowała nam swą postawą. Niebo było pogodne, pełne gwiazd. Na hołoblach wozu siedział okryty derką Wróbel, nasz gospodarz, i łowił wszystkie odgłosy dochodzące z niedalekiej wioski. Także czuł. Czuł się współodpowiedzialny za żołnierzy i za własną rodzinę.

Obudził nas głos gospodarza: *Panowie, wstańcie. Wstańcie i pomóżcie mi!* Z trudem wygrzebywaliśmy się ze słomy, w której szukaliśmy ciepłego snu, noc bowiem była wyjątkowo chłodna. W całym obejściu nie było już żołnierzy. Wróbel skrzętnie zbierał i wynosił w głąb lasu rozsypane ładunki karabinowe, pozostawione w stodole fragmenty oporządzenia wojskowego: manierki, łopatki saperskie, jakieś smutne resztki krótkiego i niespokojnego żołnierskiego biwaku. Był pewien, że to wszystko niezadługo przyda się. Wiązaliśmy w snopki rozsypaną na klepisku słomę, która służyła za podścielisko dla śpiących. Usuwaliśmy ślady pobytu wojska. W sąsiednich wsiach najeźdźcy spalili wraz z mieszkańcami kilka chat, w których znaleźli uzbrojonych żołnierzy lub pozostawioną broń.

Rozwidniło się już na dobre, kiedy wyruszaliśmy w stronę Warszawy, zaopatrzeni przez naszych gospodarzy w kilka kromek chleba oraz kawałek słoniny.

Uważnie przebiegaliśmy przez zamglony las. Ostra jesienna rosa moczyła nogi. W powietrzu wschodzącego dnia stała zimna, wilgotna mgła i spędzała resztki snu z oczu i głowy. Pomagały jej w dobudzeniu nas smagnięcia mokrych, chłodnych liści drzew i paproci tłukących po twarzach i podudziach. Wyszliśmy z lasu na rozległe, puste po żniwach pole. Było pusto i cicho, ale omijaliśmy wsie obawiając się, że wpadniemy w ręce Niemców. Po kilku godzinach marszu zbliżyliśmy się do szosy. Połamane słupy telegraficzne i zwisające druty leżały na ziemi, w rowach od czasu do czasu leżały ludzkie, nieopgrzebane zwłoki i resztki mienia. Liczne leje po bombardowaniach były świadectwem, w jaki sposób ginęli tu uciekinierzy. Zaduch rozkładających się zwłok ludzkich i zwierzęcych odpędzał nas w szczerze pole. Często przypadaliśmy przytuleni do wilgotnych i zimnych miedz,

gdy po wysokim nasypie gościńca przejeżdżały patrole uzbrojonych motocyklistów niemieckich. Koło południa znaleźliśmy się w okolicach miejscowości Dębe Wielkie. Tu liczba patroli niemieckich była znacznie większa i trzeba było odskoczyć od toru kolejowego. Droga poprzez zorane pola i kartofliska dała się nam porządnie we znaki i byliśmy skrajnie wyczerpani. Szczęśliwie doszliśmy do zniszczonej zagrody. Dom był spalony, a jego mieszkańcy zainstalowali się w dużej murowanej piwnicy. Świeżo wymurowany komin dymił żwawo. Przyjęto nas gościnnie. Kawałek chleba, jaki otrzymałem, schowałem do chlebaka na gorszy czas. Mimo nieszczęścia, jaki przyniosła im wojna, ludzie ci nie byli zastraszeni, ani załamani. Pełni dumy ze swej „przebiegłości” chwalili się, że widząc co się dzieje wokół torów kolejowych i szos, w czasie bombardowań wynieśli z domu meble, naczynia kuchenne, pościel i to wszystko, co było niezbędne dla oporządzania bydła. Dzięki temu „bohaterski” rajd hitlerowskiego lotnictwa, niszcząc dom – nie pogrążył ich w skrajnej nędzy. Dom „widzieli” odbudowanym jeszcze przed zimą. Adama szczególnie wzruszyło, że polski chłop bardziej oburzony był zniszczeniem przez „bohatera” z Luftwaffe bocianiego gniazda, niż jego własnego domu. Kiedy przybyliśmy do tego gospodarstwa, właściciel zajęty był umocowywaniem brony na oborze: *Bociany, panowie, muszą tu wiosną wrócić na swoje miejsce. Bo gdzie miałyby się poniewierać po obcych!* Zapewnialiśmy go, że boćki nigdy się nie mylą i może być pewnym, że wrócą na miejsce, w którym zarówno one, jak chłopska rodzina mieszkały od pokoleń. A poza tym „przecież do wiosny będzie już po wojnie”. Mój towarzysz wrześniowej poniewierki, Adam Gawęda, był z wykształcenia geografem i przyrodnikiem, góralem z pochodzenia, moim współpracownikiem w Państwowej Szkole Podstawowej nr 126, a w dalszych latach okupacji profesorem w tajnym Gimnazjum i Liceum im. Króla Władysława IV na warszawskiej Pradze. Łączyły nas silne więzy przyjaźni i szacunku do końca naszych dni.

Późnym popołudniem weszliśmy na trakt szosy lubelskiej, gdzie szedł w stronę Warszawy dość zwarty tłum ludzi. Tłok robił się coraz większy, w miarę zbliżania się do granic miasta. Od strony Warszawy ciągnęła inna fala ludzi z workami, koszami po żywność dla wygłodzonego oblężenia miasta. Znaczna część z tych warszawiaków to byli ranni, źle zamaskowani żołnierze, których zdradzały wojskowe buty lub wyzierające spod lekkich, letnich cywilnych płaszczy, zielone bluzy

mundurowe. Panami szosy byli jednak butni, triumfujący, roześmiani, spasieni żołnierze niemieccy. Wybuchy śmiechu, pokazywanie palcami obdartych uciekinierów, były zjawiskiem powszechnym. Gdyby wzrok nasz mógł zabijać lub niszczyć, wszystkie te hitlerowskie wozy, wywrócone, dymiłyby jasnym ogniem, a w nich smażyliby się zwycięzcy.

Za Otwockiem spotykaliśmy coraz większe oddziały Wehrmachtu. Ci także gapili się na nas z pogardą i złością. Staraliśmy się nie patrzeć na ich beczelne gęby, zwracając uwagę jedynie na drogę w kierunku Warszawy. Żałowaliśmy, że posłuchaliśmy idiotycznego rozkazu płka Umiastowskiego, który pozbawił miasto tysięcy potencjalnych obrońców. Wracaliśmy z uczuciem goryczy, z uczuciem zdrady Warszawy w dniach dla niej najcięższych. W Wawrze przeczytaliśmy pierwsze obwieszczenia okupanta, podpisane przez generała Bocka.

Wszystko, co przewijało się przed naszym oczyma, to był jakiś nieprawdopodobny, koszmarny sen. Zawalone domy, zgłiszczające licznych wówczas drewnianych domów na przedmieściach miasta, płonąca wciąż ziemia po bombardowaniach bombami fosforowymi, mury oblepione zarządzeniami okupacyjnych władz niemieckich, które zapowiadały śmierć, jako karę za ślad oporu wobec okupanta. Im dalej w miasto, tym więcej spotykało się wrednych mord w mundurach o dziwnym, szarozielonym odcieniu, wdzięcznie zwanym przez Niemców *feldgrau*.

Na ulicy Grochowskiej wciąż mnogie, jeszcze nie uprzątnięte barykady przegradzające ulice: spiętrzone tramwaje, żelazne belki, przewrócone na bok wozy meblowe, wraki samochodów, płyty chodnikowe. Wiele domów rozdartych wybuchami od dachu po piwnice, rozprute jezdnie ze sterczącymi rurami wodociagowymi i kanalizacyjnymi oraz strzępy przewodów elektrycznych. Był to przejmujący obraz klęski, wyniku brutalnej przemocy, obrazującego krzyk miasta śmiertelnie ugodzonego, ale pełnego godności w tych śladach oporu stawianego do końca. Poprzez tory kolejowe przy ul. Podskarbińskiej przedostaliśmy się na Michałów. Mijaliśmy wciąż dymiące gęstym dymem mury Zakładów Amunicyjnych „Pocisk”. Gęstość dymu zatykała oddech. Dworzec Wschodni jeszcze palił się po bombardowaniu. W pewnym miejscu zapalono kilkadziesiąt lampek żałobnych – tu bomba zabiła kilkanaście młodych dziewcząt – harcerek, udzielających

w murach dworca pomocy sanitarnej rannym. Trudno było przejść przez nieprawdopodobne spiętrzenie poprzerywanych wybuchami, skręconych szyn, drutów, kół, osi i podwozi zniszczonych wagonów osobowych i towarowych, głębokich dołów po okopach i lejach bombowych. Strachu nie brakowało także ze względu na nieustanną kanonadę prowadzoną przez Niemców z broni ręcznej, na rozległych torowiskach.

Szkoła przy ul. Otwockiej 3, podobnie jak przylegające do niej domy służbowe nauczycieli, gdzie mieszkał wraz z rodziną Adam Gawęda, stały nietknięte. Podobnie, poza śladami po kulach, nie było większych zniszczeń murów bazyliki pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusowego prowadzonej przez księży salezjanów. Blisko świątyni dopalał się tylko młyn, jeden z największych zakładów przemysłowych Michałowa. Tuż koło płomieni wydobywających się z murów młyna, gęstniał tłum ludzi. Ściągnął ich ogromny transport zboża rozsypany stosami wskutek eksplozji. Ludzie nosili workami ziarno do domów, licząc się – i słusznie – z brakiem żywności pod rządami okupanta.

Spotkaliśmy pośród nich wielu rodziców naszych obecnych i byłych uczniów. Witano nas radośnie i zachęcano do zbierania w torby i plecaki bezpieczeństwa zboża. Adam, zawsze opanowany i szlachetny, korzystając z tego, że zająłem się rozmową ze znajomym tramwajarzem, pożegnał się i zniknął z oczu. Do domu miał nie więcej niż jeden kilometr.

Na Michałowie, podobnie jak w znacznej części miasta, panował głód. Chleba nie można było dostać od kilkunastu dni. Rodzice moich uczniów i ich rodziny otrzymali zboże od naszych żołnierzy przed kapitulacją. Zboże pochodziło z wagonów wiozących zaopatrzenie dla wojska, stojących na torach Dworca Wschodniego. Niemcy w pierwszych dniach rozgardiaszu po kapitulacji miasta, jeszcze nie odkryli tych transportów, zaś palący się młyn nie zwracał ich uwagi. Zboże mielono w domach w młynkach od kawy i z maki mającej konsystencję kaszy wypiekano chleby, pozwalające przetrwać. Świadomy sytuacji, uległem pokusie i z rozsądku napelniłem cały plecak podróżny ziarnem zboża. Ktoś życzliwy podarował mi dużą papierową torbę, w jaką pakuje się przemysłowo cukier, wypełniłem ją ziarnem i tak objuczony ruszyłem w kierunku domu przy ul. Nieporęckiej. Od znajomych dowiedziałem się, że ulice Nieporęcka i Tarchomińska nie ucierpiały

w czasie oblężenia i wszystkie domy są zachowane w dobrym stanie. Do domu dotarłem wieczorem, potwornie zmęczony przebytą drogą, wrażeniami całego dnia oraz ciężarem, który niosłem do mieszkania. Na szczęście dotarłem do domu przed zamknięciem bramy, nakazanym wczesną godziną policyjną wprowadzoną dla polskich „bandytów”. W bramie niezwykle serdecznie przywitała mnie pani Petronela Stabrowska, wieloletnia dozorczyńni domu, która z ulgą odnotowywała powroty każdego z lokatorów. Czułem się jak marnotrawny syn powracający do rodzinnego ogniska. Mojej żony nie było, ponieważ mieszkała wraz z naszym synem Grzesiem u swego ojca – Ludwika Lindnera – w jego mieszkaniu przy ul. Białej 6. Podobno była w domu tegoż ranka i pozostawiła u dozorczyńni klucze. W mieszkaniu nie było ani światła, ani wody. Przez wybite okna wiał ostry, zimny wiatr. W świetle pełni księżyca widoczne były rozciągające się po drugiej stronie naszej ulicy, skryte za wysokim czerwonym murem, ruiny dużej fabryki spirytualiów, powszechnie zwanej na Pradze „Monopolem”. Na tapczanach, łóżkach i podłodze leżały tysiące odłamków szkła z wybitych szyb okiennych. W ciemnościach – w miarę dokładnie – zmiotłem odpryski szkła z podłogi, delikatnie, za cztery rogi, zdjąłem narzutę z tapczanu i ciężką zawartość szkła wyrzuciłem do śmietnika. Koszmarnie zmęczony – zdjąłem buty ostatkiem sił i w ubraniu wsunąłem się pod koldrę. Zasnąłem natychmiast.

W nocy obudził mnie ostry, gardłowy wrzask. Półprzytomny, nie wiedziałem, co się wokół mnie dzieje. Usiadłem na łóżku i początkowo nie zdawałem sobie sprawy z tego, gdzie jestem. Ktoś z całej siły dobijał się do zamkniętej bramy. Ochrypli, pijacki głos szczeakał coraz głośnie: *Aufmachen! Aufmachen!* Całkowity brak szyb nie wyciszał tych wrzasków i huków. Łomotanie do bramy stało się coraz bardziej natarczywe, ale pośród łamanej niemczyzny można było słyszeć polskie przekleństwa. Mieszkanie na pierwszym piętrze nie zmniejszało strachu, że pijana banda rabusiów może zdobyć się na forsowanie tej niewielkiej wysokości. Na szczęście dozorczyńni nie złamała się i nie otworzyła bramy napastnikom. Mimo całego zmęczenia trudno mi było zasnąć do świtu, dość późnego o tej porze roku. Rano pani Stabrowska wyjaśniła, że godzina policyjna i wszelkie związane z nią niebezpieczeństwa dla przechodniów, nie stanowią przeszkody dla band pijanych łobuzów i rabu-

siów, niestety polskich, które są zmorą pierwszych dni Warszawy okupacyjnej. Tych Niemcy w pierwszej fazie okupacji oszczędzali.

Tak wyglądał początek okupacji: „niemiecki porządek”, groźba nocnej napaści, rabunku, gwałtu, erupcja mętów mających za nic godność i własność współobywateli. Nie będąc w stanie przewidzieć dalszego ciągu lat 1939-1944 czułem się upokorzony... To przecież moi rodacy pokazali „klasę”.

Pierwsze dni

Zaledwie w oknach poszarzało, zerwałem się z łóżka. Było coraz zimniej. Zmiotłem dokładnie pył zalegającego jeszcze tynku i odprysków szkła. Wyniosłem co najmniej dziesięć kubłów śmieci. Podobnie jak inni współmieszkańcy Nieporęckiej, wysypywaliśmy to pod murem zakładów przemysłu spirytusowego. Kiedy rozwidniło się na dobre, poszedłem z kubłem do tychże zakładów po wodę. W kolejce stało już kilkadziesiąt osób, każdy zaopatrzony w jakieś pojemne naczynie. Szybko dostaliśmy wodę, ponieważ przemysłowa studnia artezyjska biła mocnym strumieniem i z dużego zbiornika mogło jednocześnie czerpać jednocześnie po kilku oczekujących. Kolejki pilnował Niemiec, zaopatrzony w karabin przewieszony na ramieniu. Wciąż poganiał nas wrzaskiem: *Schnell, schnell!* To poczucie siły i wszechwładzy w stosunku do „podludzi” towarzyszyło nam przez następne pięć lat okupacji.

Zaledwie powróciłem do domu i umyłem się w zimnej wodzie, ktoś zapukał do drzwi. Na progu stała dozorczyńni, pani Stabrowska, wręczając mi bochenek chleba. Nie chciałem przyjąć pieczywa, ponieważ w plecaku miałem cały bochenek, przyniesiony jeszcze ze wsi. Co więcej, pani Stabrowska miała czworo dzieci: Genia, Wacka, Marysię i najmłodszego Bronka, uchodzącego w okolicy za „urwańca spod szubienicy”. Sprawa jednak nie była prosta, chodziło o honor dozorczyńni. W czasie oblężenia Warszawy miała klucze od naszego mieszkania i wtedy wzięła dwa bochenki chleba dla swej rodziny. Właśnie teraz mnie, świeżo powracającemu z wielkiej wędrówki, chciała to wynagrodzić. Wiedziałem, że jest wdową po legionście, samotnie od lat wychowującą dzieci, że stała po ten bochenek chleba wraz ze starszym synem przez całą noc i że to ja – my – zaciągnęliśmy wo-

bec niej ogromny dług, ponieważ w naszym mieszkaniu nie brakowało niczego. Tacy byli ci „prości ludzie”, proletariat Warszawy w owych ciężkich dniach. Nadal, przechodząc obok niej, zawsze jestem pełen szacunku dla jej godności i uczciwości.

Ponieważ mówiono, że Niemcy przepuszczają przez most Kierbedzia dopiero od godziny 9.00 rano, skoczyłem po drodze do szkoły na Otwocką. Kierowniczką, pani Stefania Usarkowa, jeszcze nie wróciła do domu, natomiast dziarsko krzątał się już Adam Gawęda, mój towarzysz wędrówki wrześniowej. Woźni i dozorca wynosili słomę, pozostałości po nocujących tu żołnierzach polskich. Po szkole kręciły się także dzieci i ich rodzice, pomagając w sprzątaniu. Zaczęli pojawiać się pojedynczy nauczyciele. Musiałem jednak ruszać do śródmieścia Warszawy, gdzie w czasie oblężenia przebywała moja żona i synek Grześ.

Most Kierbedzia był szczelnie obstawiony przez kordon Niemców z bronią gotową do strzału. Ruch pieszy w obu kierunkach był ogromny. W dole wiaduktu Pancera, na rynku Mariensztackim, leżały wraki spalonych samochodów i polskiego czołgu. Grupy odświętnie ubranych lotników Luftwaffe z radością pokazywały sobie szczątki polskiej obrony i rozprute niemieckimi nalotami domy mieszkalne. Zdobyli wszakże Festung Warschau. Na ulicy Elektoralnej musiałem się ukryć w bramie, ponieważ oddział żandarmerii wylapywał co młodszych i zdrowiej wyglądających przechodniów i zapędzał ich do usuwania gruzów. Chodziło przede wszystkim o torowanie dróg przejazdowych dla wojska. Ubrani w brunatne mundury SA-mani wdzierali się do sklepów żydowskich, których w tej okolicy było bardzo wiele. Wybijali szyby i tłukli we wnętrzu wszystko, co do stłuczenia było. Żydów obu płci, bez względu na wiek, wypędzano do usuwania gruzów. Był to praktyczny pokaz podbitym Polakom szkicu na projekt jeszcze bardziej udoskonalonej „kryształowej nocy”, o której przebiegu pisały nasze gazety przed wojną. Były to opisy tak nieprawdopodobne, że wielu z nas uważało to za przesadę dziennikarską.

Na skwerku przed kościołem św. Karola Boromeusza, gdzie przed pięciu laty braliśmy ślub, widniało kilkadziesiąt grobów osób poległych w czasie oblężenia Warszawy. Przemykając się chyłkiem, dotarłem wreszcie do domu przy ul. Białej, gdzie mieszkał, wraz z niezamężną starszą córką Jadwigą, mój teść Ludwik Lindner. Był on typowym przedstawicielem starego pokolenia proletariatu

warszawskiego. Przez lata pracował ciężko, w trudnych warunkach, w galwanizerni zakładów Frageta produkujących szeroki asortyment nakryć stołowych. Zawsze spokojny, o pięknej, inteligentnej twarzy ozdobionej sumiastym wąsem, cieszył się zaufaniem współobywateli. Był członkiem Straży Obywatelskiej, która czuwała nad bezpieczeństwem Warszawy w czasie opuszczenia miasta przez Rosjan w okresie I wojny światowej. Ze swej wieloletniej działalności zawodowej i obywatelskiej wyniósł zdecydowaną niechęć do „politykierów”, zawsze – jak mawiał – żyjących niczym pasożyty kosztem innych, oraz gruźlicę, na którą w 17 roku życia zmarł jego najstarszy syn. Był człowiekiem niezwykle kulturalnym, dla którego najgorszym określeniem ludzi, którzy na to zasługiwali było „draństwo z gałgaństwem”.

Zapukałem do drzwi. Z wielkim wzruszeniem i radością powitał mnie teść, żona i czteroletni synek Grześ, który zawisł na mojej szyi, powtarzając bez końca: *Tatuniu, już nigdy, nigdzie nie pójdziesz. Już zawsze będziesz z nami!* Wczesnym popołudniem ruszyliśmy do domu na Pragę, żegnani przez teścia Ludwika. Z opowiadań żony dowiedziałem się, jak straszne przeżycia łączyły ich wszystkich w czasie oblężenia Warszawy, w piwnicach walących się podczas bombardowań domów. Niosąc przez całą drogę z ulicy Białej na Nieporęcką naszego syna na rękach, dotarliśmy zmordowani do własnego mieszkania.

Znaleźliśmy się z żoną w niezwykle trudnym położeniu. Prawda jest, że byliśmy nieomal bogaczami wobec rzeszy pogorzalców, uciekinierów ze wschodu czy wysiedlonych z zachodnich dzielnic państwa. Mieliliśmy dach nad głową, własne łóżko, skromne ubrania, a nawet dwa bochenki chleba. Powracało jednak natrętne pytanie – z czego i za co dalej żyć? Nigdy nie było nam lekko i w naszym kraju nigdy sytuacja ekonomiczna nauczycieli nie dawała nam poczucia pełnego obywatelstwa. Uposażenie wynosiło nas, co prawda, ponad stan żebraczy, ale było poniżej zarobków furmana, konduktora tramwaju, nie mówiąc o rzemieślnikach. Wysokie kwalifikacje, jakie zdobywali nauczyciele przed wojną, były nie tylko wynikiem pędu do wiedzy, poczuciem konieczności doskonalenia się w zawodzie, ale także chęcią zdobycia wyższej grupy uposażenia, wyrwania się z upokarzającej pozycji ciągłego niedostatku. Wielu drwiło ze swej biedy. W czasie pewnego protestacyjnego pochodu pod sztandarem Związku Nauczycielstwa Polskiego, szliśmy z zawsze młodym i dziarskim ko-

legą Chróścickim na czele. Ktoś z tłumu przechodniów krzyknął: *Niech żyją nauczyciele!* W odpowiedzi kolega Mamczar, który miał to, co Niemcy nazywają Schlagfertigkeit, rzucił w tłum jak dobrze odbita piłkę: *Ale z czego?!*

Całego naszego przedwojennego niedostatku nie można jednak było porównać z położeniem, w jakim znaleźliśmy się w jesieni i zimie roku 1939. Węgla brak, szyby wybite, mieszkanie pełne kurzu po bliskich wybuchach. Okna zabijaliśmy dyktą. Mieszkanie było wciąż narażone na wpływy aury, nadal względnie łaskawej przy braku szyb w oknach. Nająłem w końcu młodego człowieka o rudej czuprynie, syna naszej koleżanki, nauczycielki ze szkoły specjalnej, pani Bytnarowej. Janek oszklił nam okna, używając ogromnej liczby kawałków szkła, które zachodziły na siebie, ale izolowały od tego, co działo się na zewnątrz. Tak, był to ten sam Janek Bytnar ps. „Rudy”, bohater oddziałów szturmowych Armii Krajowej, odbity w słynnej akcji pod Arsenalem. Pamiętam go drobnego, pochylonego nad naszą wspólną biedą, spersonifikowaną pod postacią braku szyb w oknach. Spędziliśmy z nim całe popołudnie. Jestem szczęśliwy, że miałem tę szansę i wielki zaszczyt doznać jego życzliwości i poznać osobiście. Jakże często spotykało się w czasie okupacji takich wspaniałych ludzi, skupiających w sobie to wszystko, co nasz naród miał najlepszego i których działalność stała się więzią spajającą nas w walce i pochodzie dziejowym.

Trzeba też było pomyśleć o ogrzaniu mieszkania, co przy kompletnym braku węgla i ogromnej drożyznie opału, nie było problemem łatwym do rozwiązania. Uważne zbadanie naszej piwnicy dało wynik niespodziewany: wybierając od wielu lat węgiel, w ogóle nie interesowaliśmy się miałem. W ten sposób narosła jego ponad półmetrowa warstwa, która w nowych warunkach okazała się dawcą ciepła. Sporządziliśmy siatkę do przesiewania miału, oddzielając go od grysiu węglowego. Należało następnie pomyśleć o oszczędnym gospodarowaniu naszymi skarbami. O tym, aby miałem i bardzo drobnymi okruciami węgla palić w piecu lub w kuchni, mowy nie było. Groziło to eksplozją lub zaccadzeniem, przed czym nas przestrzegano. Zdecydowaliśmy o wyłączeniu z użytkowania, na czas zimy, jednego pokoju i kuchni. Pokojem używanym miał być pokój środkowy, który trzeba było ogrzewać jako miejsce do pracy i siedzenia. Pewnego dnia po wyjściu ze szkoły, zacząłem penetrować rozległe rumowiska

domów. Znalazłem płytę kuchenną i kilka krawców fajerek do niej pasujących. Na drugi dzień przyniosłem do domu dość grubą płytę stalową, która mogła być podstawą dla paleniska. O cegły i kafle nie było trudno, ponieważ w każdym zrujnowanym domu było ich pod dostatkiem. W konstruowaniu dość prymitywnej kuchenki, zwanej powszechnie w okupacyjnej Warszawie „kozą”, walny udział miał dziadek Lindner, który był tak zwaną „złotą rączką”. Ową „kozę” połączyliśmy kawałem rury żeliwnej z otworem paleniska pieca kaflowego i przez dwa dni czekaliśmy na wyschnięcie spoiwa całej konstrukcji. Następnie odbyła się pomyślna inauguracja paleniska i od tego czasu do końca okupacji nie wyobrażaliśmy sobie życia bez „kozy”. Kuchenka miała wiele zalet: można było na niej szybko ugotować posiłek, zużywając minimalne ilości mialu, szybko się nagrzewała, a więc i szybko dawała ciepło dla pomieszczenia, łatwo było utrzymać ją w czystości. Instytucja „kozy” robiła w czasie okupacji wielką karierę, podobnie jak w latach późniejszych lampy karbidowe. „Kozą” ulegała modyfikacjom i wielu zdolnych konstruktorów (a Polak potrafi, zwłaszcza w biedzie!) wprowadzało ulepszenia – szybry, kręte odprowadzenia spalin dla mniejszej straty ciepła. „Wynalazczość Polaków w dobie okupacji” byłby to znakomity temat pracy habilitacyjnej.

Dzięki kozie gotowaliśmy na małym ogniu kaszę, do której, aby zupa była gęstsza, nie wrzucało się całych kartofli, tylko ścierało 3-4 ziemniaki i taki zacier wlewało do rozgotowanych krup. Zawartość garnka stawała się gęsta, zawieszista, lepiej zaspakajająca głód. Zaopatrzenie ludności w żywność było katastrofalnie niewystarczające. Raz na tydzień dawano (na kartki) przydział 10 gramów mięsa na osobę. Żadnego tłuszczu przez całą okupację na kartki nie przydzielano. Powszechne stało się używanie margaryny, bardzo złej jakości, przypominającej smakiem raczej szare mydło, jak też ohydnej marmolady robionej z czerwonych buraków. Chleb na kartki był gliniasty, gorzki i przydzielany w tak małych ilościach, że był raczej symbolem potrzeb, niż ich zaspokojeniem. Oboje z żoną byliśmy ciągle głodni – cały nasz przydział mięsa i chleba pozostawialiśmy synkowi, który jak nigdy przedtem, teraz miał apetyt nieproporcjonalnie duży do warunków. A na nieszczęście był to okres jego intensywnego wzrostu. Chłopiec często krzyczał, że jest głodny, a matce, która sama nie dojadła, zarzucał, że jest „taka niechcąca”: *Mamusiu, dlaczego ty jesteś taka niechcąca. Ja ciebie proszę, a ty wciąż nie chcesz*

dać mi zjeść! Wieczorami opowiadaliśmy mu bajki i wtedy zadawała się kawałkiem przydziałowego chleba, urzeczony wizją czarodziejskich rzek mleka, ogrodami pełnymi wszelkich owoców, sztuczkami Janka Wędrawniczka, który na życzenie: „Stoliczku – nakryj się!” miał do jedzenia, czego dusza zapagnie. Z tym mirażem usypiał słodko, z uśmiechem na twarzyczce, coraz mizerniejszej. Ku naszemu przerażeniu pediatra sygnalizował, że trwający stan niedożywienia chłopca, może nieść ze sobą katastrofalne skutki w jego rozwoju. A my byliśmy w rozpacz, bezradni.

Te wieczorne praktyki szamańskie pozostawiły w mojej psychice ślad: kiedy obecnie słyszę opowieści o różnych cudownych historiach, zwłaszcza wspaniałych perspektywach, najeżam się psychicznie, wietrząc natychmiast kpinę, lipę, oszustwo, kant. Mam wtedy uczucie człowieka, którego kładą na stół operacyjny i poddają narkozie, aby znów mu coś odjąć, ewentualnie nie dać tego, co mu się należy.

W listopadzie roku 1939 ojciec mój wykorzystał swój mundur kolejarski i znajomości pośród kolejarskiej braci. Pojechał na Podlasie i przywiózł raz, drugi i trzeci worek kartofli. Były to ziemniaki przemysłowe, ale gotowane w zupie stanowiły danie wykwintne.

Wkrótce kolejnym problemem stało się zarządzenie okupanta, który pod groźbą kary śmierci nakazał oddać wszystkie posiadane przez ludność odbiorniki radiowe. Byliśmy w tym czasie małżeństwem na tak zwanym dorobku i tuż przed wojną zdobyłem się na znaczny wydatek, a mianowicie na kupno najnowszego w tym czasie radioodbiornika marki Philips. Ryzyko przechowywania radia o bardzo dużych gabarytach było zbyt wielkie. Po odpowiednim zwarciu przewodów wewnętrznych, włączyłem radio do gniazda z prądem elektrycznym i machinę diabli wzięli. Nie sędzę, aby jakaś szwabska rodzina miała z niej jeszcze pożytek

Od początku października 1939 r. pracowałem w naszej szkole przy ul. Otwockiej. Spoza Warszawy wróciła szczęśliwie nasza kierowniczką, pani Stefania Usarkowa, wraz z rodziną. Z jej polecenia poszedłem do zajezdni tramwajowej przy ul. Kawęczyńskiej. Tu mieszkali i pracowali wielu rodziców naszych uczniów, między innymi państwo Wichlińscy i Kunińscy. Tramwajarze poznali mnie także z panem Józefem Tokajem, o którym cichcem mawiało się, że przed wojną komunizował. Był to człowiek o ogromnym autorytecie pośród załogi zajezdni, którego syn Maciek był w latach 1941-1980

jednym z najbliższych przyjaciół mego syna Grzesia. Dzięki tym ludziom dostaliśmy pomoc nieocenioną. Bezrobotni w tym momencie tramwajarze bezpłatnie pomogli nam w porządkowaniu „ich szkoły”. Z magazynów zajezdni wydano nam, bez jakichkolwiek opłat, ścierki i pastę do podłóg. Ojcowie i matki naszych uczniów pomagali nam skrobać podłogi, dźwigać ciężkie łóżka, które ustawiono tu dla rannych w czasie oblężenia miasta, czyniąc ze szkoły prowizoryczny szpital. Pracowaliśmy zgodnie w pocie czoła: my, nauczyciele, i ludzie pracy Michałowa, pełni zaciętości dla dobra naszych dzieci. Powoli, w oczyszczonych salach, rozpoczęliśmy nauczanie. W ciągu tygodnia szkoła rozbłysła, zapachniała porządkiem i czystością. Wracła „normalność”. Nigdy też nie było takiego zbliżenia i pełni zrozumienia celów działania pomiędzy gronem pedagogicznym a zespołem rodziców naszych wychowanków. Mimo, że nikt z nas nie wygłaszał pięknych, wzniosłych słów, wszyscy wiedzieliśmy jedno: nie damy się biedzie; pozostawieni sami sobie stworzymy szkołę po to, aby jej wychowankowie byli zdolni odbudować kraj, ukochane miasto i odnieść zwycięstwo nad wrogiem. Nikt nikogo nie zachęcał, nie poganiał, nie zmuszał, a wszyscy pracowali od rana do nocy i dopiero godzina policyjna wyganiała nas z budynku szkolnego do domów.

My, ze szkoły nr 126 im. Józefy Joteyko, mieliśmy łatwiejsze zadanie, gdyż pracowaliśmy tylko na najwyższym piętrze. Znacznie gorzej było w szkole nr 130, pracującej pod kierownictwem kolegi Wacława Dargiela, ojca działacza harcerskiego czasu wojny i autora tekstów znanych piosenek armii podziemnej. U nich największe zniszczenia dotyczyły piwnic oraz parteru. Także i tutaj pracowano równie intensywnie przy odnawianiu i porządkowaniu.

W tych dniach spotkałem się z koniecznością rozwiązywania pewnych problemów moralnych, jakich nie znałem (w takiej przynajmniej skali) w czasach „normalności”. W bramie domu nauczycielskiego przy ul. Siedleckiej 29 niespodziewanie stałem się świadkiem ostrej sprzeczki, jaką prowadził jeden z naszych kolegów nauczycieli z nieznanym mi osobnikiem. Obaj wrywali sobie z rąk składane, polowe żołnierskie łóżko. Chcąc nie chcąc, włączyłem się w ten spór. Nieznajomy człowiek był nędzarzem. Płacząc, wyjaśniał, że przed kilkunastu dniami, w czasie ostrzeliwania Pragi, uciekał z palącego się domu, tylko w spodniach, nawet bez koszuli. Teraz znalazł dla siebie i ocalałego, nieletniego syna kąt do spania i bytowania u znajomego na

Targówku. Nie ma jednak na czym spać. Kolega nauczyciel tłumaczył, że łóżko wciąż należy do państwa polskiego, do szpitala wojskowego. Dzisiaj tego rodzaju tłumaczenie wydaje się niesłychanie naiwne, ale wówczas inna była skala wartości rzeczy i czynów. Uznałem za usprawiedliwione ofiarowanie tego łóżka nieznanemu. Nie wyglądał na oszusta, ani łobuza. Był jednym z rozbitków września 1939. Kazałem mu zmykać z łóżkiem na Targówek, co uczynił z szybkością rączego jelenia. Natomiast kolega, nauczyciel z sąsiedniej szkoły, zaczął mnie pouczać, w jakim to przestępstwie wziąłem udział, że będę musiał zwracać kosztą kradzieży dóbr szpitala wojskowego itd. Gadał tak namolnie i bez sensu, że zdenerwowany powiedziałem mu – po raz pierwszy w życiu – że jego praworządność mam w tym momencie „w dupie”. Był to człowiek godny, uczciwy, ale wielki pedant i formalista, którego ówczesna sytuacja przerosła. Sprawę rozstrzygałem we własnym sumieniu przez następne dni. Jeżeli wziąłem w dniu powrotu do domu z młyna co najmniej 30 kg zboża, to także przecież nie była to chęć grabieży dobra społecznego.

Nocą, w końcu tygodnia naszych wspólnych działań porządkowania szkoły, kiedy wnętrza były już odnowione i gotowe, do gmachu wtargnęli Niemcy i przejęli budynek przy ul. Otwockiej. Zabrano nam wszystkie sprzęty, dokumenty uczniów, mapy, zawartość biblioteki, a nawet prywatne rzeczy woźnych i nauczycieli pozostawione w pokojach służbowych. Cały majątek szpitala polowego, który zgromadziliśmy w podziemiach szkoły, także przepadł. Tak więc przynajmniej łóżko ofiarowane nędzarzowi nie padło łupem hitlerowców! Poczulem ulgę. Jednocześnie, zarządzeniem władz wojskowych nakazano, aby mieszkańcy domów służbowych dla nauczycieli przy ulicach Siedleckiej i Łochowskiej przygotowali po jednym z pokoiów w każdym z mieszkań na kwaterę dla oficera niemieckiego. Owi „lokatorzy”, poza tym, że mieli koszary tuż obok, trzymali także i gospodarzy „na oku”.

Dziesiątki ludzi bezradnie krążyło wokół gmachu szkolnego. Był to szok dla całej społeczności dzielnicy, dla której pracowaliśmy. W tej sytuacji dużą odwagę i determinację okazała kierowniczka naszej szkoły, pani Stefania Usarkowa. Mimo wart niemieckich i wielu innych przeszkód, zdołała dotrzeć do niemieckiego komendanta gmachu przeznaczonego, jak się okazało, na koszary żandarmerii okupanta. Oficer ten, aczkolwiek niechętnie i z zastrzeżeniami,

pozwolił nam częściowo i w ściśle określonych godzinach na odebranie majątku szkoły. Nazajutrz czekaliśmy na wyznaczoną godzinę z ręcznymi wózkami ukrytymi w bramach przy ul. Siedleckiej. Kolega Adam Gawęda i pani Usarkowa poszli pertraktować z komendantem, a nam czas dłuży się niesłuchanie. Nagle padł sygnał: można odbierać! Wjeżdżamy „po strażacku” na podwórko od strony ul. Siedleckiej. Ustawieni w długi rząd uczniowie i ich rodzice szybko podają sobie dzienniki, księgi ocen, mapy. Ładujemy wszystko na wózki i wyjeżdżamy. W trzeciej bramie zrzucaamy rzeczy na stos i wracamy po kolejne. Część dzieci nosi i układa wywiezione dobra w komórce, którą wypożyczył nam życzliwy i rozumiejący sytuację dozorca. Jedziemy na podwórko szkoły po raz trzeci. Trzeba wykorzystać szansę do maksimum, nie wiedząc, jak będzie jutro. Wózek szybko się napełnia. W tym momencie na podwórze wkracza oddział wartowniczy. Prowadzący wrzeszczy komendę. Niemcy stają i broń wędruje do nogi. Znów głośny wrzask. Żołnierze ładują karabiny ostrą amunicją. Żołdacy stają twarzą w twarz z polskimi dziećmi. To sytuacja groźniejsza, niż przed kilkudziesięciu laty we Wrześni. Jeszcze jedna komenda i żołnierze otaczają nas. Podchodzą i starannie sprawdzają zawartość naszych wózków. Wysoki żandarm podbiega do mnie i łapie za krawat. W drugim ręku trzyma otwartą książkę. Na ilustracji w książce do nauki historii widzę zdjęcie grupy Niemców rozbieranych w listopadzie 1918 r. na ulicach Warszawy.

Zrobił się straszliwy tumult i rozgardiasz. Przez zęby wyrzuciłem z siebie do ucznia Szperki: *Szybko, zwiewajcie z wózkiem!* Chłopcy wykonali to polecenie błyskawicznie, ale żandarmi zaczęli za nimi biec. Napastnik puścił mnie i dołączył do goniących. Skorzystałem z tej chwili i skoczyłem w otwarte drzwi szkoły. Zauważyłem, że chłopcy są już na ulicy. Niemiec wraca i szuka mnie, ale jestem już w znanych mi zakamarkach podziemia szkoły, dopadam drzwi wychodzących na ul. Łochowską i spokojnie, chociaż serce łomocze, przechodzę na wypełnioną ludźmi ulicę. Po kilkunastu minutach wracam na Siedlecką, gdzie witają mnie uczniowie niepewni o mój dalszy los. Jeden tylko Szperka raz po raz powtarza: *A to łachudry, a o łachudry!* Zadziwiałoby to, że dzieci nie były przerażone, ale wściekle na tych, którzy zniweczyli ciężką pracę ich i rodziców. Pytały o powody tej eksplozji gniewu Niemców. Tłumaczyłem im, na pewno na wyrost, że hitlerowcy tak bardzo się rozgniewali, ponieważ zobaczyli swój historyczny

koniec. Przekonywałem ich, że za kilka miesięcy, najpóźniej na wiosnę roku 1940, kiedy to ruszą Francuzi i Anglicy, Niemcy będą stali tutaj przed nimi rozbrajani, z podniesionymi rękoma. Ależ wtedy przeżyjemy frajdę! W ciągu najbliższych dni w całej dzielnicy opowiadano sobie o tym, jak praskie dzieci z Michałowa wykołowały szkopów. Niestety, na tym zakończyła się akcja ewakuacji szkoły, która stała się bezdomna.

Powstał problem najistotniejszy: gdzie uczyć nasze dzieci? Znalezienie lokalu, w którym mogłaby pracować szkoła dla kilkuset dzieci, nie było ani łatwe, ani proste. Początkowo lekcje organizowaliśmy w mieszkaniach prywatnych, jednak była to męcząca prowizorka, stwarzająca liczne problemy organizacyjne. Targówek był spalony nieomal doszczętnie. Przed wojną była to dzielnica biednych, drewnianych domów, które paliły się jak zapalka w czasie walk. Michałów został w znacznej części zburzony, spalono znaczną część drewnianych domów, co powodowało w konsekwencji ogromne zagęszczenia mieszkańców w ocalałych budynkach. Rósł przy tym napływ ludności polskiej wysiedlanej z Wielkopolski, Pomorza i Śląska, które Niemcy ogłosili częścią Trzeciej Rzeszy. Do wielu rodzin dołączali ich członkowie, którzy uciekli spod okupacji sowieckiej, przywożąc przynębiające wieści o masowych wywózkach na Syberię całych grup ludności polskiej. Nastroje wśród mieszkańców Warszawy były podłe, jak i wszystko, co przyniosła nam wojna.

Usarkowa biegła od rana do wieczora po całej Pradze, badając wszelkie możliwości zainstalowania szkoły w jakiś ludzkich warunkach. Jednym z takich pomieszczeń miała być reszta pozostała po zburzonej fabryce ram okiennych i drzwi. Niestety, nie mieliśmy materiałów budowlanych, które umożliwiałyby doprowadzenie do stanu używalności przynajmniej części ruin. Jak przy powszechnym braku materiału oszklić resztki hal produkcyjnych, skąd zdobyć w spalonym mieście deski, za co je kupić przy totalnym braku funduszy na oświatę? A wreszcie – jak ogrzać szkołę w takich warunkach, skoro węgiel ze Śląska był nieomal wyłącznie dostępny dla Niemców? W dramatycznie trudnych warunkach uczyliśmy więc nadal w mieszkaniach prywatnych, podczas gdy kierowniczką szkoły nieustannie szukała innych możliwości.

W życiu często tak bywa, że szczęście poszukiwane po całym świecie, jest w istocie za progiem. W klasztorze sióstr albertynek, pro-

wadzących przy ul. Kawęczyńskiej 6 dom opieki dla ludzi samotnych i porzuconych, dowiedzieliśmy się, że na tejże samej ulicy, pod numerem 49, istniało – zamknięte obecnie przez okupanta – niższe seminarium duchowne, prowadzone przez księdza doktora Lipińskiego. Hitlerowcy, uważając słusznie, że kościół katolicki w Polsce może być ośrodkiem oporu duchowego dla społeczeństwa, uniemożliwili jego dalszą działalność. Pani Usarkowej udało się, przy pełnej pomocy i zrozumieniu wagi sprawy przez księdza Lipińskiego, otworzyć w murach przy ul. Kawęczyńskiej 49 szkołę. Zanim zdążyliśmy się zainstalować, zgłosił się kolega Wacław Dargiel z delegacją nauczycieli szkoły nr 130, pracującej dawniej w tejże samej szkole przy ulicy Otwockiej 3. Przedstawili serdeczną prośbę o podzielenie się lokalem. Rozumiejąc, że interesy młodzieży Michałowa są ważniejsze niż pogorszenie naszych warunków nauczania, wyraziliśmy zgodę na wspólne działanie i jako ludzie żyjący dla tej samej sprawy pracowaliśmy w braterskiej zgodzie przez całą okupację. Warunki pracy pogorszyły się jeszcze bardziej, kiedy pod nasz dach przyjęliśmy kolejną szkołę – z ul. Kawęczyńskiej 2 (róg ul. Korsaka) – którą Niemcy zlikwidowali, przeznaczając budynek na koszary wojskowe lub też lazaret.

Do pozyskanego gmachu przenieśliśmy wszystko, co ocalało, a więc: książki, mapy, dokumenty szkoły z wpisami uczniów i świadectwami ukończenia szkoły. Ławki szkolne, które Niemcy wyrzucili na teren zlikwidowanego ogródka jordanowskiego przy ul. Siedleckiej, podkradaliśmy cichcem i przenosiliśmy do naszej nowej szkoły. Używam tu terminu „podkradaliśmy”, ale było to po prostu odzyskiwanie własnego dobra. Na terenie ogródka ławki szkolne niszczały na słocie dni jesiennych i wczesnej zimy.

Teren ogródka jordanowskiego łączył się z posesją państwa Majczynów. Stała tu w ogrodzie willa, zamieszkiwana przez dwie rodziny. Majczyna był oficerem lotnictwa polskiego i był osadzony w obozie jenieckim. Jego żona, niezwykle dzielna kobieta, pomagała nam w magazynowaniu odzyskiwanych ławek w ogrodowej szopce. Wieczorem zabieraliśmy je i poprzez niewielkie gospodarstwo ogrodnicze pana Adamca znosiliśmy do szkoły. Z nadmiaru przezorności wypełnialiśmy tymi ławkami piwnice, komórki na podwórzu, a nawet korytarze poseminaryjne. W końcu nosiliśmy je w zasadzie bez istotnej potrzeby, ot dla przekory, dla sportu, aby szwabom zmniejszyć masę drewna do rąbania, dla ogrzewania się przy nadchodzącej zi-

mie. Ów „sport” był niezwykle niebezpieczny, ponieważ kilkadziesiąt metrów dalej stały przez całą dobę posterunki żandarmerii niemieckiej, która zbyt często strzelała bez ostrzeżenia i bez powodu.

Wojna i okupacja nie wszystkich zmieniła w anioły. W kilka miesięcy po naszym urządzeniu się w gmachu przy ul. Kawęczyńskiej 49, pojawił się w naszym pokoju nauczycielskim znany nam z widzenia kierownik jednej z praskich szkół. Z ogromnym tupetem zaczął sprawdzać w kolejnych klasach i spisywać „swoje” ławki, które mu ponoć skradliśmy. Rozśmieszył mnie do łez, kiedy nie przystał na wspólną wyprawę wieczorną po „jego” ławki, wciąż zalegające ogródek jordanowski. Przyjął tę propozycję z niesmakiem. Omijał mnie przez wiele lat szerokim łukiem. W każdym razie do własnej wiedzy o ludziach dopisałem w pamięci postać „inventaryzatora” działającego w myśl hasła: „Ty się wystaw na cios, a ja sobie zyski odpiszę na własne konto”. Był on znany jako porządny człowiek, oddany pracy, ale nierozumiejący działania w zupełnie innych warunkach. Warunkach, które wymagały wyjścia poza ramy tradycyjnego toku życia szkolnego, poza ramy przyzwyczajęń do „normalności”.

Tymczasem wciąż pracowaliśmy przy zagospodarowywaniu budynku: szkliliśmy trzecie piętro gmachu. Na tym poziomie mieliśmy cztery izby lekcyjne, małe pokoiki na kancelarię i pokój nauczycielski oraz czteroosobową ubikację. Oszklenie 10 okien nie było rzeczą łatwą. Pani Usarkowa, mimo słabego zdrowia, pracowała niezmordowanie. Często zadawaliśmy sobie pytanie, skąd tyle siły w jej wątłym ciele? Istotną pomoc nadal okazywali nam tramwajarze z zajezdni na Kawęczyńskiej. Nie tylko pomagali wykonywać prace remontowe, ale dostarczali materiały, uszczuplając tym samym zasoby niemieckiej administracji. Z pomocą rodziców szkliliśmy okna, używając kawałków szyb. Znaczną część kawałków szkła uzyskaliśmy po zdjęciu ram z wyniesionych z Otwockiej licznych portretów dostojników państwowych sprzed wojny. Nadchodziły coraz większe zimna i trzeba było odizolować się od ponurej aury szkłem w oknach.

Któregoś dnia Adam Gawęda przyniósł do szkoły wiadomość o przypędzeniu przez Niemców na Otwocką dużej grupy Żydów. Około południa nadeszła nowa wiadomość: Żydzi wyrzucają przez okna na podwórze resztki dobytku szkoły, gromadzą na stosach i palą. Poszliśmy z Adamem na rozpoznanie sytuacji. Grupa żandarmów chodziła wokół Żydów z grubymi pałkami. „Niewolnicy” znosili reszt-

ki książek z naszych zbiorów bibliotecznych w wielkich blaszanych pudłach i dorzucali do palących się stosów. Niemcy palami regulowali ruch. Ludzie, obarczeni ciężarem ponad miarę, zgonieni i wystraszeni, biegali ruchem wahadłowym. Jeśli któryś z nich upadł pod ciężarem – był katowany w straszliwy sposób. Kobiety stojące za nami w bramach płakały i zakrywały dzieciom oczy. Gorzki smak bezprawia i zwyrodnienia ludzkiego jeszcze dzisiaj, po wielu latach, nasuwa wątpliwości, co do wartości współczesnych ludzi, którzy gdzieś przecież mają rodzinne domy, dzieci, starych rodziców. Rosła sterta książek, kałamarzy, eksponatów z poszczególnych pracowników szkolnych. Znaczna część przedmiotów wyrzucanych znalazła się poza ogrodzeniem szkoły. Ustaliliśmy z Adamem, że wieczorem, przed godziną policyjną, będziemy w stanie część tych cennych dla nas rzeczy wykraść. Wcześniej zapadający zmrok sprzyjał naszym zamiarom. Sformowaliśmy grupę 10 zdyscyplinowanych chłopców. Czterech z nich ukryło się z wózkiem ręcznym na sąsiednim podwórzu. Ładowaliśmy setki kałamarzy, częściowo uszkodzone mapy, eksponaty muzeum szkolnego i wszystko, co miało szanse przydać się w najbliższej przyszłości.

Wracaliśmy po raz trzeci, kiedy trafiliśmy na sytuację, która przerwała naszą akcję. W bramie domu, otoczony grupą kobiet, siedział Żyd. Jęcząc z bólu, trzymał się za brzuch. Był to jeden ze skatowanych przez „cywilizowanych” Niemców niewolnik. Jak się potem okazało w szpitalu, doznał urazowego pęknięcia przepony. Był szarzielony i mienił się w oczach. Długie, delikatne palce człowieka nigdy niepracującego fizycznie, były nieomal przezroczyste. Staliśmy przed nim, jak przed obrazem męki. Obraz cierpiącego szczególne wrażenie wywarł na dzieciach. Był to jeden z pierwszych momentów okropności czasu wojny i hitlerowskiego barbarzyństwa, który czynił ich przedwcześnie dojrzałymi. Jakaż to dramatyczna chwila dla pedagoga, który nie jest w stanie uchronić swych wychowanków przed owym okrutnym zadziwieniem, zabijającym w nich czas dzieciństwa. Ileż podobnych i jeszcze bardziej drastycznych sytuacji musieliśmy przejść my, nauczyciele, wraz z całym narodem.

Skatowany człowiek słabł i jego skargi na ból były coraz cichsze. Odesłaliśmy dziewczynki do domu, a z chłopcami załadowaliśmy chorego na nasz wózek, przykryliśmy kocem i zawieźliśmy do najbliższego

szpitala – przy ul. Brzeskiej. Inny, nowoczesny szpital pod wezwaniem Przemienia Pańskiego, Niemcy wyłączyli z działalności rezerwując go „nur für Deutsche”. Powtórzyć naszego odzyskiwania dóbr szkolnych nie udało się. Następnego dnia Niemcy, z właściwą im dokładnością, dokończyli dzieło spalenia. Mieliśmy jednak czyste sumienie, pomagając człowiekowi, którego dalsze losy zapewne nie były pomyślne.

Powoli wdrażaliśmy się do względnie normalnego toku pracy szkolnej, o ile można tak zwać warunki pracy pedagogicznej w gmachu przy ul. Kawęczyńskiej 49. Mnie samemu bardzo pomagała powtarzana dewiza życiowa mego Ojca: „Nie narzekaj, bo zawsze może być gorzej!”.

Pewnego dnia oddział wojska niemieckiego nagle opuścił gmach szkoły i na jego miejsce nastąpiła przedziwna zbieranina: oddziały pomocnicze zwane Selbstschutzami, złożone z różnych osobników, wszelka swołocz, składająca się głównie z volksdeutsche'ów z terenu całej Polski. Kierownicze, pani Usarkowej, jakimś cudem udało się dotrzeć do nowego komendanta. Był nim pochodzący z Hamburga major rezerwy, człowiek już po pięćdziesiątce, odcinający się od holo-ty, którą miał dowodzić. Nie nadawał się najprawdopodobniej na to stanowisko w kraju okupowanym, ponieważ po miesiącu został odkomenderowany do Niemiec. Otóż dzięki, nazwijmy to umownie, liberalizmowi tego oficera, mogliśmy z piwnic szkolnych zabrać resztki zapomniane przez poprzednich „lokatorów”. Zabraliśmy wtedy kilka kartonów wypełnionych obrazami, powielacz i tokarkę do drzewa. Siostry albertynki pozwoliły nam to ukryć w swojej „graciarni”, gdzie miały skład łóżek i materaców dla starców. Najwięcej kłopotu sprawiał powielacz, wielka machina marki Gestetner. Posiadanie tego rodzaju urządzenia było równie niebezpieczne, jak posiadanie broni. Nie mogłem go sprzedać, nie mogłem oddać Niemcom, co tydzień więc poświęcałem kilka godzin na konserwację urządzenia, w tajemnicy przed innymi. Każda rewizja niemiecka mogła zakończyć się dla mnie, ba – dla grona pedagogicznego – wykryciem tej szkolnej drukarni, a tym samym obozem lub rozwalką. Mniej więcej po roku przekazałem maszynę w dobre ręce ludzi podziemia, którzy na pewno wykorzystali ją w sposób optymalny.

Wracamy jednak do obrazów. Były ich pełne kartony. Taką liczbę portretów dostojników państwa oraz wizerunków godła państwowego Niemcy musieli tu ściągnąć z wielu szkół praskich: marszałko-

wie Piłsudski i Rydz-Śmigły, prezydent Mościcki we frakowej koszuli z wielką wstęgą orderu Polonia Restituta oraz Biały Orzeł – godło państwa. Kilkadziesiąt obrazów o bardzo dużych rozmiarach. Był nam wciąż potrzebny materiał do szklenia pozostałych okien szkolnych. W środowisku żywiołu dziecięcego szyby leciały często i gęsto. A więc była to też jakaś rezerwa.

Mieliśmy szkło, rzecz bezcenną w tej pustyni. Czuliśmy się jak Eskimosi, którzy przy wyrzuconym wraku statku znaleźli haczyki do łowienia ryb. A więc: byle do wiosny! Hasło to robiło zresztą zawrotną karierę w zimie 1939 r.: „Słoneczko wyżej – Sikorski bliżej!”. A zresztą, przecież na wiosnę roku 1940 Anglicy i Francuzi rozpoczną ofensywę i dadzą Hitlerowi, w ząbek czesanemu, w kuchni!

Słoneczko wyżej – Sikorka bliżej

W pierwszych dniach listopada 1939 r. pani Usarkowa poprosiła, abym wziął udział w zebraniu zorganizowanym w prywatnej szkole podstawowej pani Rzeszotarskiej, przy ulicy Konopackiej. Zrozumiałe, że termin, miejsce oraz treść zebrania były sprawą tajną. Wszelkie spotkania grupy ludzi, nieuzgodnione z władzami okupacyjnymi, były sprawą gardłową i należało o tym pamiętać. Kto to zebranie zwołał – nie było jasne, ale z faktu, że odbyło się to w tej właśnie szkole wyciągnąłem wniosek, że omawiane będą sprawy istotne dla nas wszystkich. W zasadzie nikt tym spotkaniem, które zgromadziło około 30 osób, nie kierował. Byli delegaci z różnych szkół, ale pośród nich niewielu kierowników. Mimo, że wszystkich znałem, czułem się nieswojo, ponieważ w tym towarzystwie byłem najmłodszy wiekiem. W owych czasach panował zwyczaj, że ludzie młodzi powinni panować nad sobą, zachować umiar, raczej uczyć się słuchać doświadczonych, starszych wiekiem, niż próbować narzucać im swoje poglądy. Czy było to dobre? Na pewno nie, ale w wielu sytuacjach zapobiegało niepotrzebnym konfliktom w środowisku. Dyskusja toczyła się w sposób swobodny i trochę niezorganizowany. Wkrótce jednak wyłonił się obraz obecnego stanu szkolnictwa podstawowego na Pradze, ustalano, kto z nauczycieli zginął we wrześniu, gdzie są największe braki lokalowe i rzeczowe poszczególnych szkół. Uderzała wielka serdeczność, wzajemne zrozumienie i życzliwość, chęć niesienia pomo-

cy, troska o wspólne sprawy. Szczególnie gorąco omawiano temat dzieci nauczycielskich pozbawionych opieki ojcowskiej. Ojcowie byli w obozach niemieckich albo zaginęli na drogach września 1939 r. lub na wschodzie. Ostrzegano przed agentami niemieckimi i prowokatorami, którzy pojawili się także w środowisku nauczycielskim. Umówiliśmy się, że nie będziemy we własnych szkołach informować o fakcie odbycia się takiego spotkania, ale relacjonować w formie „od siebie”: „dowiedziałem się”, „mówi się, że...”, „koledzy twierdzą...”, „nauczyciele postanowili...”.

Pamiętam z tego zebrania pewien incydent. Na początku spotkania wstał z ciasnej ławki uczniowskiej Bronisław Marzysz i oparłszy się o ścianę, wygłosił jedną z najpiękniejszych mów – o wielkim ładunku patriotyzmu – jakie słyszałem w swoim życiu. Jego przemówienie miało formę dyskusji z samym sobą. Nutą przewodnią tego przemówienia była miłość do narodu, który znalazł się w nieszczęściu, ale który nie został pokonany. Marzysz znany był w naszym środowisku ze swych przekonań lewicowych i zakończył wystąpienie stwierdzeniem, że dla odzyskania pełnej niepodległości niezbędne jest uwolnienie ludzi pracy od wszelkich niesprawiedliwości społecznych. Ktoś przypomniał, że mamy dwóch wrogów, którzy podpisali pakt zwany paktem Ribbentrop–Mołotow, że poza terenem naszego działania są jeszcze problemy dzieci uciekinierów ze wschodu, żyjących w szczególnie trudnych warunkach mieszkaniowych i materialnych.

Wychodziliśmy z zebrania po dwie osoby, w pewnych odstępach czasu, aby nie zwracać uwagi na to, że coś wydarzyło się w szkole. Z Marzyszem pracowałem pod jednym dachem i także dlatego niesłychanie boleśnie przeżyłem jego aresztowanie i wiadomość o zakatowaniu przez gestapo przy al. Szucha. Czy ktoś pomyślał o tym, aby ufundować tablicę pamiątkową dla uczczenia nauczycieli, którzy w gmachu będącym siedzibą Ministerstwa Oświaty zginęli w podziemiach w latach 1939–1944? Wychowawcze znaczenie takiej tablicy byłoby ogromne, jeżeli weźmie się rozmiar strat pośród nauczycielstwa, które w czasie okupacji było planowo skazane na zagładę, jako grupa potencjalnych liderów społeczeństwa.

Od tego czasu zebrania powtarzano dość często, z tym, że nie brało w nich udziału więcej niż dziesięć osób. Najczęściej spotykaliśmy się w zakładzie ojców albertynów przy ul. Jagiellońskiej. W tym zakładzie mieścił się praski dom noclegowy dla nędzarzy, tak zwany

„cyrk praski” i tu właśnie powołano, za zgodą Niemców, swego rodzaju fundację charytatywną. Później znalazła się tu siedziba Rady Głównej Opiekuńczej, zwanej w skrócie RGO. Była to znakomita przykrywką dla spotkań niewielkich grup, zwoływanych na przykład przy organizowaniu zadań charytatywnych. Koledzy obdarzyli mnie zaufaniem i zaszczytem reprezentowaniem naszych szkół nr 126 i 130, pracujących pod jednym dachem przy ul. Kawęczyńskiej.

Prowadzącym był zwyczajowo kolega Staszewski. Posiedzenie delegatów miało zawsze dwa oblicza: formalny – dla Niemców, i rzeczywisty – to znaczy bieżące sprawy szkolnictwa. Na początku zebrania Staszewski wręczał nam napisany na maszynie „lipny” porządek dzienny, w którym mieliśmy omawiać na przykład rozdział potrzebującym używanej odzieży. Utrwaliliśmy w pamięci kilka podobnie brzmiących sformułowań, charakterystycznych dla działań opiekuńczych, czy wniosków mogących przy nakryciu nas przez Niemców i w wypadku oddzielnego badania uczestników przez policję, posłużyć do złożenia zgodnych ze sobą zeznań.

Rzeczywistym tematem tych zebrania były sprawy opieki nad dziećmi jeńców i coraz liczniejszej grupy więźniów, nauczanie geografii i historii Polski, sprawy zdobywania podręczników do nauczania przedmiotów zakazanych przez Niemców, współpracy z rodzicami, ochrona młodzieży przed demoralizacją, sprawy czujności w pracy konspiracyjnej. Nasze spotkania były niezwykle cenne, gdyż zwłaszcza w trudnych warunkach świadomość, że nie jest się samym, działała jak pomocna dłoń podana tonącemu. Terror zaostrzał się z każdym miesiącem i z czasem koniecznym stało się przejście na bardziej ukryte formy porozumiewania się. Kontakty odbywały się pomiędzy dwiema osobami, a delegat omawiał następnie sprawy we własnym środowisku szkolnym.

W święta Bożego Narodzenia roku 1939 wstrząsnęła nami wieść o nieprawdopodobnej zbrodni dokonanej w Wawrze pod Warszawą. W Wigilię rozstrzelano tam ponad stu mężczyzn wyciąganych od świątecznych stołów. Powód był prowokacją. W miejscowej knajpie znany policji bandyta zastrzelił, czy też postrzelił, dwóch niemieckich żandarmerów. Właściciel knajpy został powieszony na drzwiach lokalu, zaś inni padli ofiarą terroru będącego pokazem siły i możliwości okupanta.

Tym bardziej aktywnie braliśmy się do naszej pracy. W czasie spotkań podawano nam adresy punktów, gdzie można było odebrać

podręczniki do historii. Na początku były to ukryte zapasy książek z roku 1938/1939, później otrzymywaliśmy podręczniki drukowane w tajnych drukarniach, ze zmienionymi: datą druku i adresem drukarni. Tak więc podręcznik historii lub geografii Polski wydany w Warszawie w 1940 r. miał nadruk fałszywy np. Wilno 1938 r. lub Lwów 1937 r.

Czasem przydział książek był tak duży, że musiałem, razem z naszym nieocenionym woźnym panem Franciszkiem Peckiem, jechać na ul. Inżynierską wózkiem. Mimo wszelkich konsekwencji ewentualnego zatrzymania nas przez Niemców, pan Franciszek godził się na te wyprawy chętnie. Udało się nam jednorazowo przewieźć ok. 500 egzemplarzy dla trzech naszych szkół pracujących pod jednym dachem. Ponieważ w tych czasach wiele osób przeprowadzało się, książki ułożyliśmy na dnie wózka, przykryliśmy workiem jutowym z miałem węglowym, na to położyliśmy stolik odwrócony do góry nogami i ruszyliśmy w drogę. Wiedzieliśmy, że większe podejrzenie mógł budzić objuczony paczkami przechodzień, a jeszcze bardziej podejrzane było, jeśli zaobserwowano, że paczki nosi na tej samej trasie ten sam osobnik.

Te dotacje setek książek, ocalonych przez nas ze szkoły przy ul. Otwockiej 3 i zdobywanych w sposób nielegalny, zapewniły nam możliwość nauczania przez kilka lat. Utworzyliśmy punkty biblioteczne (w domach zaufanych rodziców), które miały przeciętnie po 20 tomów i cieszyły się dużą frekwencją. Z obawy przed „wpadką” musieliśmy po barbarzyńsku powycinać pieczęcie szkół i zostawić egzemplarze z wielkimi dziurami. Chodziło o zamazanie źródła, z którego książka pochodzi. Szczególnie ścigane przez władze niemieckie były takie pozycje jak *Krzyżacy*, *Bartek Zwycięzca*, *Bitwa pod Płowcami*, *Na gruzach zakonu* i wiele innych. Te też cieszyły się największym powodzeniem pośród młodych czytelników. Chyba nigdy przed tym, ani po tym książka z biblioteki szkolnej nie była tak czytana, tak pożądana, jak w ten smutny czas jej prześladowania. Biblioteki publiczne były zamknięte, prywatne żądały dość wysokich opłat i były prze-trzebione przez cenzurę okupacyjną. My oferowaliśmy ją za darmo i spod ręki. Organizacja tajnego czytelnictwa była ogromnie skomplikowana i zabierała nam wiele czasu. Największą nagrodą był dla nas wielki triumf tak zorganizowanego czytelnictwa szkolnego.

Powodzenie książek Sienkiewicza czy Kraszewskiego biło wszelkie rekordy. Pośród nauczycieli najchętniej czytano w tę pierwszą zimę

okupacyjną: *Ziemia gromadzi prochy* Kisielewskiego, *Rewolucja nihilizmu* Rauschninga i *Na tropach Smętka* Wańkowicza. Nadzwyczaj chętnie czytano także Żeromskiego, poezje Mickiewicza i Słowackiego. Moją ulubioną lekturą podczas całej okupacji była *Trylogia* Sienkiewicza, której treści istotnie krzepiły serce Polaka, *Nurt* Berenta, dzieła Norwida, Prusa, Josepha Conrada oraz *Popioły* Żeromskiego.

Zdobyliliśmy także adres składowania przez Niemców książek skonfiskowanych w szkołach, bibliotekach publicznych i mieszkaniach prywatnych. Były to rozległe piwnice jednego z domów przy ul. Jagiellońskiej, nieopodal ul. Floriańskiej. Buszowałem tam przez kilka dni wynosząc skarby, w tym zdumiewające rarytasy bibliofilskie. Miałem w swym posiadaniu m.in. *Historię wojskowości polskiej* Mariana Kukieła z dedykacją: Generałowi Dywizji Władysławowi Sikorskiemu – Autor. Do momentu tragicznej śmierci Generała, zawsze skrywałem w sobie błogą nadzieję, że kiedyś będzie okazja, abym osobiście przekazał ją właścicielowi. Niestety!

W listopadzie roku 1939 przyszła do naszej szkoły koleżanka Aleksandra Dargielowa i zwróciła się do mnie z prośbą o pomoc w organizowaniu świetlic dla dzieci na terenie Grochowa. Nie byłem tym zachwycony, ponieważ Grochów był dla mnie odległą dzielnicą, z marnym połączeniem komunikacyjnym, a poza wszystkim ten dział pracy z młodzieżą nie bardzo mnie interesował. Zostałem jednak przekonany argumentem, że w przypadku możliwego zamknięcia szkół przez okupanta, pozostanie nam wyłącznie ta droga kontaktu z dziećmi. Nie powinniśmy być przez Niemców zaskoczeni i należy tak zorganizować swą działalność, aby w przypadku nowych represji niemieckich w stosunku do naszych placówek oświatowych, od razu przestawić się na nowe formy pracy. Praca była honorowa (nie zwracano nam nawet za bilety tramwajowe), jak się jednak okazało – dała mi duże możliwości samodzielnego wypracowania form nauczania i wychowania, znanych jedynie teoretycznie z publikacji pedagogicznych i wykładów uniwersyteckich. W początkowej fazie pracy, ze względu na brak komunikacji tramwajowej, dwa-trzy razy w tygodniu dostawałem się na Grochów *per pedes apostolorum*. Punktów, w których zorganizowano opiekę nad dziećmi w tej formie, było kilkanaście i przeważnie działały na terenie szkół, których Niemcy nie zajęli. Nie było to jednak regułą. Na ul. Krypskiej dzieci gromadziły się w „siodlarni”. Do września 1939 r. mieścił się tu duży zakład

rymarski, produkujący głównie siodła i rzędy końskie dla tak licznej w przedwojennym wojsku polskim kawalerii. W dużych blokach spółdzielni mieszkaniowej na ul. Podskarbińskiej udało się nam uzyskać dwie izby po zlikwidowanym sklepie. Nasza praca była szczególnie ważna i pożyteczna dla wielu matek osamotnionych przez wojnę, których mężowie zginęli lub przebywali w obozach jenieckich, zaś one musiały zapracować na byt dla swych rodzin. W tym warszawskim społeczeństwie czasu wojny znalazło się także bardzo wielu społeczników, nie nauczycieli, ale rekrutujących się głównie z administracji osiedli, którzy stworzyli swego rodzaju komitety społeczne skierowane na pomoc samotnym kobietom – matkom. Było to podanie im pomocnej ręki i odciążenie w czasie, w którym podjąć mogły pracę czy przedsięwziąć wyprawę po żywność.

Ze względu na ciężką sytuację materialną, byliśmy zdolni karmić dzieci jedynie wodnistą, ale ciepłą zupą, która dla wielu z nich i tak była podstawowym, jeśli nie jedynym posiłkiem. W ogniskach opieki pracowało wiele studentek, które w ten sposób wypełniały czas wolny (okupant zamknął wszystkie wyższe uczelnie). Dla nich także ta sama marna zupka wydawana dzieciom bywała jedynym posiłkiem dnia i jedyną zapłatą za wykonywaną pracę. W naszych działaniach było, zwłaszcza na początku, wiele improwizacji i nieporadności pedagogicznej i organizacyjnej, ale to dopingowało raczej, niż zrażało do kontynuowania działań. Korzystałem też z własnych doświadczeń z czasów, kiedy jako student pracowałem dla zarobku w okresie wakacyjnym na koloniach letnich dla dzieci warszawskich w parku Sobieskiego. Z seminarium nauczycielskiego im. S. Konarskiego wynosiliśmy także znajomość zasad organizowania gier ruchowych i naukę gry na takich instrumentach, jak skrzypce czy pianino. W wolnych chwilach okładałem się także dostępną literaturą pedagogiczną, która pozwalała na układanie wzorców zajęć grupowych. Odbijałem te instrukcje cichaczem na powielaczu Gestetnera i po omówieniu różnych wariantów, pozostawiałem scenariusz zajęć popołudniowych lub przedpołudniowych wychowawczyniom „czasu wojny”. Zawsze przy tym podkreślałem wagę społeczną i narodową ich pracy, odpowiedzialność za wychowanie dzieci. Wiele z nich, przygodnych nauczycielek-wolontariuszek, związało się w latach następnych, zwłaszcza powojennych, z naszym zawodem na stałe. Były to bodaj najlepsze nabytki kadrowe dla grona nauczycielskiego w najbliższej przyszłości. W tej trudnej,

bezpłatnej pracy, odnajdywały nowe wartości, także własne, w czasach zawieruchy wojennej.

Koleżanka Dargielowa, żona kierownika szkoły i matka harcmistrza Szarych Szeregów, wzruszała swoim oddaniem się tej trudnej pracy, prowadzonej w ekstremalnie ciężkich warunkach. Zajmowała się przy tym nie tylko dziećmi, ale także matkowała tym młodym dziewczynom, często wypędzonym ze Śląska, Wielkopolski czy wschodu. Starła się dla nich o pomieszczenia mieszkalne, odzież, buty, o przysłowiowy kawałek chleba. Byłem dumny i szczęśliwy, że jako dość młodemu nauczycielowi danym mi było pracować z ludźmi tej miary.

W zimie do pracy tej dołączyła młoda nauczycielka, pani Helena Trojnarowska, absolwentka Instytutu Robót Ręcznych. Jej talenty zawodowe i artystyczne oraz ogromna życzliwość dla dzieci pozwoliły na urozmaicenie zajęć w ogniskach, a nawet – można to śmiało powiedzieć – na właściwe ustawienie tej pracy. Ciągła zabawa, śpiewy, gry, opowiadanie bajek – to program dość jałowy na dalszą metę. Bardzo łatwo można było wpaść w szablon i rutynę. Koleżanka Trojnarowska umiała stworzyć pracownię robót ręcznych z niczego. Dzieci przynosiły z domów stare kapelusze i z tego, pod kierunkiem przyuczonych wychowawczyń, szyły ładne, imitujące zamsz rękawiczki. Jaką wartość miało w tych czasach wykorzystywanie starych domowych łachów – trudno dzisiaj wytłumaczyć. Potem przyszła kolej na szycie misiów i innych zabawek, które można było potem sprzedawać na mieście. Wiosną weszła na warsztat produkcja obuwia letniego. Na spody używano podeszew wykrojonych z bieżników starych opon samochodowych, zaś wierzchy robiono z pasów parciany pokrowców masek gazowych. W takim „eleganckim” obuwiu siedł do swej Pierwszej Komunii Świętej nasz jedyny syn – Grześ. W szkole, także dzięki Helenie Trojnarowskiej, nauczyliśmy się szyc kapcie domowe, które następnie dobrze sprzedawały się na praskim Bazarze Różyckiego. Przez pewien czas był to dość intratny interes podreperujący budżety domowe „producentów”. Po pewnym czasie produkcja stanęła z zasadniczego powodu: braku materiału do produkcji. W niektórych ogniskach, na przykład przy ul. Boremlowskiej, na wiosnę rozpoczęliśmy z dziećmi uprawę działek, co dawało rodzinom niewielkie wprowadzie, ale zawsze, ilości warzyw, kartofli i kwiatów.

W lecie roku 1940 pracę naszą przejęła Rada Główna Opiekuńcza,

ustalono minimalne wynagrodzenia dla nauczycieli i wychowawców, ale cała robota była już zorganizowana. Poprosiłem w tej sytuacji panią Dargielową o zwolnienie mnie z pracy i możliwość zajęcia się pracą we własnej dzielnicy. Interesując się dalszymi losami działalności ognisk wychowawczych na Grochowie, dowiedziałem się, że do tej pracy włączyło się wielu nauczycieli z dzielnicy i praca rozkręciła się na dobre, była prowadzona lepiej i szerzej, niż na początku okupacji.

W dniu 10 listopada 1939 r. kierowniczką naszej szkoły, Stefania Usarkowa, nie przyszła do szkoły. Ponieważ była znana ze swego dyscyplinowania i nieomal zawsze była w szkole wcześniej, niż reszta zespołu, byliśmy tym faktem szczególnie zaniepokojeni. Wkrótce sprawa się wyjaśniła i przeraziła wszystkich. Około godziny 5.00 rano zjawiła się w mieszkaniu Usarków żandarmeria niemiecka, która po ustaleniu personaliów obecnych mieszkańców zabrała ze sobą dr. Usarka. Byliśmy jeszcze bardziej wstrząśnięci, kiedy po kilku godzinach okazało się, że był to tylko fragment szerokiej akcji policji niemieckiej, która tego dnia objęła dziesiątki nauczycieli, przeważnie kierowników szkół i dyrektorów gimnazjów warszawskich, a także znanych działaczy związkowych. W miarę napływania informacji stawało się jasne, że uderzenie okupanta miało na celu sparaliżowanie organizacji ewentualnych manifestacji z okazji święta narodowego w dniu 11 listopada. Aresztowania miały charakter akcji planowej – pozbawienia młodzieży i środowiska nauczycielskiego liderów. Dzień 11 listopada był zawsze świętem, w czasie którego przypominano rozbijanie na ulicach Warszawy i innych polskich miast przez młodzież, a nawet dzieci, zdemoralizowanych wojną i rewolucją żołnierzy niemieckich w 1918 r. Było oczywiste, że władze niemieckie miały już gotowe listy osób, podlegających „szczególnej trosce” okupanta. Zdaliśmy sobie sprawę, że praca hitlerowców poczyniła znaczne postępy w rozpracowywaniu polskiego społeczeństwa. Gdy późną wiosną rozmawiałem z dr. Usarkiem – wkrótce po jego wyjściu z Pawiaka, gdzie był przetrzymywany wraz z innymi – przyznał, że mieli świadomość, iż takie listy były gotowe. W śledztwie pokazano mu skompletowane informacje o nim. Nie przeszkadzało to także brać z ulic przypadkowych przechodniów. Otóż, kiedy wieziono Usarka i innych zatrzymanych wielkim, odkrytym wozem policyjnym, były w nim jeszcze dwa wolne miejsca. Samochód jechał wolno ulicami miasta i Usarek, znający bardzo dobrze język niemiecki, słyszał następujący dialog żandarmów:

– *Tego weźmiemy!*, – *Nie, ten wygląda jak robotnik*, – *Weźmiemy więc tego!*, – *Nie, ten źle ubrany, to nie może być inteligent*. Tak powoli mijało licznych przechodniów, którzy nawet nie mieli pojęcia, jak wielkie niebezpieczeństwo im grozi.

W pewnym momencie żandarmi niezwykle się ożywili: *O, ten to musi być polskim inteligentem!* Auto zatrzymano i do wnętrza wciągnięto siłą 70-letniego człowieka, który – zdumiony i przerażony napadem – bełkotał coś głośno. Istotnie, wedle okupanta musiał być typowym przywódcą inteligencji polskiej, bowiem ubrany był w melonik, białe szalik, kremowe rękawiczki i łaskę z kościaną rączką. Po kilku tygodniach Usarek spotkał owego „przywódcę polskiej inteligencji” w nowej celi, do której go przeniesiono. Starzec wciąż był zdumiony, dlaczego właśnie jego zamknięto. *Za kapelusz, rękawiczki i szalik* – informował go Usarek. *Ale przecież ja to wszystko kupiłem kilka lat przed wojną. To nie są rzeczy zakazane ani ukradzione!* „Przywódcą inteligencji polskiej” był, jak się okazało, organistą w jednym ze stołecznych kościołów i właśnie szedł do kościoła, a zabrano go w drodze do pracy. Było to dla nas wskazówką, że w tych czasach należy ubierać się w taki sposób, aby niknąć w tłumie przechodniów.

Dla Usarkowej i jej nieletniej córki nastały dni pełne troski, smutku i pracy. Po kilkunastu dniach większość aresztowanych nauczycieli, po sterroryzowaniu, wypuszczono na wolność. Dyrektor pozostał jednak w więzieniu. Po wielu dniach Usarkowa ustaliła miejsce pobytu męża. Zrobienie paczki było niezwykle trudne ze względu na powszechną biedę, a jej doręczenie więźniowi – to już wygrany los na loterii. Dzielna kobieta umiała jednak pokonać wiele przeszkód, aby nie pozostawiać męża bez widomego śladu pamięci o nim. Ta mała przesyłka dla więźnia gestapo to był znak, że rodzina i przyjaciele pamiętają, że działają w jego sprawie. Wzruszające było, kiedy z małą córką Krysią chodziły godzinami pod oknami więzienia przy ul. Dzikiej, by choć przez moment ujrzeć męża i ojca w oknie więzienia. Potem przeniesiono go na Pawiak, skąd wyszedł dopiero w pierwszej dekadzie kwietnia 1940 r.

Mimo tak ciężkich przeżyć, osłabienia i narastającej grozy, Usarek zabrał się z entuzjazmem i niezwykle energią do organizowania szkolnictwa średniego na terenie Pragi. Wkrótce uruchomił szkołę na szczeblu gimnazjalnym i licealnym, która miała być tajnym kontynuowaniem pracy Gimnazjum i Liceum im. Króla Władysława IV,

w gmachu Instytutu Weterynarii przy ul. Grochowskiej. Działała ona pod przykrywką kursu przygotowującego do szkół zawodowych. Na tych kursach rozpocząłem pracę jako wykładowca języka polskiego. Zdecydowała o tym wieloletnia przyjaźń z rodziną Usarków, ich pełne do mnie zaufanie oraz poczucie obowiązku. W tym samym budynku podobne kursy dla dziewcząt prowadziła pani Jadwiga Zanowa, dyrektorka praskiego Gimnazjum i Liceum im. Marii Skłodowskiej-Curie. W roku 1942 Instytut Weterynarii został zajęty przez Niemców, ponoć dla celów wojskowych, i nasze szkoły średnie rozpoczęły nowy okres swej okupacyjnej historii.

W trzeciej dekadzie listopada 1940 r. przyjechał do naszej szkoły Stadtschulrat Fuhr. Był w towarzystwie drugiego volksdeutscha, niejakiego Bouma, oraz nieznanego nam osobnika. Wpadli na chwilę do pokoju nauczycielskiego, spojrzeli na plan lekcji i pobiegli do klas. Ponieważ właśnie nauczałem, zdołałem usłyszeć huk biegnących i zobaczyć przez oszklone drzwi niemieckie mundury na schodach. Ostrzegłem dzieci: *Niemcy! Pochowajcie, jeśli z was ktoś ma, wszelkie zakazane książki!* Zrobił się ruch. Jedna z dziewcząt biegła z książką do historii w kierunku pieca. Zakazałem jej tego, bowiem palenisko pieca było naturalnym miejscem poszukiwania rzeczy do ukrycia. Nakazałem schować książkę po prostu pod sukienkę i uważać, aby stamtąd nie wypadła. Nakazałem ciszę i spokój w klasie.

Otworzyłem okno i wyrzuciłem na zewnątrz kredę. Potem, nakazując sobie spokój, poszedłem do pokoju nauczycielskiego po nowy kawałek kredy. Drzwi były szeroko otwarte, a wewnątrz nikogo. Otworzyłem szeroko szafę i drżącą ręką sięgnąłem po kawałek kredy. Obok na półce leżały egzemplarze „Steru”, niemieckiej gadzinowej szmiry, wydawanej w języku polskim dla ośmupiania polskich dzieci. Na naszych tajnych spotkaniach ustaliliśmy, że każda szkoła winna kupować po kilkanaście egzemplarzy tego pisma – „na pokaz”. Aby dzieci nie wydawały pieniędzy na niemieckie pisemko, kupowaliśmy je za pieniądze szkoły. W szafie mieliśmy 30, może 40 egzemplarzy. Wziąłem je, rozdzieliłem na równe części i szybko powróciłem do klasy. Dzieci siedziały jak zwykle, po troje w każdej ławce, i wkrótce wszystkie głowy dziecięce pochyliły się nad tekstem jakiejś idiotycznej czytanki. „Ster” był redagowany tak, aby jego tekst nie miał żadnej wymowy politycznej czy narodowej, ale był groźny, ponieważ ział nudą, napisany „bez ikry”, jak letnia woda, którą można

płukać usta, ale nie można jej pić, bo nie przechodzi przez gardło. Jak sądzimy, miał on zniechęcać dziecko polskie do czytania, od-uczać myślenia przez oferowanie papki bez smaku. Połowa naszego zapasu „Steru” wystarczyła dla zaopatrzenia jednej klasy, drugą częścią zajęła się inna koleżanka. Poleciłem dzieciom przeczytać po cichu pierwszą z brzegu czytanekę. Umówiliśmy się, aby podczas niewątpliwej inspekcji niemieckiej celowo źle czytały, źle liczyły, aby nie odpowiadały na żadne pytania z historii czy geografii i odpowiadały: *Nie wiem! Nie uczyli tego!* Znów poszedłem po kredę. Szybko chwyciłem jej następny kawałek i pchany ciekawością podbiegłem do drzwi IV klasy. Przez okienko zobaczyłem Niemców stojących obok tablicy. Fuhr trzymał w podniesionej dłoni jakąś książkę i poruszając nią wahadłowo, gardłowo wrzeszczał. Przed wojną pracował w szkolnictwie polskim jako wykładowca, bodaj języka niemieckiego, w jednej ze szkół średnich. Znał język polski i władał nim znakomicie, jednak wrzeszczał po niemiecku. Po nadejściu Niemców okazał się nazistą i wrogiem. Przed Fuhrem, bokiem, z twarzą odwróconą do uczniów, stała dr Maria Kaczyńska i odpowiadała głośno i odważnie. Cała rozpłomieniona, z twarzą pokrytą czerwonymi plamami, wyglądała jak natchniona sprawiedliwym gniewem. Dzieci siedziały niczym zajączki pod miedzą, obserwując z przerażeniem rozgrywającą się przed nimi scenę. Byłem pod ogromnym wrażeniem odwagi tej mądrej i dystyngowanej kobiety, która teraz umiała się przeciwstawić chamskiemu okupacyjnemu urzędasowi. Kaczyńska, kobieta świetnie wykształcona, znakomicie władająca niemieckim z akcentem wiedeńskim, odpowiadała mu równie głośno, a jej niemiecki brzmiał jak strzały z polskiej broni. Fuhr powoli uspakajał się, cichł, zapewne – co typowe dla Niemców – pod wpływem lepszego niż jego, głośnego języka niemieckiego.

Uciekłem do swej klasy pełen podziwu dla dr Kaczyńskiej i pełen o nią obaw. Było to przecież po brance polskich nauczycieli i jej skutkach. Dochodziły nas poza tym nieprawdopodobne wieści o masowych egzekucjach dokonywanych na ludziach wybranych z list, a przeprowadzanych na obrzeżach Warszawy – w lasku w Palmirach. Mówiono o znanych politykach, przedsiębiorcach, prawnikach, ba, nawet sportowcach.

Za kilka minut drzwi mojej klasy otworzyły się z trzaskiem i wszedł Fuhr. Wysoki, dobrze zbudowany, w butach z cholewami i w czapie

z hitlerowskim orłem zwanym „gapą”. Podniósł niedbałym ruchem prawą dłoń do góry, wrzasnął zwyczajowe *Heil Hitler!* i stanął nieruchomo przed tablicą w ciszy. Liczył na efekt przestraszenia swym wyglądem. Dzieci zbiły się i przytuliły do siebie, jakby uderzył w nie zły wiatr. Boum, w ubraniu cywilnym, natychmiast po wrzasku Fuhra powiedział głośno po polsku *Wstać!* Dzieci wstały. Fuhr zapytał po niemiecku, co robimy na lekcji. Po polsku odpowiedziałem mu, że uczę je czytać. Więcej żaden z nich o nic mnie nie pytał. Fuhr, były nauczyciel polskiej szkoły państwowej, mówił do polskich dzieci po niemiecku. Boum przekładał to na polski. Dzieci czytały bardzo źle, liczyły jeszcze gorzej. Na pytanie, kto jest obecnie prezydentem Polski, jeden z uczniów zapytał: *A co to jest prezydent?* Kazano wyłożyć na pulpity wszystkie książki. Wyłożono podręczniki do religii i matematyki. Przejrzano dokładnie dziecięce teczki, nie znajdując niczego zakazanego. Zjawił się trzeci „inspektor” o wrednej mordzie i myszkował w szafie nauczycielskiej, za szafą, otworzył drzwiczki pieca, a następnie przystawił krzesło i obejrzał górę pieca kaflowego. Otrząpał ręce z kurzu i rzekł głośno: *Nichts!*

Ile trwała ta wizytacja – nie wiem, ale wydawała się wiekiem całym. Fuhr ponownie wrzasnął *Heil Hitler!* Stukając buciorami, z hukiem zatrzasknęli za sobą drzwi. Już przy drzwiach Fuhr zlecił temu trzeciemu: *Zapisać – poziom dobry, podstawa do nauczania – „Ster”!*

Długo jeszcze siedzieliśmy cicho, gdyż poszli następnie na czwarte piętro, do Dargiela. Czas dłużył się i męczyła mnie świadomość, że innym kolegom mogło powieść się mniej szczęśliwie. Potem schodzili na dół długo, zatrzymując się przy każdym zakręcie schodów. Po kilku minutach usłyszeliśmy wreszcie ryk motoru odjeżdżającego auta. Wtedy dopiero poczuliśmy niehumanne zmęczenie. Sytuacja wyglądała groźnie. W klasie dr Kaczyńskiej znaleźli podręcznik do nauki języka polskiego, co doprowadziło Fuhra do szafy. W klasie kolegi Gawędy – trzy atlasy geograficzne. Na górze, u Dargiela, wyniuchali podręcznik do historii. Byliśmy pełni obaw o dalsze losy naszych kierowników i kolegów, w których klasie „nadludzie” znaleźli ślady nieprawomyślności. Pocięcha w tak groźnej chwili nie mógł być nawet odważny wykład o moralności nauczycielawychowawcy, zrobiony Fuhrowi przez dr Kaczyńską. Co więcej – to mogło mieć dla niej katastrofalne skutki.

Po południu zaszedł do nas podinspektor Paliński, w celu prze-myślenia sytuacji, jaka powstała po wizytacji Fuhra. Mały, bardzo

drobny pan, lat około 55, był porządnym Polakiem oraz pomocnym nam kolegą. Długo medytowaliśmy, jak wybrnąć z naszych kłopotów. Dzięki polskim pracownikom Schulamtu wiedzieliśmy dokładnie, co dzieje się w tym jaszczurczym gnieździe. Czasami ktoś z nich anonimowo zawiadamiał przez telefon mówiąc: *Jaś ma biegunkę, czy nie możecie w waszej aptece kupić dla niego tabletek węgla drzewnego?* Przekazywano nam w ten sposób wieść, że to Schulrat Jahnke prosił do wglądu dokumenty naszej szkoły. Jeżeli prosił o to samo Fuhr – biegunkę miał Franio. Nieomal zawsze następowała po tym kolejna wizytacja. Czasami były to alarmy fałszywe i Jahnke nie miał biegunki, ale co najmniej trzy razy owe głosy uchroniły nas przed niespodziewanym najazdem, co zawsze daje fory tropionemu.

Przez kilka dni żyliśmy jak na wulkanie. „Podejrzany”, a raczej „schwytany na gorącym uczynku”, poleciliśmy nocować poza domem. Powoli sprawa się wyjaśniła. Fuhr nie był w istocie zainteresowany w „zasypaniu” szkół jemu podlegających. Co więcej, w jego interesie leżało raczej zatuszowanie całej sprawy. Sprawę rozpoczął donos, że w naszej szkole uczy się z zakazanych podręczników. Donos z odpowiednią naganą wręczył Fuhrowi Stadthauptmann, wytykając mu nieznajomość terenu, który ma nadzorować. Polscy pracownicy Schulamtu dotarli do pójnspekcyjnego sprawozdania Fuhra, w którym nie było mowy o znalezionych podręcznikach do historii czy atlasach. Fuhr nie chciał zmienić posady i iść na front wojenny, więc sprawę wyraźnie zatuszował. Ale sam wyciągnął ze zdobytych przez siebie faktów wnioski. Wkrótce ukazało się jego rozporządzenie o konieczności oddania wszystkich odebranych od dzieci książek polskich, atlasów, o zdjęciu i przekazaniu władzom okupacyjnym wszelkich obrazów historycznych lub geograficznych, które w jakikolwiek sposób mogłyby służyć do nauki o Polsce i jej historii. Tak zabezpieczał się ten wypadek przeciwko posądzeniu go o brak gorliwości w wypełnianiu swych okupacyjno-policyjnych obowiązków. Były nauczyciel polskiej szkoły państwowej...

Podinspektor Paliński, bardzo przejęty całą awanturą, przybiegł pewnego dnia z wiadomością, że dla zmylenia tkwiącej w szkole okupacyjnej wtyczki, należałoby odsunąć panią Usarkową od kierowania szkołą. W koncepcję „wtyczki” nie wierzyliśmy, sądząc raczej, że w obecnych warunkach powodem donosu mogła być chociażby zasłużona dwójka postawiona jednemu z „ambitnych” uczniów.

I za czasów pokoju, obok ludzi mądrych, lojalnych i prawych, były i będą wyrzutki – szuje, kłamcy, donosiciele, ot – jak dla przykładu – taki Fuhr. Zdecydowano, że Usarkowa złoży podanie o bezterminowy urlop, że zejdzie im z oczu. Pamiętano, że rodzinę Usarków gestapo musi mieć „we wdzięcznej pamięci”. Zaczęły się debaty, czyją kandydaturę wysunąć na jej miejsce. Usarkowa i grono kolegów zaproponowali moją osobę. Byłem zresztą, obok „skompromitowanego” Adama Gawędy, jedynym mężczyzną pracującym w zespole. Protestowałem gorąco i szczerze przeciw tej propozycji, ponieważ nie jest przyjemne, ani uczciwe, zajmowanie miejsca kierowniczką – patriotki, usuwanej za sprawy, które dla nas były sprawami nadrzędnymi. Wprowadzenie przez władze zaborcze na stanowisko kierownicze nie jest dla Polaka awansem. Usarkowa prowadziła szkołę eksperymentalną, szkołę wzorcową – ja, jako jej uczeń w rzemiośle nauczycielskim, nie miałem przekonania, że zdołam ją zastąpić z powodzeniem. Byłem poza tym młodzikiem, który ledwie osiągnął 30 rok życia, i czułem się w narzuconej mi roli źle, tym bardziej, że w naszej szkole eksperymentalnej pracowali starsi stażem nauczyciele, którzy dla mnie – czeladnika – mogliby być mistrzami wychowania i nauczania.

Argumentem, jaki mnie przekonał do wyrażenia zgody było to, że należało się liczyć z przesłaniem nam – wobec mojej odmowy – kogoś nieznanego, niepewnego w tych czasach, a tego bali się wszyscy. Tą przymusową decyzją „awansu” byłem niezwykle przygnębiony i, aby nie kłamać, po prostu bałem się ogromnego balastu, ciężaru odpowiedzialności, pod którym można załamać się w czasie normalnym, a co dopiero mówić o dniach grozy, nędzy, braku wszystkiego, toczącej się wokół śmiertelnej walki o przeżycie. Paliński był jednak zadowolony, bo to pozwoliło mu, jego zdaniem w sposób optymalny, rozwiązać problem. Po kilku dniach, w trzeciej dekadzie roku 1940, otrzymałem przywieziony do szkoły i osobiście wręczony mi przez Palińskiego dokument, w którym stwierdzano: *Powierza się Panu, aż do odwołania, kierownictwo w zastępstwie urlopowanej kierowniczkii Stefanii Usarkowej.*

Usarkowa zniknęła ze szkoły, chociaż nigdy nie przestała interesować się jej losami, a swymi radami i przestrogami kierowała faktycznie nią nadal. Jej to właśnie i moim współpracownikom – zespołowi pedagogicznemu szkoły – zawdzięczam możliwość pracy na nowym stanowisku, przy utrzymywaniu możliwie wysokiego poziomu nauczania.

W pracującej obok nas szkole numer 130, na miejsce kolegi Dargiela przyszedł – z tych samych powodów – kolega Raczyński. Po tych zmianach życie popłynęło znów wartkim, chociaż jeszcze bardziej ukrytym nurtem. Przykłady zamordowanych w katowniach nauczycieli, wyrwanych ze szkoły za patriotyzm i sprawy wychowawcze – Mamczara, Jastrzębskiego czy Wyczańskiego – robiły swoje. Trzeba było, zachowując jeszcze większą ostrożność, robić dalej to, do czego nas obligowało powołanie pedagogiczne i wierność sprawie polskiej. Musieliśmy robić swoje w ekstremalnie trudnych warunkach.

Zaczęliśmy od dokładnej analizy środowiska naszych uczniów. Powoli ustaliliśmy kolejność zdarzeń związanych z wizytacją Fuhra. Uderzające było to, że wprost od drzwi wejściowych poszli do klasy IV, że w czasie czytania listy uczniów zatrzymali się przy nazwisku dziewczynki, w której teczce przy rewizji znaleźli książkę do nauczania języka polskiego. O książkę tę prosiła w naszej bibliotece właśnie ona, nowa uczennica – Urszula Kosella. Zajęliśmy się więc Kosellami – kto zacz? Ojciec był z zawodu tramwajarzem. Żył w konkubinacie z panią o nazwisku Kosella. W książce meldunkowej wyczytaliśmy, że w końcu lat 20. przywędrowali tu z Zagłębia Dąbrowskiego. Te dane nie pozwalały jednak na wysuwanie uzasadnionych podejrzeń. Trzeba było ustalić fakty. Zapowiedzieliśmy więc dzieciom, że będziemy chodzić po domach w sprawie ich dożywiania. Przez kilka dni pomijaliśmy Kosellów, ciągle zapowiadając, że będziemy na ich ulicy i w ich mieszkaniu. W domu Kosellów odbyliśmy rozmowę o chlebie, zupach, o oddaniu – zgodnie z rozporządzeniem – książek polskich. Cały czas spokojnie, ostrożnie i lojalnie. Nasi interlokutorzy nie wytrzymali nerwowo. Po kilku dniach Kosella przestała przychodzić do szkoły. Napisałem bardzo ostrożnie sformułowaną notatkę z prośbą o powód nieobecności dziecka w szkole. Woźny szkolny osobiście doręczył tę notatkę matce, ale ta nie chciała pokwitować odbioru. Postanowiliśmy pozostawić sprawę swemu biegowi i obserwować rodzinę Kosellów. Tu chodziło już nie tylko o szkołę, ale także o drogie nam środowisko tramwajarskie. Wkrótce też uprzedzeni sąsiedzi donieśli nam, że każdego ranka dziewczynka wyjeżdża z teczką do śródmieścia. Poprosiłem jednego z moich dawnych uczniów, w pełni zaufanego studenta, aby bardzo dyskretnie ustalił do jakiej szkoły nasza Urszulka chodzi. Po trzech dniach chłopak poinformował mnie, że każdego z tych trzech dni, o godzinie 8.00

rano, Kosellówna wchodzi do niemieckiej szkoły pracującej przy ulicy Myśliwieckiej, że była w niej tyle a tyle godzin, że słyszał, jak po wyjściu ze szkoły rozmawia z koleżankami po niemiecku, a rozstaje się z nimi na placu Trzech Krzyży. O naszych ustaleniach poinformowaliśmy zaufanych ludzi ze środowiska tramwajarskiego, ponieważ należało liczyć się z tym, że ojciec dziecka (czy też jej ojczym) jest agentem „podrzuconym” przez wywiad niemiecki w czasach przedwojennych, dla głębokiego wejścia w środowisko. Należało spodziewać się gorszych w skutkach prowokacji Koselli w zakładzie pracy. Trzeba też było zrobić wszystko, aby wokół rodziny Kosellów wytworzyć pustkę. Baliśmy się ich dalszej działalności i dlatego wspólnie z zespołem szkoły nr 130 ustaliliśmy sposoby zabezpieczenia się od wglądu tej rodziny w życie naszych szkół. Sprawa małej Koselli była też dla nas doskonałą lekcją tego, jak wielkie szkody może przynieść nam działalność zbyt późno wykrytych małych agentów niemieckich – uczniów. Na szczęście nigdy więcej nie zdarzyło się to nam w tej patriotycznej, robotniczej dzielnicy.

Któregoś dnia niespodziewanie natknąłem się jednak na małego gada na ul. Żąbkowskiej, przy aptece magistra Bielego. Spojrzała na mnie oczami bazyliuszka i w prowokacyjny sposób krzyknęła na drugie dziewczątko, idące obok niej: *Elza, Elza! Komm mit! Immer schneller!* Nie sądziłem, że jestem w stanie tak gorąco znienawidzić małą dziewczynkę. Cóż ci Niemcy hitlerowscy z nami zrobili, ileż złych skłonności wyzwolili?

Na szczęście w środku zimy 1940/1941 Kosellowie przenieśli się do dzielnicy niemieckiej i szczęśliwie nigdy już o nich nie słyszeliśmy.

Objawy nienawiści do okupanta wzrastały nie tylko we mnie. To się widziało i odczuwało powszechnie, nie tylko w Warszawie. Nie było w Polsce klasy społecznej, grupy zawodowej, która nie byłaby przez nich niszczona. Mówi się często, że my – Polacy – jesteśmy nacjonalistami. To jest smutna i gorzka prawda. Ale któż nas tego nauczył, kto nas zatruł? Nacjonalizm, w sensie szowinizm, jest to jad, który żre nie tylko serce, ale przede wszystkim mózg. To jest rak, który przerasta wszystkie inne uczucia i odruchy ludzkie i w końcu uniemożliwia poprawne myślenie. My ciągle zwalczamy objawy, a to jest walka bezpłodna, bowiem skuteczniej jest zapobiegać pożarowi, niż go gasić. Byliśmy tak upokarzani, że to skrzywienie psychiki najlepiej mówi, jaki był stopień naszej narodowej nędzy. Mówi się

niekiedy, że to właśnie szkoła jest jednym z rozsadników nacjonalizmu. Tak, ale trzeba pamiętać, że szkoła nie jest emanacją spraw zachodzących na Jowiszu, czy na Wenus. Szkoła nie jest nawet realizacją teorii genialnego wychowawcy – szkoła jest zawsze taką, jakie jest aktualnie istniejące, a więc myślące, pracujące, walczące, marzące o przyszłości i do czegoś dążące społeczeństwo. Chodzi o rzecz zasadniczą, żeby szkoła była czułym selektorem najlepszych dążeń i marzeń społeczeństwa, żeby biegła za najlepszymi i najsłabszymi umysłami reprezentującymi elitę kulturalną narodu, żeby była lepszym piastunem całego dorobku narodowego. Nie wolno było i nie wolno jest dopuścić, aby szkoła polska żyła tym, co już jest skazane na zagładę, a co istnieje w naszym życiu – prawem inercji, co ma moc wygodnych przyzwyczajień. Czy w tych czasach mordów i totalnego bezprawia mieliśmy w imię tak zwanych „wyższych zasad moralności” nakłaniać do tego, aby „kochać okupanta jak siebie samego”? Czy to byłoby ominięciem raf wychowania nacjonalistycznego? Jak życie codzienne kształci masę, a jak szkoła, w porównaniu z potęgą faktów, z wielkim ciśnieniem otaczającego świata. W tych warunkach szkoła jest instytucją mniej sprawną dydaktycznie, a świadczy o tym zdarzenie, które było dla mnie, zadufanego w potęgę szkoły, bolesną lekcją.

W dniu 11 września 1940 r., około godziny 7.30 rano, ktoś do nas gwałtownie zapukał. Otworzyłem drzwi. Wbiegła blada i skrajnie przerażona sąsiadka. *Proszę państwa, co się wyprawia! Niemcy obstawili całą dzielnicę! Wyciągają z domów wszystkich mężczyzn! Pędzą ich boso, często tylko w gatkach na plac!* – krzyczała kobieta.

Chłód mnie przeszedł. Żona zaczęła płakać i bezradnie kraść po pokoju. Dziecko, sześciolatek Grześ, nie rozumiało, o co chodzi. Jeśli był zdenerwowany, to przerażeniem matki. Siedział z nią w piwnicy w czasie bombardowań we wrześniu 1939 r. i wiedział, co to znaczy strach. Nie byłem w stanie wyobrazić sobie, jak można z całej dzielnicy wybrać wszystkich mężczyzn. Na ulicy Nieporęckiej było kompletnie pusto. Zacząłem się denerwować. Część naszych mężczyzn uciekła z okolicznych domów na dachy, niektórzy szukali schowka w piwnicach. Ktoś wszedł do śmietnika. Tramwaje nie kursowały i nagle przyszło mi na myśl, że w szkole teraz nikogo nie ma, że dzieci będą wystraszone. Ale to był jedynie pretekst, gdyż dla mnie nie było i nie ma nic gorszego, niż oczekiwanie na los. Nie chciałem

zresztą, aby mnie zabierali z domu. W domu jestem najsłabszy psychicznie, bo czekałoby tu ewentualne rozstanie z żoną i dzieckiem. Wziąłem teczkę, Ausweis i tknięty jakąś zbawienną myślą nałożyłem na czubek nosa okulary, których wówczas nie nosilem. Wyszedłem z domu, pośród płaczu żony i dziecka.

Ulica Nieporęcka była martwa. Świeżo spadłe liście chrzęściły pod nogami jak szkło. Kryjące się w bramach kobiety ostrzegały, abym nie szedł dalej. Czułem, że ręce mi wilgotnieją i zimny pot spływa po plecach. Po prostu bałem się. Były to jednak pierwsze moje okupacyjne doświadczenia z łapanką przeprowadzoną publicznie, na zasadzie łapania ludzi, jak psy przez hycła. Stąd Warszawa później nazywała powszechnie Hitlera „Hyclerem”. Na samym rogu Nieporęckiej i Ząbkowskiej, pod barem Sołki, stał wysoki, przystojny esesman. W ręku trzymał pistolet. Patrzył na mnie przenikliwie i zimno. Wszystko wydało mi się znane z literatury: twarz uosabiająca szatana. Delikatna dłoń o długich palcach pianisty wyciągnęła się do mnie: esesman zapraszał mnie niemy gestem do siebie. Wszystko to trwało dość krótko, ale śniło mi się potem przez lata. Nawet w obozie niemieckim. – *Ausweis!* Szybko wyciągnąłem dowód osobisty. Zimny, spokojny głos: *Ausweis – Nummer der durch nebenstehendes Lichtbild... Geboren in Warschau... Wohnung... Ist an der polnischen öffentlichen Volksschule beschäftigt...* Czytał głośno, jakby delektował się swoim głosem i moją nicością w tej sytuacji. Jakoś bardzo miękko wymówił słowo „Lichtbild”. A potem nagle po polsku, bez akcentu: *W jakim pułku służyłeś? – W żadnym. – Jak to, nauczyciel i nie służył w wojsku?* Bez słowa pokazałem palcem na okulary ściągnięte na czubek nosa. *No, to jesteśmy prawie kolegami, bo ja jestem wykładowcą w szkole handlowej!* Była to dla mnie ostatnia z sytuacji, w której można prowadzić towarzyskie rozmówki. Nie miałem pojęcia, co może strzelić mu do głowy. Wiedziałem już, ale za późno, że wygłupiłem się opuszczając dom. Na ul. Ząbkowskiej, wzdłuż krawężników, wyraźnie grupowano wyłapanych mężczyzn. *Dlaczegoś wyszedł?* – pytał dalej piękną, nienaganną polszczyzną. *Widzi pan, dzieci w szkole na mnie czekają! Tramwaje nie chodzą, nauczycieli nie będzie, to łby sobie pourywają! Zresztą pracuję uczciwie, nic złego nie zrobiłem, to czegoż miałbym się bać?* Zaczął śmiać się głośno. Istotnie, z perspektywy późniejszych doświadczeń okupacyjnej warszawskiej ulicy, zachowałem się jak dureń. *Oto jeden odważny Polak*

i to niezdolny do służby w wojsku. Stoję to już pół godziny i żaden nawet głowy nie wystawił, a ten jeden głupek mnie się nie boi. Masz! – z ukłonem oddał mi Ausweis – A teraz idź środkiem jezdni! Ausweis trzymaj wysoko, nie reaguj na żadne wezwania! Idź prosto przed siebie i pewnym krokiem! Nic ci nie grozi... Chyba, żeby cię zastrzelili... A za moją duszę czasem zmów z dziećmi pacierze! Po tych słowach odwrócił się ode mnie.

Poszedłem w kierunku Otwockiej zgodnie z jego radą. Na wprost ul. Tarchomińskiej dwóch tajniaków kiwało na mnie palcami, ale trzymałem się zasady i z dokumentem uniesionym ponad głową szedłem mocnym krokiem dalej. Na ul. Radzywińskiej do wielkich wozów okrytych plandekami ładowano zatrzymanych mężczyzn. W tych grupach przeważali ludzie młodzi, nieledwie chłopcy. Na Kaweczyńskiej obstawa ulic była coraz rzadsza, ale żaden z Niemców nie zwracał na mnie uwagi. W bramach stały gromady kobiet z dziećmi. Nie płakały, ale zaciśniętymi pięściami wygrażały żandarmom. Jedna z wielu podniosła dziecko do góry i z nienawiścią krzyczała: *Patrz, patrz, ojca ci zabrali! Żebyś im tego nigdy w życiu nie zapomniał!*

Analizując moje szczęście i dramat wielu rodzin uświadomiłem sobie, że to, co ci ludzie przeżyli, dokonało więcej w edukacji obywatelskiej, narodowej, niż polska szkoła zdołałaby nauczyć przez lata. Od tego dnia w naszej dzielnicy nie było już ludzi obojętnych i ciepłych w stosunku do Niemca.

Dotarłem do szkoły cały mokry i bezsilny. Byłem podobno trupio błądy. Usiadłem na krześle i czułem ból każdego mięśnia. Dzieci były tak podniecone i tak podobne do kobiet widzianych w bramach, że trzeba się było nimi, mimo całego wyczerpania psychicznego i fizycznego, zająć. Od tej pory nie brałem do ręki książki żadnego niemieckiego autora.

W grudniu spotkałem listonosza. *Panie! – pokazywał plik urzędowych druków – Dzisiaj znów ponad sto zawiadomień o śmierci w Oświęcimiu. To ci z wrześniewej łapanki. Jak ci bandyci to robią, że tyle ludzi dotąd zdrowych, do roboty ciężkiej zdolnych, tak szybko umiera?* Zgrzytnął zębami i poszedł w dalszą swą drogę, kopiąc kamienie spod nóg.

Coraz więcej mieliśmy w szkole sierot. Trzeba było pomóc rodzinom, samotnym kobietom, których liczba narastała. Szkoła podejmowała zadania, do których w istocie nie była przygotowana, ale przecież

nie zostawiało się matek i dzieci samych z ich rozpaczą. Chodziliśmy do domów, rozmawialiśmy o naszych chłopcach, którzy nigdy już do nas nie wrócą, a których tak bardzo kochaliśmy. Byli naszą wspólną troską ci, o których dzisiaj mówimy z taką dumą.

Rozmowa ślepego z głuchym

Od grudnia 1940 r. liczba niemieckich zarządzeń narastała. A więc m.in. nakaz oddania map i atlasów. Map wynieśliśmy z Otwockiej ponad pięćdziesiąt, w tym jedna ogromna, o wymiarach 5x6 metrów, która przedtem wisiała na korytarzu szkolnym. Adam malował ją i „uplastyczniał” przez ponad dwa lata, a teraz musieliśmy – rozłożoną na części – schować w rupieciarni siostr albertynek.

Wiele map oddaliśmy do przechowania rodzicom naszych uczniów. W tych właśnie mieszkaniach zorganizowaliśmy komplety nauki historii oraz geografii Polski i świata. Naturalnie, że nie było to ani łatwe, ani bezpieczne i przysparzało dość wiele kłopotów.

Raz kupiliśmy za wódkę od byłego woźnego szkolnego, volksdeutscha Franza Schunerta, partie map zwiezionych z innych okradzionych szkół. Mapy te schowaliśmy w szopie stojącej na podwórku. Pewnego dnia zauważyłem, że jacyś chłopcy usunęli deskę skrytki i zaczęli wyciągać wałki zwiniętych map. Otworzyłem okno z trzeciego piętra i gromkim głosem zacząłem ich karcić. Nagle ktoś dość energicznie zaczął mnie odciągać od okna. To był kolega Adam Gawęda. *Panie – powiedział – co pan wyprawia?! Niech pan nie zwraca uwagi szkopów na nasze skrytki, szkopów, którzy są oddaleni od nas o trzy-sta metrów. Przy tym postępuje pan niekonsekwentnie! Najpierw rozpalamy w naszych dzieciach żar miłości do podróży, do zwiedzania świata w czasie normalnym, który nadejść musi, a potem chce pan młodzież tych map pozbawiać. Przecież powinniśmy się cieszyć z zapachu do wiedzy wykazywanego przez tych małych opryszków!* Być może miał rację, ale tego do końca pewny nie byłem. Jak więc można było wykonać rozkaz Niemców i oddać im pomoce naukowe mające takie powodzenie. Medytowałem, naradzałem się z kolegami i wreszcie wymyśliliśmy pisemko do Schulamtu, w którym z głupia frant napisaliśmy, że szkoła nasza została zajęta na potrzeby wojska niemieckiego i nie mamy jakichkolwiek możliwości sprawdzenia, co z majątku

szkolnego w niej pozostało. Uprzejmie prosimy zatem władze szkolne o umożliwienie nam wejścia na teren zajęty, dla posłusznego wykonania polecenia władz.

W ten sam sposób „załatwiałem” kolejne nakazy oddawania portretów, sztandaru, dokumentów, książek itd. Nie było to wcale takie beztrudne, bo rzeczy różnych nagromadziło się w rozmaitych schowkach tak dużo, że bałem się całkiem niemęsko. Odwagi dodawała tylko wzrastająca świadomość, że w czasach obecnych mogę zginać przypadkiem, za nic, wzięty wprost z ulicy, którą idę do pracy. Jak wtedy. A więc – raz kozie śmierć.

W gruncie rzeczy Niemcy byli głupi. Zupełnie nie znali psychiki człowieka. Karali śmiercią za wysadzenie pociągu z wojskiem, ale także za pieczenie pszennych bułeczek, czy sprzedaż pięciu papierosów. Ludzie w tej sytuacji zobojętnieli, zdając się na los. Co więcej, represje pchały wręcz do ryzyka, do przeciwstawienia się wszystkiemu, co miało stempel niemiecki. Trzeba było jedynie ufać we własne szczęście.

Już po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej wpadł do szkoły Jahnke. Szukał „czarnej kasy” – podobno wiedział, że zbieramy składki na podziemie. Byłem boleśnie dotknięty jego podejrzeniami. Okazałem kwity wystawione przez jakiegoś hydraulika za koszty naprawy klozetów, które musieliśmy – wobec braku finansowania szkoły – opłacać ze składek rodzicielskich. Zaprowadziłem go do ubikacji, dokładnie wyjaśniając działanie spłuczki klozetowej. Przeciągnąłem czas swych objaśnień i nadwyreżyłem jego cierpliwość, ale poszedł do innych szkół uradowany fatalnymi warunkami sanitarnymi szkoły i moją głupotą. Stwierdziłem wtedy, że minąłem się z powołaniem, bowiem Jaracz, w tym czasie więzien Oświęcimia, zapewne nie zagrałby lepiej tak małego i skrzywdzonego podejrzeniem człowieka, jak ja to zrobiłem.

Z tak zwaną „czarną kasą” było tak. Ani grosza ze składek rodziców nigdy nie zabraliśmy dla nauczycieli. Na to byłem „pies” i to mieli mi za złe, także dzisiaj, niektórzy wychowawcy. W sytuacji ekonomicznej środowiska w latach 1939-1941 grosz wzięty od dziecka, nie dla dziecka przeznaczony, byłby odcięciem się od środowiska, na rzecz którego pracowaliśmy. Byłaby to utrata moralnej podstawy, która dawała nam siłę, szacunek, a nawet miłość rodziców i dzieci. Jednak pieniądze trzeba było zbierać. Nie było węgla, wiele dzieci sierot

chodziło boso, mdlało z głodu. Zbieraliśmy więc pieniądze w sumach deklarowanych na zasadzie: każdy daje, ile może. Co parę dni wychowawcy wpłacali je do kasy szkoły, za pokwitowaniem. Księgowaliśmy nasze dochody z dokładnością, co do grosza. W wykazach były to sumy śmiesznie małe. W rozchodach umieszczaliśmy fikcyjne, małe wydatki. Rachunki prowadziło pięć osób i każdy miesiąc paraflowany był umówionymi znakami, stawianymi przez wybraną, zaufaną komisję. Szkoła była celowo niedofinansowana przez najeżdżęc. Nie mogliśmy legalnie dokumentować działalności charytatywnej, jak kupno odzieży dla sierot czy dożywianie zagłodzonych dzieci, bowiem było to zagrożone karą. Najwięcej kłopotów sprawiał nam brak węgla na ogrzewanie gmachu szkoły w okresie jesieni, zimy i wiosny. Klimat u nas nie jest typu śródziemnomorskiego. Postawiliśmy w klasach żelazne, niewielkie piecyki. Resztę „dochuchały” dzieci. Jednak było zimno i mimo odbywania lekcji prowadzonych w okryciach wierzchnich, było wiele przypadków bronchitu. Chorowali też nauczyciele. I ja mój bronchit, paradoksalnie, wyleczyłem dopiero pracując zimą 1944/1945 na robotach przymusowych przy wyrębie lasów w Turynii.

Kawałki węgla, które dzieci przynosiły chętnie, ale skąpo, były przysłowiową kroplą w morzu istotnych potrzeb. Śląsk był odcięty od wnętrza kraju kordonem granicznym, a poza wszystkim okupant prowadził celową, znakomicie zorganizowaną przez fachowców akcję systematycznego wyniszczania ludności okupowanej Polski. Serce się krajało, kiedy w szkole rozlegał się we wszystkich klasach ciągły kaszel zabiedzonych, niedożywionych dzieci. Frekwencja, mimo wszystkich trudności, była duża, gdyż w szkole było zwykle cieplej i ciekawiej niż w domu. Nasz niezastąpiony woźny, pan Franciszek Pecek, wszedł w konszachty z kolejarzami wynoszącymi węgiel z magazynów i składów kolejowych. Proceder obrabiania pociągów z węglem stał się zjawiskiem powszechnym i źródłem zarobków dla wielu rodzin. Szmulki leżą pomiędzy torami kolejowymi wychodzącymi z dwóch dużych warszawskich dworców: Wileńskiego i Wschodniego. Trzeba było być jednak silnym i bardzo odważnym, jak to mawiali prascy rodacy: „mieć charakter w nogach”, bowiem niemiecka straż kolejowa pilnowała dokładnie, a w nocy strzelała w kierunku byle szelestu i zapalonej zapalki czy papierosa. Pewnej nocy syn naszej dozorczyni, Wacek, został w takiej akcji postrzelony i z raną płuca leczony był

w domu, bowiem oddanie go do szpitala było równoznaczne z obozem koncentracyjnym.

Uczyliśmy od 7.30 do godziny policyjnej. Pecek kochał dzieci. Był człowiekiem niezwykle szlachetności i oddanym młodzieży bez reszty. Niezwykle pracowity, zawsze cichy i spokojny. Pewnego dnia wybraliśmy się razem do Pruszkowa – po węgiel właśnie. Zakupu dokonaliśmy od kolejarzy dzięki różnym kombinacjom. Wykorzystując życzliwość i zrozumienie znajomych ludzi, mogliśmy drobne ilości węgla gromadzić w ich komórkach, a następnie zebrać większą jego partię. Nazbierała się w końcu pełna furka. Jeden z ojców zdobył przewóz wozem konnym za darmo i we trzech pojechaliśmy po to czarne złoto. Pełni szczęścia, dreptaliśmy za wozem zmierzającym ku Warszawie. Koło Włoch, które ostrożnie omijaliśmy, zaszło nam drogę dwóch policjantów z tzw. policji granatowej. Przyczepili się tak bardzo, że dopiero wtedy w pełni zrozumiałem dlaczego nazywano ich „glinami”. Nic nie pomagały pieczętki dokumentujące, że węgiel jest dla szkoły, ani dokument z zajezdni tramwajowej, że to węgiel dla dzieci robotników i „Drucianki”. Zaczęliśmy ich brać, bezskutecznie zresztą, na patriotyzm, na poczucie obywatelskie. Rozmowa nie prowadziła do niczego, ponieważ z pyska jechało im „bimbrem”, a chciwe oczy zachodziły mgłą. Oto trafiła im się gratka na łapówkę. Oświadczyli nam, że mają w dupie polską szkołę i polskie dzieci. Jechaliśmy więc na posterunek. Po drodze Pecek dał im sto złotych i namówił mnie, abyśmy dali jeszcze worek węgla. Wzięli, podziękowali – nagle uprzejmi – i pozostawili nas na drodze. Ot, takie ludzkie szmaty, kontrastujące z patriotycznym ogółem. Mimo że miałem w szkole dzieci dwóch granatowych policjantów, którzy byli znani jako ludzie porządni, zniechęciłem tę formację. Wieczorem byliśmy na Michałowie. Węgiel złożyliśmy do piwnicy szkolnej tuż przed godziną policyjną.

Pieniądze składkowe wydawaliśmy więc na nielegalne zakupy węgla, na kartofle, które po utarciu dodawaliśmy do rzadkich zup dostarczanych dla dzieci przez Radę Główną Opiekuńczą. Zasluga koleżanek – nauczycielek było to, że kosztem czasu na odetchnięcie od pracy pedagogicznej pilnowały kuchni. Chodziło o to, aby wszystkie produkty dostarczane szkole dostawały się do zupy, jakże mało wartościowej bez dodanych przez nas ziemniaków i warzyw. W kuchni rejonu RGO całkowicie opanowaliśmy kocioł przeznaczony dla dzieci szkoły nr 126 i to też była praca nauczycieli, równie wtedy ważna

jak nauczanie. Warunki uległy znacznej poprawie, kiedy dotarliśmy do pani Fortuńskiej, prowadzącej piekarnię przy ul. Siedleckiej. Fortuńska bardzo życzliwie odniosła się do naszych próśb i sprzedawała po cenie kontyngentowej (a więc niższej niż na rynku) chleb, który dodawaliśmy do zup. Z biegiem czasu dawała nam też po pół bochenka chleba dziennie dla każdego nauczyciela. Grześ, nasz jedyny syn, wracając ze szkoły niósł każdego dnia do domu pół bochenka chleba, który nieomal w całości zjadał sam. Ale nie żył już w ostrym głodzie. Piszę o tym dlatego, że Fortuńska przekraczała i tu prawo okupacyjnej rzeczywistości. Jej życzliwość i szczodrość ratowała nas wtedy od ostrego głodu, a dzieci od picia wodnistej zupki. Dzisiaj młody czytelnik uśmiechnie się z niedowierzaniem: *Głód – panie – co to takiego?*

Najbardziej bolesną sprawą, zaprzatającą serca i umysły, był ciężki los sierot. Duży procent naszych uczniów był na opiece rodzin: ciotek, wujków, dziadków. I tak na przykład: siostry bliźniaczki – ojciec, lotnik – w Anglii, ale babcia jeszcze krzepka, nieuboga, przed wojną wysprzedająca domowe skarby, aby zdobyć żywność dla wnuczek. Jeszcze trudniej było w domach, w których matka z nędzarskich zarobków musiała zaspokoić ostry głód swych dzieci oraz wysłać trochę słoniny i wianka czosnku do męża osadzonego w obozach koncentracyjnych, więzieniach lub oflagach.

I tu ogromna zasługa naszych koleżanek: Ireny Wielkiej, Zofii Sukniewicz, Wiktorii Czyżyńskiej, sekretarki pani Jadwigi Gajewicz, które odwiedzały domy rodzinne uczniów, organizowały dodatkową opiekę, akcje drugich śniadań, obiadów.

Słyszałem ze zdumieniem i z niesmakiem wypowiedź pewnego mędrca, ostro krytykującego filantropię czasów okupacji. Nie wiem, gdzie był wówczas i co robił, ale na pewno nie był skazany przez lata na wodnistą zupkę, jako jedyną potrawę dnia. Osobiście brzydzę się nieuczciwością, ale w czasie wojny, aby moi uczniowie nie pomarli z głodu, gotów byłem kraść. Nie wstydzilibym się tego. I wtedy, i teraz – z perspektywy czasu. Wszelkie teorie milkną, kiedy się spojrzy w oczy wygłodzonego człowieka, a cóż mówić o głodnym dziecku. Szersza akcja społeczna była sparaliżowana kompletnie, ponieważ pod karą śmierci wszelkie organizowanie się Polaków było przez okupanta zakazane. Ja laziłem po ogrodnikach, furmanach, piekarzach, sklepiarzach, lekarzach, aby namówić ich do współpracy, do dzielenia się

tym, czym mogą się dzielić z polską szkołą. Szkołą, która wbrew wszystkiemu trwa. Piszę o tym ze wstydem, ale taka to była rzeczywistość, w której tkwiło się bez reszty, którą można przeskoczyć jedynie w teorii. Stąd płynął do tych prostych, biednych ludzi głęboki szacunek, który odczuwaliśmy każdego nieomal dnia. Nasza wspólna siła brała się z głębokiej, nieustającej wiary w zwycięstwo nad barbarzyństwem, z solidarności, będącej wynikiem poczucia zagrożenia Polaków, jako całej grupy narodowej. Ileż bohaterstwa i ile poświęcenia ukrytego było w podarunku obarczonej trójką dzieci kobiety, która przyniosła kilogram wędzonego boczku, z prośbą o wręczenie tego daru bezimiennie, od szkoły, sąsiadce dla jej męża więzionego na Majdanku. Bała się, że ta biedna, głodna, ale dumna kobieta nie przyjmie od niej bezpośrednio daru, znając jej własne położenie materialne. Nędzarz ratował nędzarza.

My, nauczyciele, bardzo często spotykaliśmy się z taką cichą, bohaterską postawą polskich niewiast. Dzięki nim szkoła mogła w jakimś stopniu łagodzić los dzieci więźniów obozów koncentracyjnych czy jenieckich. Trudno mówić o pracy szkoły polskiej w czasach okupacji i nie zwrócić uwagi na tę właśnie działalność. Niewątpliwie należy przyznać rację tym, którzy twierdzą, że najsilniejszą linią oporu przeciw germańskim barbarzyńcom były polskie kobiety i polskie dzieci. Kolejny raz w naszej historii zresztą.

Wracając do omówienia moich kontaktów z administracją niemiecką, wypada mi powiedzieć kilka słów o temat korespondencji szkoły z Schulamtem warszawskim. Pisma nadsyłane od Fuhra były pisane wyłącznie po niemiecku. Odpowiedzi stylizowaliśmy po polsku, a na odwrocie zamieszczaliśmy przekład niemiecki. Dbaliśmy o to, aby tekst pisany po polsku był opracowany jak najstaranniej pod względem językowym, zaś tekst niemiecki był pisany niedbale, ledwie czytelny, z licznymi błędami językowymi. A mieliśmy w gronie pedagogicznym kolegów, którzy kończyli pruskie lub austriackie szkoły średnie. Był to śmieszny, może dziecinny, ale protest – przeciwko nienawistnemu systemowi. Pewnego dnia wezwał mnie Boum i powiedział, że z taką niemczyzną daleko nie zajadę, że muszę wziąć się za naukę języka, który każdy kierownik szkoły musi znać w stopniu zadawalającym władze. Miałem jednak nadzieję, że wcześniej, niż dojadę do perfekcji w niemieckim, wysiadę na przystanku niepodległość. Zasada naszą w opracowywaniu tych odpowiedzi było stosowanie

uników lub kłamstwa. Nie można było nie kłamać. W klasach VI i VII około 50% uczniów zapisanych na liście były to tak zwane „martwe dusze”. Wynikało to z konieczności wpisywania na listę dziewczynek, które uczyły się na tajnych kompletach podziemnego gimnazjum Curie-Skłodowskiej. Jak mogliśmy postąpić, kiedy dyrektorka gimnazjum, pani Jadwiga Zanowa, pełna była troski, czy jej 5-6 uczennic, które nie mają legitymacji szkolnych, nie zostanie wezwanych do Arbeitsamtu i wysłanych do pracy w Rzeszy, u Bauera niemieckiego. Dziewczęta z II i III klasy tego gimnazjum wpisywaliśmy na listę naszych uczennic klas VI i VII. Przychodziły do danej klasy w naszej szkole jeden raz w miesiącu, aby inne dzieci były z nimi zapoznane. Otrzymywały nasze legitymacje szkolne. Kiedy grasowali w szkole Jahnke lub Boum – po prostu „pożyczało się” dzieci z innych szkół. Jak można nasze ówczesne postępowanie nazwać inaczej niż kłamstwem? Czyniliśmy tak w przypadku otrzymania rozkazu sporządzenia listy dzieci piętnastoletnich. Były też liczne przypadki dostarczania nam przez rodziców fałszywych metryk z nieprawdziwymi datami urodzenia albo też ja sam obniżałem w dokumentacji szkolnej wiek dziecka. Jako starsze wykazywaliśmy jedynie dzieci ułomne, gdyż one nie nadawały się do pracy niewolniczej. Podobnie działaliśmy, kiedy nakazano sporządzić wykazy dzieci wyznania ewangelickiego czy prawosławnego. Grupę pierwszą molestowano w sprawie podpisania tzw. Volkslisty, zaś drugich, po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, nachodzono jako potencjalnych szpiegów. Wyjątkiem były dzieci rodziców przynależnych do legalnie działających w tych latach w Warszawie stowarzyszeń tzw. „białych Rosjan”. Bywało, że Niemcy przysyłali do wypełnienia szczególnie skomplikowane arkusze statystyczne, gdzie „wszystko trzeba było zestawić ze wszystkim”. Ani jedna liczba w tej statystyce nie była zgodna z prawdą, a naczelną myślą, która kierowała tymi oszustwami, był nakaz wewnętrzny chronienia dzieci lub nas, nauczycieli. Nawet wymiary klas podawałem mniejsze niż były w rzeczywistości, gdyż mogłem podejrzewać, że Niemcy i te marne lokale chcą wykorzystać w innych, niż szkoła, celach. Uznawaliśmy za niezbędne mylenie Niemców, utrudnianie im rozeznania terenu i ludzi. Robiła to zresztą większość szkół, które znałem. O tych „oszustwach” piszę dla prawdy historycznej, nie zaś dla pochwalenia siebie i swoich współpracowników. Przedstawiam jedynie atmosferę, w jakiej nam przyszło pracować zawodowo w tych latach.

W pogoni za pięknem

W sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się w latach 1939-1944, trudno było prowadzić szkołę na poziomie szkoły eksperymentalnej, a więc wzorcowej, wypracowującej nowe metody pracy z uczniami. Mówimy tu o trudzie kontynuowania pracy na poziomie i w duchu przedwojennym, bowiem eksperymentów w swej pracy w okupowanej Warszawie mieliśmy zbyt wiele. Niestety – w złym tego słowa znaczeniu. W nowych okolicznościach wiele metod okazało jednak swoją przydatność, na przykład metoda ośrodków zainteresowania. Nie można, nie sposób było tej pracy pogłębić, ani szukać lepszych sposobów realizacji celów dydaktycznych i wychowawczych. Walczyliśmy o utrzymanie poziomu nauczania, ale najbardziej pasjonowała nas sprawa wychowania moralnego. Okupacja i jej rzeczywistość czyniła na tym polu straszliwe spustoszenia. Dzieci poddane były działaniu tak straszliwych faktów, że troska o wychowanie, zawsze obecna w świadomości nauczyciela, musiała ustąpić przed obawami o kondycję fizyczną, o zdrowie dziecka, na rzecz ocalenia jego moralności i równowagi psychicznej. Mieliśmy do czynienia z totalną wojną walki ze złem i jej skutkami.

Przerażał mnie, jako członka społeczeństwa, widok kilkuno-stoletniej młodzieży jadącej w dorożce, pijanej, podnoszącej butelki z wódką do góry w triumfalnym geście: *Zabawmy się, nawet jeśli to będzie raz ostatni!* A tuż obok, na murze, na czerwonych płachtach ogłoszeń – nazwiska ich rówieśników, skazanych na śmierć przez publiczne rozstrzelanie. Dwa kompletnie różne światy, dwie przeciwstawne sobie postawy, a przecież jedni i drudzy należeli do tego samego społeczeństwa. Dla nas – wychowawców – los zarówno jednych, jak i drugich, był sprawą niezmiernie bolesną. Bohaterska śmierć szlachetnych i moralna nędza żyjących, oderwanych od normalnego społeczeństwa młodocianych mętów. Na postawie których z nich należy się naszym uczniom wzorować? Oto jest pytanie.

A problem antysemicki – czyż nie budził najgłębszych obaw o duszę młodego pokolenia? Zadawaliśmy sobie pytanie: ile jadu rasistowskiego przesaczy się do młodych dusz i umysłów: z afiszów, gazet, audycji nadawanych przez hitlerowskie „szczekaczki”? Bezkarnie opluwano i mordowano ten lud żyjący pośród nas od setek lat, niszczone na oczach dzieci, na oczach miasta, ba – na oczach świata. Dlaczego żadne z mocarstw nie reagowało, nie zajmowało stanowiska,

nie wysuwało gróźb kary dla katów po zakończeniu wojny? Ważnym sprzymierzeńcem naszych zabiegów wychowawczych w tym względzie był kościół, a nade wszystko zespół księży pedagogów ze zgromadzenia salezjanów, prowadzących u nas naukę religii. Wymienię tu z największym szacunkiem nazwiska księży: Blezienia i Głaba, którzy głośno i bez ogródek zwracali uwagę dzieciom na to, że mordowanie Żydów, traktowanie ich jako „nie-ludzi”, jest grzechem przeciwko zasadom naszej wiary, że ochrona Żydów jest obowiązkiem miłosierdzia, nierozłącznie związanego z chrześcijaństwem, które przez ratowanie bliźniego wielbi Boga i zaskarbia sobie Jego łaskę. Że są oni częścią społeczeństwa wolnej Polski i że zajmowanie się tak zwanym szmalcownictwem, czyli tropieniem i szantażowaniem ukrywających się, jest występkiem przeciwko prawu boskiemu i ludzkiemu. Ponieważ uczniowie skarżyli się, że ksiądz Blezień zabrania im grać w piłkę pod boczną ścianą bazyliki na Kawęczynskiej, a co gorsza tłumaczy im, że zakaz jest wywołany faktem wybiecia piłką szyby (co nigdy nie miało miejsca), wybrałem się pewnego dnia do księdza na rozmowę. *Panie Władysławie – usłyszałem – a cóż ja mam robić, skoro w podziemiach kościoła ukrywamy kilkadziesiąt żydowskich dzieci? Ci żydowscy chłopcy wychodzą z siebie, widząc przez małe okienka grających i wrzeszczących z emocji równolatków. Wychodzą na powietrze tylko nocami. Chcę im zaoszczędzić kolejnych emocji, nawet jeśli są one pozytywne! Czy zdaje Pan sobie sprawę, przez co te dzieci przeszły w swym krótkim życiu? Nie mogę ich chwilowo przerzucić do klasztoru żeńskiego na prowincji, gdzie mają mieć docelowe schronienie. Takie biedne dzieci, Bogu ducha winne!*

I natychmiast, z udaną złością – krzykiem za wybiecie szyb, których nikt nie wybił – wymyślał futbolistom, usiłującym wbrew zakazom wrócić na swoje boisko.

Walkę z antysemityzmem wiązaliśmy ściśle z patriotyzmem. Ustaliliśmy, że będziemy pokazywać dzieciom obrazy z przeszłości, w której Polska udzielała azylu Żydom prześladowanym w wielu krajach europejskich, że tacy wielcy Polacy jak Kościuszko, Mickiewicz, powstańcy roku 1863 okazywali szacunek Żydom jako ludziom i obywatelom naszego kraju. Że w czasie słynnej antycarskiej manifestacji, w której padło pięciu poległych patriotów, po zabiciu Polaka niosącego krzyż, krzyż ten został podjęty i wzniesiony wysoko przez warszawskiego Żyda. Wniosek nasuwa się sam: kto się wyłamuje z naszej

tradycji tolerancji, nie jest patriotą, nie jest Polakiem. Nasza dzielnica zwana była Michałowem lub Szmulowizną (Szmulkami). Szeroko więc głosiliśmy historię bogatego Żyda Szmula Zbytkowera, który w czasie rzezi Pragi, dokonanej podczas powstania kościuszkowskiego przez wojska carskiego marszałka Suworowa, płacił srebrem za głowy Polaków idących na śmierć.

Jesienią roku 1942 zostałem zaprzysiężonym żołnierzem Armii Krajowej. Przysięgę składałem w mieszkaniu przy ul. Stalowej. O tej porze roku mrok zapada wcześniej i kilku mężczyzn, o „szarej godzinie”, zostało na hasło wpuszczonych do lokalu konspiracyjnego. Razem ze mną składał przysięgę nasz woźny, pan Franciszek Pecek, człowiek o kryształowym charakterze, jak się mawiało – „człowiek z zasadami”. Za dowódcą powtarzaliśmy: *W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny, Królowej Korony Polskiej, przysięgam być wierny Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej. Stać na straży jej honoru, o wyzwolenie z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary mego życia. Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej, Naczelnemu Wodzowi i wyznaczonemu przezeń Dowódcy Armii Krajowej będę bezwzględnie posłuszny, a tajemnicy niezłomnie dochowam, cokolwiek by mnie spotkać miało. Tak mi dopomóż Bóg!*

Dotychczasowa praca była już pewną formą walki z okupantem i nadal miała się do tego sprowadzać, jednak chodziło o nadanie działaniom organizacyjnych form i żołnierskiej dyscypliny. Przyjąłem pseudonim konspiracyjny „Tolek”, ponieważ moja żona, Antonina, powszechnie zwana była Tolą. Powołano Tajną Organizację Nauczycielską (TON), która kontynuować miała tradycje przedwojennego Związku Nauczycielstwa Polskiego (ZNP). Na wiosnę roku 1942, uznając wagę szkolnictwa czasu wojny i położenia nauczycieli, Państwo Podziemne zaczęło nam wypłacać dość regularnie wynagrodzenia. Nie było to wiele, ale po pierwsze – naszym rodzinom umożliwiało przetrwanie ostrego głodu, po drugie zaś dawało sygnał, że zostały stworzone wyraźne ramy organizacyjne naszej działalności, ze swego rodzaju kierownictwem centralnym. Dawało to sygnał, że państwo polskie działa. To wszystko nie zmieniało naszych podstawowych zadań dnia codziennego.

Nasi uczniowie spotykali się w czasie okupacji z faktami okrucieństw tak straszliwych, że ślady ich pozostały w psychice całego pokolenia, które można nazwać pokoleniem dzieci wojny. Do tego

pokolenia należy niewątpliwie mój syn Grzegorz. Byliśmy bezsilni i zupełnie bezradni wobec szybkiego dojrzewania dzieci, które rzeczywistość obdzierała z ufności do świata i ludzi. Życie codzienne brutalizowało wyobraźnię dzieci, pokazywało im szczyty poświęcenia i bohaterstwa, ale i dno ludzkiego upadku. Stawaliśmy, wstrząśnięci do głębi, kiedy docierały do nas wieści, że Niemcy „ściągają” dla swych rannych żołnierzy krew z ludzi idących na egzekucję lub kiedy dzieci opowiadały realistycznie sceny z metod wyniszczania Żydów. Innym razem, wstrząśnięte, przeżywały z całą społecznością polską dramat dzieci Zamojszczyzny – umierających w bydłowych wagonach kolejowych w czasie transportu, w środku mroźnej zimy, bez posiłku i wody. Jakże czule były dla tych maluchów, które napłynęły do naszej dzielnicy, wykupione z rąk niemieckich katów. Pośrednikami w tym nieludzkim handlu byli polscy kolejarze, którzy Bahnschutzom płacili wódką lub pieniędzmi. Wódka za polskie dziecko! Czy to nie jest najcięższe z oskarżeń pod adresem narodu niemieckiego? Przecież to wszystko było wykonywane rękami ojców jakiegoś niemieckiego małego Hansa lub małej Brygidy, przeciętnych ludzi, którzy jednak mieli się za „nadmudzi”. Nasze biedne rodziny były się o możliwość przyjęcia do swego grona przybranej córki czy syna. Kobiety wędrowały dziesiątki kilometrów, aby kupić worek kartofli lub kawałek mięsa, obarczone troską o wyżywienie własnych dzieci oraz zdobyciem produktów do paczki dla uwięzionego męża, ale były się z całą determinacją o zagrożone okrutną śmiercią polskie dziecko, jak o własne. Jeszcze dzisiaj, po wielu latach, wspominam naszych uczniów – owe małe dziewczynki z mysimi ogonkami warkoczyków, owych niesfornych, wciąż rozkrzyczanych chłopaków, ciągle zjeżdżających po stromych poręczach – jak czule i troskliwie prowadzili za rączkę zastraszone, małe, wiejskie Kasie, Marysie czy Bartków, dla których nowe środowisko miejskie stwarzało wiele nowych sytuacji życiowych. I to wyrwanie ich z ogniska domowego, świadomość, że może już nigdy nie zobaczą swych bliskich... Nigdy już potem nie widziałem takiego odzewu ludzkich serc, jak ten, który wywołała gehenna dzieci Zamojszczyzny w tamtą ponurą zimę roku 1943. W naszych uczniach odkrywaliśmy wtedy najpiękniejszą cechę naszego narodu: miłość i miłosierdzie, okazywane pokrzywdzonemu człowiekowi. Później, za lat kilkadziesiąt, to właśnie oni oddawali krew Budapesztowi. Czyż można nie bać się o zdrowie psychiczne dzieci 8-12 letnich, które – jak nasze

w latach 1943-1944 – przybiegały do szkoły prosto z miejsca publicznej egzekucji przy ul. Radzywińskiej, przynosząc jako relikwie chusteczki nasiąknięte krwią rozstrzelanych? Stałem wstrząśnięty makabryczną pamiątką, jaką przyniósł mi pewnego dnia jeden z chłopców z klasy VI. Był to ząb zamordowanego w przeprowadzonej nieopodal publicznej egzekucji. Co ma z tym zrobić? Może to jedyny, smutny ślad po wuju, który był na listach przeznaczonych do „rozwałki”. Nakazałem uczniowi porozumieć się z księdzem katechetą i u niego zasięgnąć rady.

Postanowiliśmy, my wychowawcy, że położymy większy nacisk w wychowaniu na czytanie i nauczanie poezji. Cóż mogliśmy więcej przeciwstawić brutalnej rzeczywistości, odzierającej dzieci z ufności do uroków świata, niż poezja? Czytaliśmy więc Konopnicką, Asnyka, Lenartowicza, Słowackiego, Mickiewicza. Jakże chętnie uczyły się dzieciaki w mojej siódmej klasie wiersza *Rozłączenie* Słowackiego. To oddawało najlepiej stan ich własnych uczuć w momencie rozłąki z ojcem, bratem, kuzynem. Znikały trudności leksykalne, ponieważ atmosfera wiersza była serdeczna, bliska, droga każdemu sercu. Obejmowała umysł i wszelkie tęsknoty za dalekimi i najbliższymi jednocześnie. Koleżanki zdobywały obrazy ukazujące sceny z życia rodzinnego, piękno natury: wschody i zachody słońca, barwne krajobrazy słonecznych dni złotej polskiej jesieni i tchnących smutkiem zawianych śniegiem pól i lasów. Ponieważ u kolegi Piotrowskiego odkryliśmy ukrywane przez niego próby malarskie, namówiliśmy go, aby w swojej pracy z dziećmi położyl większy nacisk na rysunek. Próby te były tak udane, dzieciaki tak zapaliły się do tej twórczości, że wkrótce całe ściany ponurego gmachu szkolnego zapełniły się plamami barwnych, cieszących oczy malunków. Poszczególne klasy zaczęły konkurować ze sobą. Udało nam się także namówić do pracy u nas koleżankę Janinę Taraszkiewiczową, zwolnioną w 1939 r. przez Niemców. Zorganizowała chór szkolny i dzięki jej staraniom nasze dzieci zaczęły śpiewać. Koleżanka Taraszkiewiczowa przy dźwiękach patefonu zaczęła też prowadzić umuzykalnienie dzieci i zbliżać je do postaci wielkich muzyków polskich, jak Chopin, Moniuszko, Wieniawski czy Paderewski. A był to czas, kiedy za grę lub słuchanie Chopina, można było zostać skazanym na śmierć.

W toku tego nieustannego eksperymentowania wpadliśmy na pomysł urządzenia teatru. Myśl tę podsunęło nam życie. Byliśmy odcięci od kina, teatru, od wszelkich legalnych rozrywek kulturalnych.

Wiadomym było, że „tylko świny siedzą w kinie!” bowiem dochody z kina szły na rzecz Niemców, zaś program filmowy był haniebnym. Doszliśmy do wniosku, że aczkolwiek przygotowanie przedstawienia szkolnego nie będzie łatwe ani tanie, to trzeba je koniecznie urządzić. Po namietnych dyskusjach zdecydowaliśmy się przygotować teatr kukielek. Koleżanka Trojnarska z chłopcami z klas VI i VII zbudowała z drzewa i dykty szopkę, na wzór szopek konstruowanych przez murarzy krakowskich. Czegóż to na froncie tej szopki nie było: cała jaskrawa, bajecznie kolorowa wystawa polskich motywów ludowych – piejoków i lełuj, parzenic i pawich oczek. Mimo tego ludowego baroku, całość była niesłychanie przyjemna i przyciągająca wzrok. Ojcowie, elektrycy zajezdni tramwajowej na Kawęczynskiej, założyli w szopce instalacje oświetleniowe z opornikiem oraz urządzenia do przesuwania dekoracji. Było to chytne urządzenie, pozwalające przesuwac na rolkach dekoracje szybko: w lewo i prawo, z góry i do dołu. Stwarzało to złudzenia, że bohater płynie po rzece lub unosi się w powietrzu. Rama sceny miała wymiary 2x1,5 m, tak więc było to przedsięwzięcie całkiem okazałe. Pani Trojnarska opracowała też kostiumy i zrobiła z dziećmi lalki. Niektóre z nich, jak na warunki szkolne tego czasu, były prawdziwymi dziełami sztuki. Zwierzaki: misie, lisy, wilki, barany, wykonano z resztek futer. Dzięki wyraźnie zaznaczonym szczegółom charakterystycznym dla danego gatunku (czerwony jęzor, zielone ślepie, ruda kita) stwarzano złudzenie, że są to nieomal żywe stworzenia.

Koleżanka Irena Wilska, nauczycielka klas młodszych, znana na naszym terenie specjalistka teatru dziecięcego i redaktorka przedwojennego „Płomyczka”, zajęła się opracowywaniem tekstów i przygotowaniem głosów dziecięcych. Z charakteru teatru kukielkowego wynikał jego repertuar, na który złożyły się inscenizacje takich bajek jak: *Czerwony Kapturek*, *Jaś i Małgosia*, *O sierotce Marysi i krasnoludkach*. Później, w miarę dorastania aktorów i mechaników dziecięcych, zjawiał się Andersen. Prawdziwą sensacją było jednak *W pustyni i w puszczy*. Powodzenie było oszałamiające, przedstawianie musieliśmy powtarzać, także dla rodziców. Pozbawione wszelkiej rozrywki dzieciaki szalały. Co więcej, wieść o przedstawieniach poszła w okolicy. Na każdy spektakl ściągaly z dzielnicy takie tłumy dzieci, że przed wejściem do szkoły na wąskiej Kawęczynskiej powstawało zbiegowisko. Pojawiła się uzasadniona obawa, że zwróci to uwagę Niemców

oraz ich szpicli i spowoduje dochodzenie i represje. Trzeba więc było organizować widownię w porozumieniu z kierownictwem innych szkół. Sprzedawaliśmy tylko tyle biletów, ile można było pomieścić widzów w jadalni przekształconej w salę teatralną. Zakazywaliśmy rozgłaszania daty, godziny i tytułu przedstawienia. Sztuki opracowywane przez koleżankę Irenę Wilską miały duży wpływ nie tylko na publiczność dziecięcą, ale także (może nawet większy) na dziecięcych aktorów. Powodzenie podniecało zapal wykonawców, doskonaliły się głosy, dykcja, interpretacja. Zręczność manipulujących kukiełkami zadziwiała nawet dorosłych. Pieniądze zebrane za bilety przekazywaliśmy na paczki dla więźniów i na pomoc dla dzieci dotkniętych wojną w sposób szczególny, a więc przede wszystkim sierot.

Zajęte pracą w teatrze dzieci „normalniały”, widziały cel pracy, szlachetny utylitaryzm, podniecała je żywa reakcja widzów. Znajdowały ogromną przyjemność wyśpiewania się, wykrzyczenia, wyżycia. Roboty i rysunek, szycie i lepienie kukiełek, malowanie dekoracji stało się przyjemnym, pociągającym zajęciem. Odcigało w pewnym stopniu od ponurych spraw ulicy, kierowało do lektur, do pierwszych poszukiwań literackich. Niosło to za sobą pewne niebezpieczeństwa. Rozpaleni miłośnicy teatru kukiełkowego ściągali z domów ostatki futrzanych posagów matczynych. Jakieś muflki, kołpaczki, kołnierze z lisa, futra fok – to wszystko było cięte na kukiełki. Ileż dzieci zawdzięcza tym młodym aktorom i ich wychowawcom swoje pierwsze wzruszenia artystyczne, przeżywane w te ponure dni okupacji. Ileż słów podzięki należy się koleżankom: Wilskiej i Trojnar-skiej za oddanie swego talentu, sił, czasu i serca uczniom Michałowa, który w ciężkich czasach prześladowania każdego śladu kultury narodowej, budzi w nich miłośników sztuki, czy nawet twórców.

Nauczyciel to taki człowiek, którego nie zniechęca niepowodzenie, ale który też nie przestaje działać, kiedy szczęście się do niego uśmiech-nie. Powodzenie naszych artystów scenicznych podsunęło nam trudną do realizacji myśl urządzenia koncertu dla rodziców. Nie było to jednak sprawą łatwą. Nastroiiliśmy jedno z wyciągniętych z ul. Otwockiej pia-nin. Najsilniejsze nasze marzenia nie były jednak zdolne do poruszenia klawiszy i strun w lśniącym i pełnym obietnic pudle. Dziś już nie pa-miętam, jakimi drogami, ale zapewne dzięki artystycznym kontaktom kolegów Stanisława Dobranieckiego i Eugenii Kłopkówny, zawiado-miono nas, że możemy oczekiwać wykonawców w dniu „xy”.

Zaprosiliśmy na ten koncert nauczycieli z okolicznych szkół oraz grono wybranych rodziców. Otworzyliśmy drzwi szkoły od frontu, czyli od ul. Kawęczyńskiej, drugie zaś, do których dochodziło się poprzez ogród pana Adamca – od strony podwórza. Z nim byliśmy zaprzyjaźnieni od lat, bowiem jego dzieci były uczniami szkoły na Otwockiej. Podzieliliśmy słuchaczy na grupy i poinstruowaliśmy, którymi drzwiami mają wejść do gmachu, aby nie wzbudzać podejrzeń oddległego o 200 m batalionu żandarmerii niemieckiej. Pianino przeciągnęliśmy do sali od ul. Kawęczyńskiej, aby wyciszyć odgłosy muzyki w stronę ulicy Otwockiej. Okna zasłoniliśmy kocami, zamykając je szczelnie w całym gmachu. Ludzi zebrало się tylu, że nie mieścili się w ławkach – wianuszkami zajęli parapety okien. Czekaliśmy na nabożeństwo muzyki.

Kierownikiem zespołu artystów grających na instrumentach smyczkowych był pan Kazimierz Wilkomirski. On też wygłosił krótką prelekcję. Pilnowałem klatki schodowej, a pan Pecek, nasz drogi woźny – drzwi na dole. Co chwila podbiegałem do szyby w drzwiach sali, aby mieć wgląd w to, co dzieje się w środku i widziałem wpatrzone w Wilkomirskiego oczy, rozpromienione twarze, nerwowo zaciśnięte ręce słuchaczy.

A potem nastąpił cud: płynęły tony pięknej muzyki w znakomitym wykonaniu. Kwartet smyczkowy brzmiał jak protest. Zbiegłem na dół, do Pecka. Tu muzykę było słyszeć mniej głośno, ale nie traciło się z koncertu ani jednej nuty. Na szczęście ulicą jeździły tramwaje, terkotały wózki i te ciągle szmery ulicy głuszyły tony. Czuliśmy się szczęśliwi. Pecek klepał mnie po ramieniu i ze wzruszeniem szeptał: *Udało się, panie kierowniku, udało się!* Obaj mieliśmy łzy w oczach. Istotnie – udało się. Tym razem.

Koncert zakończył się pomyślnie. Ktoś z naszych odniósł później wiolonczelę do tramwaju linii 25, mającego ostatni swój przystanek nieopodal, koło bazyliki. Artyści ze skrzypcami i altówką poszli do pętli tramwajowej na ulicę Radzywińska. Stałem na dole i puszczałem ludzi parami – jedną w lewo, na Kawęczyńską, drugą w prawo – przez ogród Adamca. Publiczność pełna wrażeń rozchodziła się do domów. Po pół godzinie wygasilem wszystkie światła i poszedłem do domu.

Takich koncertów odbyło się kilka. Nigdy później, mimo że kochocham muzykę, nie robiła ona na mnie tak wstrząsającego wrażenia, jak w czasie tych właśnie koncertów.

Po aresztowaniach w „Druciance”, gdzie wzięto z Wójcikiem podobno ponad 40 osób, a następnie po aresztowaniach w zajezdni tramwajowej, bałem się gromadzić w jednym miejscu tylu ludzi. Przecież niejednen z aresztowanych bywał słuchaczem tych wydarzeń artystycznych i nie takie prawdy wyciskano z ludzi w katowniach przy al. Szucha. Mimo nalegań, nie zdecydowałem się na kuszenie losu. Życie i zdrowie ludzi, którzy mi ufali, było zbyt mocno wystawione na śmiertelne niebezpieczeństwo, abym miał odwagę powtarzania tego ryzyka. Lecz, mimo wszystko, do dzisiaj żałuję tego zaniechania. A nuż udałoby się...

Podziemny nurt

Nauczanie oparte na zasadzie tajnych kompletów rozpoczęliśmy już w roku 1940. Chęć włączenia się do tej formy kształcenia nie była początkowo tak powszechna. Składało się na to wiele czynników, m.in. przeświadczenie rodziców, że wojna potrwa tylko kilka miesięcy, że alianci zachodni, a zwłaszcza Francja sprzymierzona z Anglią, rozbiją Wehrmacht, więc nie warto kłopotać się o naukę dziecka. Ponadto kompletne załamanie dotychczasowych warunków życia zmuszało do koncentrowania się na walce o przetrwanie, a nie na kształceniu potomków. Nieznajomość metod pracy w szkole konspiracyjnej powodowała konieczność szukania nowych dróg, które w pedagogice nigdy nie są ani łatwe, ani szybko przychodzące. Nie można też zapomnieć o strachu przed konsekwencjami łamania zakazów okupanta w zakresie kształcenia dzieci i młodzieży. Pierwsze kilkanaście miesięcy po wrześniu 1939 r. był to trudny okres takich poszukiwań, natykając się na ciągle opory, poruszanie się po omacku. Czasami to macanie kończyło się rozbiciem własnego nosa, a wcale często – nawet śmiercią.

Nabieraliśmy ostrożności, uczyliśmy się przewidywania, odgadywania zamiarów wroga, szybkości w zacieraniu śladów. Trudno było przełamać przyzwyczajenia, ustalone normy życia i pracy. Praca w szkole po wrześniu 1939 r. to przede wszystkim praca w kompletach prowadzonych w domach prywatnych. To wymagało ogromnej ruchliwości nauczycieli prowadzących zajęcia w wielu miejscach, o różnej porze i w różnych punktach dzielnicy. Każdy z nas musiał

działać niezwykle odważnie, na zasadzie pełnej autonomii i szybkiego dochodzenia do wniosków, które pozwalały nieustannie doskonalić pracę. Tu, w każdej chwili, decydować musiał każdy z nas, nie zaś kierownik szkoły. Praca w tajnym nauczaniu wymagała krańcowo różnego stosunku do życia szkolnego, tak odmiennego od tego, do czego byliśmy przyzwyczajeni przed wojną. Powoli przez próby i błędy, zażarte kłótnie i troskliwe wzajemne przestrogi oraz rady, każdy z nas zdobywał własne miejsce w tej szczególnej pedagogice. Ci, którzy bali się lub czekali na regulamin, znaczyli tyle samo, co stojak do zawieszania map. Nawet przysłowiowe „drewno na opa!” było cenniejsze, bo mogło dać ciepło. Na szczęście takich nauczycieli było niewielu. Urządzali się przy tym dość nieźle, zwłaszcza po wojnie, jako „bohaterowie tajnych szkół”, przy głośnych okrzykach podziwu gawiedzi. Kto nie znał tych spryciarzy i kanciarzy, mógł nie zdawać sobie sprawy, że niezły handlowiec czy administrator mógł być złym nauczycielem czasu wojny. Obserwując środowisko już po wojnie, widziałem jak mnożyły się u nas zastępy „kombatantów” – jak legionistów przed wojną.

Stosunek do oświaty i tajnych kompletów zmienił się całkowicie po rozpoczęciu wojny niemiecko-sowieckiej w roku 1941. Już we wrześniu tegoż roku liczba proszących o tajne nauczanie gwałtownie wzrosła. Wręcz żądano, aby kształcić ich dzieci, bo *szko-py teraz na pewno dostaną w kuchni!* Świadomość, że wojna będzie trwała jednak dłużej, że trzeba przystosować dzieci do nowych warunków i nowych wyzwań, powodowała napływ uczniów na komplety.

We wrześniu 1941 r. zdecydowaliśmy oboje z żoną posłać do szkoły naszego synka – Grzesia. Chłopiec miał dopiero lat 6, ale jego rozwój intelektualny w pełni nas do tego kroku uprawniał. Poza tym rzeczywistość okupacyjna kazała nam brać pod uwagę, że któreś z nas, może nawet oboje, końca wojny nie doczekamy. A więc każdy rok edukacji był dla Grzesia cenną zdobyczą, posunięciem w kierunku „normalności”. Wychowawczynią jego klasy była znakomita nauczycielka, pani Irena Wilska. Posadziła go pierwszego dnia obok wysokiego, niezwykle szczuplutkiego chłopca o smutnej twarzy. Pierwszy ich dialog brzmiał następująco:

Grzegorz: – *Ja jestem Janczewski!*

Stefan: – *A ja jestem Turek!*

Grzegorz: – *A ja jestem Polak!*

To był jego pierwszy przyjaciel, syn robotniczej rodziny. Ojciec, ciężko chory na gruźlicę, zmarł bodaj w roku 1943, zaś mama, drobna, cicha kobieta zarabiała na życie krawiectwem.

W naszej dzielnicy, Michałowie, znanym raczej jako Szmulki, w związku z ogromnym tranzytowym ruchem transportowym na warszawskim węźle kolejowym, nagle pojawiły się dobra wszelakie. Koszule wojskowe, także gacie i buty, sukno, sery holenderskie, włoski makaron i oliwa, sardynki portugalskie, a nawet greckie... żółwie. Wszystko kradzione z niemieckich transportów wojskowych przechodzących przez Warszawę. Tu interesy polskich kolejarzy ząbowały się z interesami niemieckich Bahnschutzów (straży kolejowej) i szeregu urzędników Rzeszy. Kto żył – ten handlował. Wszystkim! Obok handlu, drugim kierunkiem działań gospodarczych Pragi był żywiolowy rozwój rzemiosła i drobnych fabryczek, przerabiających wszystko, co można było wyprowadzić z wagonów kolejowych. Ludzie tak „zżyli się” z Niemcami, tak ich skorumpowali, że interesy szły wielu ludziom znacznie lepiej, niż przed wojną. Niemcy w walce z warszawskim „lewym” handlem okazali się bezradni. Działo się tak między innymi dlatego, że przeciętny Hans lub Jürgen sam brał w łapę, aby wysłać żonę do Rzeszy pakę żarcia lub futro.

Nastąpiła reakcja łańcuchowa: tramwajarze wydzierżawili sobie miejskie tramwaje i inkasowali pieniądze do własnej kieszeni, wożąc warszawiaków po mieście po cenach zaniżonych. Konduktor wołał głośno: Kto nie chce płacić?! I nadstawiał torbę na datki oferowane na zasadzie „ile kto może”. Kolejarze, ponieważ wynoszenie węgla z parowozowni było ryzykowne, wyjeżdżali na tzw. „żeberko” pod Płudy lub pod Olszynkę Grochowską, wyrzucali węgiel w polu i sprzedawali go na pniu. Pracownicy młyna sprzedawali mąkę za buty lub materiały na ubrania. Rozkładało to jeszcze bardziej okupacyjną gospodarkę niemiecką, ale odsuwało widmo głodowej śmierci. Było to widowisko o dwóch obliczach: wesołym – „nie dajemy się”, i smutnym – „demoralizujemy się”. Jednak takie jest życie. Piśzę o tym wszystkim dlatego, że mimo wszystkich zastrzeżeń był to czynnik, który wpłynął na wzrost liczby kompletów tajnego nauczania. Za nauczanie w kompletach zaczęto wręcz płacić kradzionymi dobrami. Niekiedy musieliśmy też nauczycielom płacić w „żywym towarze”.

W naszym mieszkaniu przy ulicy Nieporęckiej kilka razy w tygodniu prowadziliśmy z żoną regularne komplety, nauczając

przede wszystkim języka polskiego i historii. Grześ, dzięki stałej obecności, znakomicie – jak na swój wiek – opanował oba te przedmioty. Uznając, że dla wychowania dziecka ważne są także przekazy ustne, dotyczące losów rodziny, wieczorami, kiedy Niemcy wyłączali zasilanie elektryczne, przy kaganku o konstrukcji starogreckiej opowiadaliśmy mu o swoim dzieciństwie, o naszych przodkach. Dość często dołączał do nas mój Ojciec, który za carskich czasów był maszynistą parowozowym i dobrze znał europejską część Rosji. Jego wspomnienia z pobytu w tym kraju były szczególnie ciekawe w czasie rozgrywania się wielkich bitew na froncie rosyjsko-niemieckim. Chłopak chłonał te opowiadania całym sobą i wiem, że znakomicie zachował je w swej pamięci na dalsze lata.

W początku roku 1942, na naradzie zwołanej w sprawie tajnego nauczania przez kolegę Stanisława Dobranieckiego, dowiedzieliśmy się, że należy zgłaszać stan kompletów u delegata rządu dla spraw oświatowych. Pierwsze zapomogi pieniężne dotyczyły przede wszystkim tych nauczycieli, którzy rozpoczęli tajną działalność oświatową już we wrześniu 1939 r. W środowisku swym świetnie wiedzieliśmy, kto winien dostawać te zapomogi. Nie były to wielkie pieniądze, ale stanowiły, poza wszystkim, symbol państwowości polskiej. Miało to znaczenie moralne. Nauczyciel poczuł się pewniejszy w swej pracy, uwierzył, że nie jest samotnym, że na jego pracy komuś zależy i że jest ona doceniana, że jest jakaś ogólna koncepcja działań oświatowych, a nie walka „samotnego strzelca”.

Poprawa sytuacji materialnej i świadomość, że pełni się służbę z ramienia Polski Podziemnej, spowodowały ożywienie, rozszerzenie sieci tajnych kompletów. Nauczyciele, zatrudniając się przy większej liczbie kompletów, otrzymywali proporcjonalnie większe dotacje. W tej sytuacji można było rzucić szczie pantofli i wrócić do właściwego, własnego warsztatu pracy. W szkole powszechnej utrzymaliśmy do końca zasadę bezpłatności nauczania. W mojej szkole wszyscy nauczyciele należeli do Tajnej Organizacji Nauczycielskiej. Do tego przez cały czas płacono w tych warunkach składki członkowskie, chociaż nie mówiło się wtedy TON, ale zawsze Związek Nauczycielstwa Polskiego (ZNP). Pieniądze zbierałem ja i – jako delegat środowiska – odnosiłem na ul. Inżynierską 10, do kolegi Jana Rulewicza, od którego z kolei zabierałem polecenia, tajne instrukcje oraz wynagrodzenia dla nauczycieli. Od czasu do czasu Rulewicz sprawdzał stan

kompletów, omawiał zauważone braki i dzielił się swymi spostrzeżeniami i sugestiami. Rzadko wizytowali nas koledzy Staszewski czy dr Usarek. Tłumaczyliśmy to sobie tym, że pewnie muszą mieć na oku całą Pragę.

Z dziećmi kończącymi VII klasę nie mieliśmy kłopotów. Wszystkie szły do szkół zawodowych, co w zasadzie chroniło je od wywózki do prac niewolniczych w Rzeszy. Pod firmą szkół zawodowych prowadziliśmy też większość z naszych ogólnokształcących szkół średnich. Najwięcej dzieci posyłałiśmy do tajnego gimnazjum, pracującego pod firmą kursów przygotowawczych do szkół zawodowych, na ulicę Grochowską 272. Były one w rzeczy samej tajnymi gimnazjami imienia Curie-Skłodowskiej i Króla Władysława IV, prowadzonymi przez dwóch wybitnych pedagogów: panią Jadwigę Zanową i dr. Leona Zygmunta Usarka.

Ponieważ nasi uczniowie byli zawsze dobrze przygotowani, istniała od lat tradycja ścisłej współpracy z tymi dwoma przedwojennymi gimnazjami. Zapraszano nas na egzaminy wstępne i maturalne, wspólnie z nami omawiano programy klas szóstych i I gimnazjalnej. Pewnym jest, iż tej współpracy sprzyjał fakt, że pani Stefania Usarkowa, wieloletnia kierowniczka naszej szkoły, była żoną dyrektora Usarka. Oboje stanowili parę genialnych pedagogów, w sposób bezprzykładny oddanych SPRAWIE. Po wyrzuceniu przez Niemców kursów z budynku Instytutu Weterynarii, oba te zakłady znalazły się na bruku. Część młodzieży żeńskiej i męskiej przyjąłem do klas VI i VII i tak powstały w naszej szkole zaczątki regularnego nauczania tajnego na średnim poziomie. Dyrektorzy Zanowa i Usarek rozpoczęli wtedy nauczanie tajne na poziomie, który dzisiaj wydaje się nieprawdopodobnie wysokim. W owe dni zapoczątkowała się, trwając do momentu jego aresztowania, ścisła nasza współpraca. W tajnym gimnazjum „u Władka” pracowałem zresztą do końca roku szkolnego 1943/1944.

W lipcu 1942 r. dr Usarek odwiedził mnie w moim gabinecie kierownika szkoły nr 126 i przedstawił wizję zasad współpracy, swoje plany i propozycje. Chodziło o to, aby całą Pragę pokryć siecią kompletów tajnego nauczania. Pęd do kształcenia licealnego ogólnokształcącego stał się tak powszechny, że trzeba było zmobilizować wszystkie siły dla sprostania narastającym zapotrzebowaniom społecznym Pragi w tym zakresie. Usarek uważał, że ja nie po to zdobyłem wyższe wykształcenie, aby tylko częściowo wykorzystywać je w szkole podstawowej. W ten sposób zostałem – dodatkowo – wykładowcą w tajnym

Gimnazjum i Liceum im. Króla Władysława IV. W prowadzonej przeze mnie szkole zainstalowaliśmy cztery klasy licealne – utykając je w jadalni, w rupieciarni, a wieczorem – w wolnych salach lekcyjnych. Pociągało to za sobą zwiększenie ryzyka, a więc konieczność zaostrzenia zasad ostrożności: zamykania drzwi wejściowych, wystawiania czujek i ciąglej, napiętej uwagi na to, co dzieje się wokół nas. Nie wychodziłem ze szkoły od godziny 7.00 do 19.00, co pozwalało mi na ogarnięcie całości, która stała się tworem znacznie trudniejszym do opanowania i prowadzenia. Miałem teraz cały dzień wypełniony po brzegi, zaś po przyjeździe do domu musiałem przygotować się do lekcji. Było to męczące, jednak czułem się przy tym zajęciu, jak ryba w wodzie. Miałem tylko 32 lata. Był to okres niezwykle intensywnej pracy, ale i pasjonujących obserwacji pedagogicznych, psychologicznych, przeżyć, doświadczeń.

W krótkim czasie dr Usarek „opanował” całą Pragę. W latach 1942-1944 pracowały na prawym brzegu 44 zespoły skupiające co najmniej 650 uczniów. Ich liczba miała raczej tendencje zwykłe, nawet w najcięższych momentach życia okupowanej stolicy. Ta rosnąca liczba spragnionych wiedzy na poziomie średnim wymagała regularnej współpracy kilkudziesięciu nauczycieli o odpowiednich kwalifikacjach merytorycznych i pedagogicznych. Zorganizowanie tak ogromnej maszyny, dopilnowanie całego systemu, nie było sprawą łatwą w warunkach okupacji i konspiracji. Dr Usarek umiał to nie tylko puścić w ruch, ale także niezwykle sprawnie ukierunkować. Posiadał charyzmę, która u wielu osób objawia się w innych zupełnie wymiarach podczas warunków ekstremalnych, charyzmę, która pozwalała mu wywierać wpływ na całą tę rozległą maszynę, działającą w podziemiu. Rozległą – ponieważ mieliśmy komplety na Grochowie, ale także na dalekim Nowym Bródnie. Przejazd z ulicy Kiejstuta na Bródnie do bazyliki na Kawęczyńskiej, z ulicy Targowej na Igańską nie był w ówczesnej Warszawie sprawą ani prostą, ani bezpieczną. Powszechne w tym czasie polowania na ludzi, zwane „łapankami”, zdarzały się codziennie, niespodziewanie, w różnych – także peryferyjnych częściach miasta. Usarek był „zagoniony”, ale wszystkiego zawsze dopilnował, zawsze w porę likwidował zagrożone punkty i natychmiast otwierał nowe. Działal – jak to się dzisiaj modnie mówi – operatywnie, nie znając tego słowa. Szczególnie trudne zadania sytuacja postawiła przed nauczycielami załatwiającymi sprawy administracyjne. Na wypadek łapanek lub wyspy koniecznym było mieć

dokumenty zaszyfrowane. Chodziliśmy więc w czapkach Gazowni, Elektrowni Miejskiej czy tramwajarzy, awaryjnie zaopatrzeni w legitymacje pracownicze tych instytucji. Czesne wpłacane przez uczestników poszczególnych kompletów gimnazjalnych, wykazy ocen i inne dokumenty życia szkolnego, wpisywaliśmy jako rubryki zużycia gazu czy prądu lub należności za bilety tramwajowe. Niektórzy charakteryzowali się na ludzi w wieku podeszłym. Tak działał m.in. profesor Chelczyński, prowadzący kasę gimnazjalną, a więc w sposób szczególny narażony przy każdej rewizji ulicznej na wyspę, gdyż mogła go zdradzić cudza mamona. Używał tego triku w stosunku do Niemców, którzy w pierwszym rzędzie rzucali się na ludzi w sile wieku, na młodych mężczyzn. Nauczyciele pracowali z entuzjazmem, nie było utyskiwań na młodzież, nie było objawów niezadowolenia z warunków pracy. Panowała czysta atmosfera wzajemnego porozumienia – nie tylko pomiędzy profesorami, ale także pomiędzy pedagogami i uczniami. A mieliśmy do czynienia z młodzieżą fantastyczną. Połowa z nich, co najmniej, była czynnie zaangażowana w konspirację wojskową. Często zasypiali po akcji ze zmęczenia, niedospania i zdenerwowania. W mojej wieloletniej karierze pedagogicznej było to absolutnie wyjątkowe pokolenie uczniów. Dopiero w czasie powstania wyszło na jaw, ilu z moich uczniów okazało się żołnierzami batalionów szturmowych Kedywu. Nawet bolesne ciosy, jakich nie szczędził nam okupant, tylko na chwilę rozbijały naszą gromadkę, wyrwały kogoś z nas. Szybko jednak wracaliśmy do szeregu, przechodząc z ulicy na ulicę, z dzielnicy do dzielnicy, z kompletu na komplet i dalej prowadziliśmy nasz codzienny obowiązek nauczycielski. Pośród wykładowców prowadzących zajęcia w tych latach byli też profesorowie wyższych uczelni warszawskich, na przykład dziekan prof. Wiktor Wąsik i prof. Stanisław Arnold. Starszy już wtedy wiekiem prof. Wąsik nie opuścił nigdy ani jednej lekcji łaciny (a jeździł codziennie z placu Narutowicza, gdzie mieszkał, na Nowe Bródno – na ulice Kiejstuta i Bartniczą, na których prowadziliśmy komplety). Nigdy nie słyszeliśmy od niego słowa skargi na warunki pracy. Ta sumienność i odporność starego profesora, szanowanego uczonego, była wzorem tak dla uczniów, jak i dla nas, młodych nauczycieli. W mojej kancelarii na ul. Kawęczyńskiej 49 był umówiony punkt kontaktowy. Tu, w wyznaczonych godzinach i dniach, przyjmował dr Usarek. Tu profesorowie zbierali się, aby wypełniać dokumenty uczniów. Tu wreszcie napływały

raporty z 44 rozrzuconych po Pradze placówek nauczających. W tym miejscu wreszcie urzędował skarbnik gimnazjum, prof. Chelczyński, który wypłacał zaliczki i pobory. Stąd moje stałe kontakty z wieloma kolegami, którzy niekiedy siedzieli u nas godzinami. Każda większa łapanka czy obława na Pradze była nam sygnalizowana z pobliskiej budki dyspozytora tramwajów miejskich, stojącej obok naszej szkoły na pętli tramwaju nr 25. Tramwajarze byli w tych groźnych momentach naszymi najlepszymi agentami. Motorniczy i konduktorzy zjeżdżający na terminus opowiadali o tym, co dzieje się na mieście i, jeżeli było cokolwiek niepokojącego, dzwoniono do nas, ostrzegając o rafach i mieliznach, na których można było utknąć.

Szczególnie interesujące i pouczające były dla mnie rozmowy z prof. Stanisławem Arnoldem, człowiekiem ogromnej wiedzy, niesłychanie przy tym spokojnym i życzliwym w stosunkach międzyludzkich. Był żywą ilustracją prawdy głoszonej przez Cypriana Kamila Norwida, który w jednym z listów do Bogdana Zalewskiego pisał: *...grzeczność kosztowała ludzkość wieki pracy*. Pewnego dnia profesor przyszedł do naszej kancelarii, w której miał umówione spotkanie z prof. Chelczyńskim. Ponieważ oczekiwany nie przychodził, a ja miałem wolny czas, męczyłem prof. Arnolda pytaniami z zakresu historii, zahaczając o politykę. Odpowiadał wyczerpująco na moje pytania. Pamiętam, że przestrzegał przed optymizmem w stosunku do zobowiązań sojuszniczych państw zachodniej demokracji, jak o nich wtedy mawiano: *Głównym rozgrywającym będzie, panie kolego, Stalin, który jest facetem bez jakichkolwiek skrupułów. To natura w swej istocie bliska Hitlerowi, z bolszewickim odchyleniem. Zresztą Adolf wiele się od niego nauczył! Liczyć na Anglię czy Stany Zjednoczone to dzieciada. Oni nie mają jakichkolwiek interesów w Polsce, poza jednym, abyśmy byli wrzodem na tyłku Rosji*. I tak gawędziliśmy przez nieomal cztery godziny. W tamtej chwili żałowałem, że tak krótko trwała blokada miasta. Prosiłem, aby próbował jeszcze poczekać na umówioną osobę, ale spieszył się i szybko pożegnał ze mną.

Nazajutrz, na rogu ulic Ząbkowskiej i Korsaka, machając wielkim pędzlem, kolporter przyklejał złowrogi czerwony plakat zapowiadający kolejną egzekucję zakładników. Stałem przed afiszem i śledziłem wzrokiem nazwiska skazanych. Poczułem, jak robi mi się słabo. Pośród nazwisk przeznaczonych do egzekucji – za posiadanie broni i przynależność do zbrodniczych organizacji, pozostających

na żołdzie Londynu i Moskwy – widniało nazwisko profesora Stanisława Arnolda. Dr Usarek potwierdził fakt tego aresztowania i tożsamość nazwiska ze znaną nam osobą. Był to dla mnie cios szczególnie bolesny. Trudno zrozumieć nonsens tego mordu. Przez kilka dni przybiegali dom mnie nauczyciele z całego miasta, pełni bólu, złamani tą wieścią. Z ogromną ulgą odetchnęliśmy, kiedy doszła do nas wiadomość o tym, że profesor cudem uniknął rozstrzelania. Nie opuściła nas jednak troska o dalsze jego losy – jeśli nie rozstrzelanie, to zapewne obóz koncentracyjny.

Spośród nauczycieli pracujących w tym okresie w Gimnazjum Władysława IV pamiętam – poza prof. Arnoldem – kolegów: Marię Błońską (historia), Adama Gawędę (geografia), Janusza Lubicza-Borowskiego (język polski), Stefana Pieniążka (nauczyciela łaciny, artystę-malarza), księdza prefekta Blezienia – że wymienię tych, z którymi uczyłem na tajnych kompletach. Za wielkie szczęście, znając poziom wiedzy i prawosć tych ludzi, przyjąłem po latach fakt, że wszyscy oni byli mentorami mego jedyne go syna Grzesia, absolwenta już powojennego Liceum im. Króla Władysława IV, niebawem kończącego medycynę.

Ja uczyłem historii literatury polskiej w trzech klasach, a były to zawsze klasy czwarte gimnazjalne. Lekcje odbywały się częściowo przy ul. Kawęczyńskiej, to znaczy w naszej szkole, a czasami, kiedy „atmosfera była nieświeża”, pracowaliśmy w prywatnym mieszkaniu przy ul. Kawęczyńskiej 8. Inne grupy korzystały z lokalu przy ul. Ząbkowskiej 47, jeszcze inne – przy ul. Białostockiej 20 i Grochowskiej, w domu naprzeciwko fabryki elektrycznej Braci Borkowskich. Korzystaliśmy też z innych lokali, w tym zwłaszcza szkoły dla dzieci upośledzonych umysłowo przy ul. Radzymińskiej 1, kierowanej przez znakomitego człowieka – kolegę Henryka Rylla. U niego pracowała koleżanka Bytnarowa, matka „Rudego”. Jeżeli ustalone punkty uznaliśmy za zagrożone, przenosiliśmy się z Tarchomińskiej na Łochowską, a nawet na Grodzieńską. Mogliśmy działać tak elastycznie jedynie dzięki pomocy rodziców, dzięki ogromnej pomocy środowiska „praskich rodaków”. Nie było ważne, czy mieli jednoizbowe mieszkanie prostego robotnika, czy też czteropokojowe mieszkania lekarza – wszędzie widziało się zrozumienie wagi naszego działania i troski o bezpieczeństwo nasze i dzieci. Zawsze też szczerze zapraszano do dalszego korzystania z mieszkania dla potrzeb

gimnazjum. Zbliżało nas to niesłychanie do rodziców i do samych uczniów, reprezentujących różne środowiska społeczne. W czasie moich zajęć z radością stwierdziłem, że pośród naszych wychowanków nie ma dystansu, jaki dzielił w Polsce przedwojennej syna inżyniera czy lekarza od syna kolejarza, szewca. Chłopcy uczyli się wspólnie, zawierali trwałe przyjaźnie. Wielu z nich, w niedługim czasie, wspólnie zginęło w akcjach powstańczej Warszawy.

W czasie dwóch lat pracy w Gimnazjum im. Władysława IV miałem szczęście nigdy nie wpaść w niemieckie ręce, choć zaznałem kilka razy emocji nie byle jakich. Pewnego dnia, około południa, do podwórka domu przy ul. Białostockiej 20 (gdzie na pierwszym piętrze prowadziłem lekcję) przyszedł patrol czterech żandarmów. Dwóch z nich, z bronią gotową do strzału, stanęło blokując bramę, dwóch innych zaczęło wchodzić na górę. Weszli jednak wyżej i po pół godzinie wyprowadzili starszego mężczyznę. Okazało się, że przyszedł po młodzieńca, który uciekł z Rzeszy, gdzie był zesłany do pracy niewolniczej. Ponieważ chłopak schował się – jako zakładnika wzięto jego ojca.

Bardziej przerażającą przygodę miałem na ul. Radzywińskiej 1. Kolega Henryk Ryll, który w czasie wojny kierował szkołą specjalną dla dzieci upośledzonych, dał nam na przygórku swojej szkoły niewielki pokój, dawniej wykorzystywany jako skład pomocy szkolnych. Zebrało się 12 chłopców z IV klasy gimnazjum. Rozpocząłem lekcję. Temat był interesujący: poezja czasu wojny. Uczniowie szybko notowali teksty i właśnie przystąpiliśmy do analizy utworów Słonimskiego i Broniewskiego, gdy zza okna doleciały odgłosy strzelaniny. Brzmiały jak głośnie klaskanie na ulicy i początkowo nie zrozumiałem źródła tych hałasów. Moi „eksperci” znali się na tym znacznie lepiej. Stałem przy oknie i spojrzałem z poddasza w dół. Zawsze ludny zbieg ulic Żąbkowskiej i Radzywińskiej nagle opustoszał. Jeden z wartowników leżał na ziemi ranny lub zabity, zaś drugi uciekał w głąb martwego podwórza. Kilku moich chłopców zerwało się z miejsc i tylko dudnienie ich butów słyszać było na schodach w martwej ciszy panującej wokół. Na ulicy odbywał się w tym czasie dramatyczny pościg. Dwóch Niemców z Arbeitsamtu leżało już przy wózku na bruku, a trzeci uciekał, zgięty ku ziemi jak zając. Za nim szedł szczupły, wysoki chłopak w jasnym płaszczu i z pistoletu strzelał do szwaba raz po raz. Cała ulica znów zabrzmiała odgłosami przypominającymi walenie kijankami

przez baby piorące mokrą bieliznę. To obstawa żołnierza podziemia wykonującego wyrok strzelała do okien byłej szkoły, w których pojawiali się żandarmi. Polak wyjął zabitemu z kieszeni jakieś papiery, zabrał broń i dość spokojnie skierował się za róg naszej szkoły. Wszystko trwało mniej niż 5 minut.

Teraz dopiero rozpętało się piekło. Wystraszeni Niemcy zaczęli przez okna wyrzucać granaty, strzelać bez opamiętania do nieistniejącego już celu. Ucieczka w każdą stronę oznaczałaby konieczność przeprawy przez pustą przestrzeń. Nie było mowy o wyjściu ze szkoły, samotnie stojącej na rogu dwóch dość szerokich ulic. Konieczność pozostania w budynku była oczywista. Wszyscy byliśmy zdenerwowani, bo powstała sytuacja patowa. Nie wiedziałem, co stało się z chłopakami, którzy zareagowali ucieczką jeszcze w czasie trwającej akcji. Jak się okazało, byli to reagujący prawidłowo profesjonaliści: we właściwym czasie i we właściwy sposób. Jeden z uczniów powiedział mi wtedy na ucho, że musieli uciekać, ponieważ każdy z nich miał przy sobie broń. Po pięciu minutach przyjechały samochody pełne żandarmerii, a zaraz potem gestapo. Słyszeliśmy ich ochryply, wściekły wrzask. Mgr Ryll pozabierał moich chłopaków i porozmieszczał ich w klasach pośród dzieci upośledzonych umysłowo. Kazał im po wejściu agentów gestapo robić miny przygłupów. Szybko wypisaliśmy im też legitymacje szkolne, a ich dotychczasowe spuściliśmy wraz z wodą w ubikacjach. Zupełny spokój Rylla, jego opanowanie i przytomność w udzielaniu nam pomocy były imponujące. Z ulokowanej na drugim piętrze kancelarii szkoły patrzyłem, jak watahy policjantów i gestapowców blokowały wyloty ulic i bramy na najbliższej ulicy Tarchomińskiej. Na dole już dobijano się do zamkniętych drzwi szkoły. Przybiegła zdyszana dziewczynka: *Zabrali pana kierownika Plewińskiego i pana woźnego! Położyli ich obu na bruku twarzą do ziemi i rękami uniesionymi do góry!* Na pierwsze piętro weszli dwaj gestapowcy z bronią gotową do strzału. Obaj milczeli i patrzyli w śmiertelnie przerażone twarze „debilów”. Nasi cwaniacy, jak ich znałem, mieli zapewne miny najgłupsze ze wszystkich. Siedzieliśmy tak przeszło dwie godziny. Po trzech godzinach zdjęto posterunki z rogów ulic i mogliśmy wyjść ze szkoły. „Agentów na żołdzie Londynu i Moskwy” nie złapano.

Zanim doszedłem do ulicy Folwarcznej, otoczył mnie tłum znajomych i uczniów, którzy przez te ostatnie godziny drżeli o nasz los. Los mój i moich chłopców. Dopiero jednak za drzwiami szkoły

przy ul. Kawęczyńskiej 49 koledzy zaczęli mnie ścisnąć i poklepywać, jak zmartwychwstałego. Tak więc, tanim kosztem, zostałem przez parę dni uznawany za bohatera, a nasza przygoda stała się tematem rozmów.

W kwietniu 1943 r. uderzył w nas następny grom. Niemcy ogłosili światu odkrycie grobów tysięcy polskich oficerów zamordowanych w lesie Katynia, małej miejscowości niedaleko Smoleńska. W miarę odkrywania grobów, w znakomitej większości przypadków ciała ofiar zostały zidentyfikowane dzięki dokumentom pozostawionym w ich mundurach. Ujawniane nazwiska drukowano kolejno w codziennych wydaniach gazety-gadzinówki: „Nowy Kurier Warszawski”, zwanym powszechnie „Kur-Warem”. Pośród ofiar dominował kwiat inteligencji polskiej: lekarze, prawnicy, duchowni, profesorowie wyższych uczelni, nauczyciele, słowem – oficerowie rezerwy, którzy we wrześniu 1939 r. trafili do niewoli sowieckiej. Rodziny otrzymały ostatnie listy od nich przed majem 1940 r., natomiast potem korespondencja urwała się i listy wysyłane z Generalnej Guberni wracały z napisem „Wyjechał w nieznane”. To „nieznane” było koszmarem. Opowieści uciekinierów z Rosji sowieckiej i fakty świadczyły o tym, że wykonawcami tej zbrodni byli bolszewicy. Pośród ofiar znalazłem nazwisko mego przyjaciela, Władysława Okrzei, nauczyciela i kolegi Lucjana Borowca, także nauczyciela. Władek Okrzeja był bratankiem Stefana Okrzei, bojownika PPS, którego powiesili oprawcy carscy. Teraz przyszła kolej na jego krewnego. Brat Władka, pilot myśliwca, zginął we wrześniu 1939 r. w nierównym boju z kilkoma meserszmitami w okolicach Wyszkowa. A więc teoria dwóch wrogów nie była takim bajdurzeniem głupich Polaczków. W rozszlochanej Warszawie jedni znajdowali nazwiska swych mężów i braci na niemieckich czerwonych listach egzekucyjnych, inni zaś – w tym samym czasie – w spisach ofiar grobów katyńskich.

My zaś musieliśmy pracować – bez względu na to, co się działo wokół nas. Nasi uczniowie rekrutowali się z różnych środowisk społecznych i warstw społecznych. Dominowali synowie klasy robotniczej, procent dzieci inteligencji był stosunkowo niewielki. Środowiska te, wobec panujących nastrojów, nie widziały możliwości powrotu do układów społecznych Polski przedwrześniowej. Miała to być Polska sprawiedliwości społecznej, ale oczywiście niepodległa, a nie podporządkowana Rosji sowieckiej. Opłaty za szkołę były zróżnicowane,

choć formalne czesne nie było wysokie. To nie była działalność komercyjna. Od opłat zwalniano z zasady synów więźniów, jeńców wojennych, sieroty i żołnierzy walczących na różnych frontach. Inni uczniowie korzystali ze znacznych ulg, jeśli o to prosili i było to uzasadnione. W wielu przypadkach szkoła nie tylko opłat nie pobierała, ale wręcz wspomagała uczniów finansowo, ze względu na ciężkie położenie materialne. Pensje 40 nauczycieli pochłaniały większość wpływów (tak mi się wydaje, chociaż te sprawy lepiej zna dr Usarek i prof. Chełczyński). Nauczycieli pracowało wtedy 40, ale wszyscy zdecydowaliśmy, że należy wypłacać pensję tym profesorom gimnazjum, którzy z różnych ważnych przyczyn brać udziału w tajnym nauczaniu nie mogli. Wypłacano więc pensje ciężko chorym, rodzinom kolegów siedzących w obozach czy więzieniach, ukrywającym się kolegom pochodzenia żydowskiego, a także rodzinom nauczycieli zaginionych bez wieści. Wielu z tych zaginionych odnalazło się w masowych grobach Katynia. Wraz żoną, w miarę swych możliwości, nosiliśmy prowiant do Muzeum Zoologicznego, gdzie pomiędzy wypchanymi niedźwiedziami i żubrami ukrywał się przez całą okupację – z powodu pochodzenia – dr Kazimierz Tarwid, po wojnie profesor Uniwersytetu Warszawskiego i twórca polskiej ekologii.

Młodzież, z którą stykałem się w czasie wojny, pozostała w mej pamięci na całe życie. Wielu z tych, którzy przeżyli, odwiedzało mnie potem przez wiele, wiele lat. Wspomnienia z nimi związane podtrzymywały mnie na duchu w czasie więzienia w obozie niemieckim i nie pozwalały tracić nadziei na przyszłość kraju. To była generacja, która mogła odbudować kraj z wojennych ruin. Tak też się stało. Byli to chłopcy bliscy mi pochodzeniem, bowiem sam pochodzę z rodziny kolejarskiej, zasiedziałej na Nowym Bródnie. Znałem ich psychikę, obyczaje, ich figle i marzenia. Uczyli się tak gorliwie, że do dzisiaj wydaje się to, w porównaniu z obecnymi tendencjami młodzieży do ucieczki od wszelkiego wysiłku intelektualnego, nieprawdopodobne. Byli, można powiedzieć, chciwi wiedzy i umieli ją zdobywać. Naukę traktowali jako swój obowiązek patriotyczny, chociaż niektórzy z nich zarabkowali, a wszyscy należeli do konspiracji. Zawsze znajdowali czas na naukę. Myślę, że obok świadomości, iż nauka toruje im drogę do lepszego bytu, dużą rolę odgrywał fakt, że szkoła była prześladowana, że chodzenie do niej było jednak aktem odwagi. Nimb tajemniczości, jaki otaczał szkołę, przyczynił się do kształtowania

tej młodzieży. Praca w szkole była wynikiem świadomego wyboru i dobrej woli samego ucznia, a w mniejszym stopniu jego rodziców. Wszystko przecież było przeciw szkole i uczeń miał na drodze do niej różne przeszkody do pokonania. Jednym słowem, szkoła miała smak zakazanego owocu. A przecież już w raju, więc w początkach gatunku ludzkiego, okazało się, jaką zachętą do łamania wszelkich przeszkód jest zakaz.

Nikt wtedy nie zapewniał młodzieży, że każdy z nich zostanie oficerem, wynalazcą, inżynierem, lekarzem lub nauczycielem. Nikt nie mówił, że społeczeństwo musi im służyć, że wszystko im się należy, że cały świat ma się do nich po wojnie odnosić, jak do bohaterów narodowych. Nie stwarzaliśmy też złudzeń, że wszystko im się należy, zaś nikt nie ma prawa od nich niczego wymagać. Byli w rzeczy samej ludźmi dojrzałymi i doceniali to, że się o nich troszczymy, choć nigdy nie było na ten temat wylewnych rozmów. Mieli do nas zaufanie i my też wierzyliśmy im całkowicie. Rozumieliśmy ich figle należne wiekowi, ale nigdy nie tolerowaliśmy beztroski i lenistwa. Potępialiśmy beżmyślność i brak szacunku dla człowieka i jego pracy. To, co sprawiało najczęściej kłopotów i wprowadzało napięcie, to ich lekceważenie śmiertelnych niebezpieczeństw, które czyhały na nas na każdym kroku. Upominaliśmy, aby byli ostrożni. Przynosili wydawnictwa podziemne, wymieniali instrukcje wojskowe, głośno omawiali konspiracyjne książki, czy konstrukcje broni. Była to młodzież patriotyczna, pełna namietności walki.

Nauka i konspiracja to były dwie wielkie płaszczyzny, po których poruszała się młodzież. Uderzały nas, jak ciosy, wieści tragiczne: X zabrany w nocy z domu, Y wzięty z ulicy, J aresztowany na punkcie zbórnym oddziału konspiracyjnego, β zastrzelony w ochronie drukarni podziemnej...

W roku 1942 takim bolesnym ciosem była wiadomość o rozstrzelaniu naszego ucznia, Mickiewicza, w jednej egzekucji wraz z ojcem – za posiadanie broni. Złapano ich w czasie pracy tajnej radiostacji namierzonej przez Abwehrę. Wieści tego rodzaju mnożyły się, nie sposób je wymienić, ponieważ lista strat była długa.

Powstanie i obozy koncentracyjne wyniszczyły to wojenne pokolenie szkolne. Zginęło wielu nauczycieli i ich uczniów. Tak bardzo w chwilach odbudowy kraju brak było ich myśli, serca i zapału. Ich sylwetki, głosy, spojrzenia trwają w nas. Bez żadnej przesady

można powiedzieć, że najboleśniejszą stratą, jaka poniósł nasz kraj w czasie okupacji, to była zagłada pokolenia wyjątkowego, zwanego po wojnie „pokoleniem Kolumbów”. W czasie powstania została wymordowana znaczna część elity młodzieży polskiej, która miała stanowić o przyszłości powojennej kraju.

Radością napawa fakt, że ci, którzy przeżyli, są dzisiaj inżynierami na Żeraniu i w polskich stocznjach, dziennikarzami, oficerami, lekarzami, że są dobrymi fachowcami i porządnymi Polakami, obywatelami oddanymi sprawie narodu.

Trudno jest wymienić choćby część nazwisk wielu znanych dzisiaj, szanowanych mężczyzn, którzy w historię swego życia mają wpisana notatkę: absolwent Gimnazjum i Liceum im. Króla Władysława IV na Pradze.

Ostatnie miesiące

Dnia 11 kwietnia 1944 r. wpadł do mnie na lekcję dr Usarek. Zmierzchało już i pracowaliśmy przy zamkniętych i zasłoniętych oknach. Dyrektor prosił, abym nie przetrzymywał uczniów, ponieważ ma do mnie ważną sprawę. Po zakończonej lekcji wypuściłem, jak zawsze, moich czwartoklasistów dwójkami: część na Kawęczyńską, inną część – poprzez ogrody Adamca na Otwocką. Dr Usarek był wyraźnie zmęczony, chociaż jak zwykle nadrabiał miną. Pozostawił mi wiele instrukcji dotyczących opracowania projektu nowej organizacji szkolnictwa oraz nowych programów szkół podstawowych i średnich. Pracowaliśmy nad tym zagadnieniem od dwóch miesięcy, zgodnie z poleceniem otrzymanym od Tajnej Organizacji Nauczycielskiej. Wszystkie etapy konstruowania planów należało uzgadniać z aktywnym nauczycielskim. Zanim przyszedłem do szkoły, zabrałem ze sobą drukarki tych instrukcji do jednej z klas, gdzie miałem przygotowaną skrytkę na dokumenty w podwójnym dnie jednej z ławek.

Ponieważ zbliżała się godzina policyjna, zamknąłem szkołę na klucz i wyszliśmy obaj poprzez ogród Adamca na ulicę Otwocką, gdzie dyrektor mieszkał w nauczycielskim domu służbowym.

Następnego dnia rano, 12 kwietnia 1944 r. (środa lub czwartek), przyszedłem do szkoły jak zwykle tuż po godzinie 7.00. W kancelarii zastałem kilku dyskutujących nauczycieli, z prefektem na czele. Wszyscy mieli grobowe miny. Cóż się stało?

Wiadomość była oszałamiająca. Nad ranem, o godzinie 3.00, gestapo aresztowało i zabrało na al. Szucha całą rodzinę Usarków: dyrektora, jego żonę, nieletnią córkę Krystynę oraz szwagierkę, panią Zofię Sukniewicz, która tej nieszczęsnej nocy znajdowała się w ich mieszkaniu. Podjęliśmy decyzję o starannym oczyszczeniu szkoły z materiałów „kompromitujących” nas wobec okupanta. Należało spodziewać się rewizji i dalszych aresztowań. Ja przez ten czas uruchomiłem całą aparaturę sygnalizującą stan zagrożenia. Wkrótce wszystkie nasze punkty były zawiadomione o nieszczęściu. Zmieniliśmy lokale kompletów. Klasy pracujące w naszej szkole wyprowadziliśmy na ul. Targową. Po południu cała dzielnica wiedziała już o tym wydarzeniu. W pełni odczuliśmy wtedy, kim był dr Usarek dla Pragi. Powszechny żal, obawa o los jego i jego rodziny, oferty pomocy w kontynuacji naszej pracy, spotykałem na każdym kroku. Słusznie uznaliśmy, że przerwanie naszej pracy byłoby tym, o co zapewne mogło chodzić Niemcom. A więc największym wyrazem hołdu i szacunku dla dzieła naszego dyrektora było nie ustawać w działaniach.

Pozostawało teraz logiczne pytanie: co Niemcy wiedzieli o Usarku, jego roli w tajnym nauczaniu? Jaka była przyczyna aresztowania? Czy był obserwowany od dłuższego czasu, a jeżeli tak, to czy nie zabiorą wszystkich, którzy spotykali się z Usarkiem? Radzono mi zniknąć z Warszawy. Znając zwyczaje gestapo, nie wierzyłem, aby próbowali zgarnąć mnie z domu w dzień. Pozostawałem więc głównie w szkole, nastawiając uszy na odgłosy ulicy. Na godzinę poszedłem do domu, aby zawiadomić żonę o tym, co się wydarzyło. Była wstrząśnięta. Sprawa komplikowała się wobec masowego napływu rodziców, którzy prosili o wyjaśnienie, jakie spisy mogli zabrać gestapowcy z domu dyrektora i co w tej sytuacji grozi ich synom. A więc mimo całej naszej konspiracji doskonale wiadano w dzielnicy, że główne archiwum kompletów było u mnie. Ładna perspektywa! *No, Władziu – powiedziałem do siebie – pamiętaj, trzymaj się kłamstwa: ja nic o tym nie wiem.* Czy jednak gestapo uwierzy mi i czy wytrzymam ich „pieszczoty” – któż to miał wiedzieć?

O zmierzchu wyszedłem ze szkoły i przez tylne wyjście wydostałem się na zewnątrz gmachu. Klucząc po resztkach pogorzeliska, znalazłem się na ulicy Siedleckiej. Noc przespałem w domu jednego z uczniów. W nocy gestapo mnie nie szukało. Nie „zabiegano” o spotkanie ze mną także w ciągu następnych dni i nocy. Tymczasem Usarka

przewieziono z al. Szucha na Pawiak. Podobnie zatrzymane razem z nim kobiety. Przypuszczałem, że jest zaplątany w jakieś śledztwo w związku z udziałem naszego ucznia w akcji podziemia. Po wojnie okazało się to prawdą.

Przy ul. Długiej pracowała jedna z największych podziemnych drukarni Armii Krajowej. Każda z tych drukarni miała swoją ochronę, złożoną z dobrze uzbrojonych chłopaków. Niemcy, zapewne na podstawie donosu lub pracy agenturalnej, wpadli na trop drukarni. Rozegrała się walka. Ochrona biła się do końca i tylko części bojowników udało się uciec. Jeden z chłopaków, zgodnie z rozkazem idąc na akcję bez dokumentów tożsamości, został zastrzelony przy przeskakiwaniu muru dzielącego podwórka kolejnych posesji. Ścigający go Niemcy znaleźli w jego kieszeniach małeńki kalendarzyk, w którym było wpisane: „Usarek - Siedlecka 29”. Tej samej nocy dyrektor został aresztowany i oskarżony o udział w ruchu oporu. Tłumaczył się, że chłopca nie zna, że jest byłym dyrektorem gimnazjum praskiego i że niekiedy przychodzą do niego byli uczniowie – po życiowe rady. Uwierzyli mu i zamiast pod ścianę egzekucyjną w Warszawie – został wysłany do obozu koncentracyjnego Stutthof, zaś kobiety do Ravensbrück. Szczęśliwie, wszyscy przeżyli ten koszmar i powrócili do Warszawy, w miarę wyzwalań obozów.

W szkole było tymczasem zupełnie spokojnie. Nie stwierdziłem obserwacji ani mnie, ani mego domu, ani szkoły – przez agentów niemieckich lub „kapusiów” polskich. Po kilku dniach wróciłem więc na noc do domu.

Zaledwie usnąłem, zmęczony przeżyciami ostatnich dni, kiedy obudzony przez gwałtownie narastający hałas, zupełnie rozbudzony usiadłem na łóżku. Ostry pisk hamulców i tupot żołnierskich butów wielu wyskakujących z wozu ludzi wyrzucił mnie z posłania. Szybko zacząłem się ubierać. Ręce drżały podczas sznurowania butów. Niech mnie chociaż wezmą ubranego, a nie w pidżamie. Czy to tak wygląda wstęp do Oświęcimia? Ostrożnie wyrząłem na ulicę przez zasunięte zasłony. Fronton naszego domu był oświetlony silnymi reflektorami przyczepionymi do typowych żandarmerskich bud. Kilku esesmanów, z pistoletami maszynowymi, obserwowało okna. Łomot do bramy i ryk Niemców żądających jej natychmiastowego otwarcia porażały. Jak zwykle, starali się na wstępie sterroryzować nas wrzaskiem, łomotem i uzbrojeniem. Upierne światło wdzierało się do pokoju i wielki cień ramy okiennej położył się krzyżem na białej ścianie.

W śmiertelnej ciszy, jaka zapanował po otwarciu bramy przez panią Stabrowską, dozorczynię, słyszałem tylko łkanie żony i jej wyrzut: *Dlaczego dzisiaj tu jesteś?* Ktoś gwałtownie załomotał klamką do naszych drzwi. W wielkim napięciu czekaliśmy, co będzie dalej, ale nikt nie pukał. Żona trzymała mnie kurczowo za ramię i szeptem wołała: *Nie otwieraj, nie otwieraj!* Istotnie, widocznie pomylili drzwi i teraz stukali do sąsiadów. Czy będą brać całe piętro? Do których weszli? Schodzili po schodach na dół, wolno i ciężko. Wyjrzałem delikatnie przez okno i widziałem, jak brutalnie wpychali do samochodu dwie osoby. Esesmani, nim odjechali, sadowili się powoli. *Mój Boże* – powiedziałem – *to Staś Olczak i jego ciotka pani Frydrychowska.* Zapadła cisza i słysząc było jednostajny chrzęst butów szorujących o chodnik i nawierzchnię kamienną ulicy. Pojazdy okupanta odjeżdżały ze „zdobyczą”. Cisza się przedłużała. Otworzyliśmy drzwi od mieszkania i poszliśmy do pani Olczakowej. Zabrali jej szesnastoletniego jedyne go syna i siostrę, nauczycielkę szkoły specjalnej. Drzwi były szeroko otwarte. Weszliśmy, wraz z żoną i dozorczynią domu, do zmaltretowanej, osamotnionej kobiety. Była nieprzytomna z rozpaczy. Staliśmy obok, usiłując podnieść ją z podłogi, ale nie mogliśmy dać rady bezwładnemu ciału, nie byliśmy w stanie wyrzec ani jednego słowa pocieszenia.

Nasz synek Grzesio spał głębokim snem dziecka, nieczującego strachu, którego mu szczęśliwie oszczędzono.

Tej samej nocy aresztowano także Henryka Rylla i kilku innych nauczycieli.

W maju była matura. Mimo, że po kilkunastu dniach spokoju wróciliśmy z kompletami na ul. Kawczyńską 49, nie mieliśmy odwagi urządzać w tym domu egzaminu dojrzałości. Dzięki pomocy księdza prefekta Stefana Blezienia egzamin dojrzałości odbył się w warunkach komfortowych, a mianowicie w obszernej sali ulokowanej w podziemiach bazyliki. Coś się jednak działo, bowiem właśnie w czasie egzaminów ustnych Niemcy obstawili kościół i zaczęli rewidować podziemia. Ktoś nas wsypał? Czy też był to zwykły przypadek? Dzięki odwadze i opanowaniu księdza Blezienia, który nauczycieli i uczniów skrył w kopule wieży świątyni, hitlerowcy – po kilku godzinach daremnych poszukiwań – odeszli bez łupu. Obserwowaliśmy tę blokadę z gmachu szkoły przy ul. Kawczyńskiej i ciężko przeżywaliśmy zagrożenie wszystkich naszych, tak nam bliskich.

Egzamin maturalny przeprowadzono do końca. Dzisiaj żaden historyk nie wygrzebie nawet krótkiej notatki w protokole egzaminacyjnym na temat podwójnego strachu uczniów, ani o tym, kto lepiej schował się na strychu – egzaminowani czy egzaminatorzy.

Zaraz po skończeniu roku szkolnego rozpoczęliśmy w szkole podstawowej – w ogródku przyszkolnym – półkolonie dla dzieci. Niestety, wobec narastania napięcia i zbliżania się frontu niemiecko-sowieckiego, musieliśmy tę akcję zakończyć i odesłać dzieci do domów. Przy końcu lipca omal nie zostałem zastrzelony na ulicy Kawęczyńskiej. Była to wzmożona czujność i nadmierny strach wartowników koszar. Uciekając przed kulami, wpadłem do przytułku sióstr albertynek, które ukryły mnie pomiędzy staruszkami.

W ostatnich dniach lipca 1944 r. byliśmy w stanie alarmu Armii Krajowej. Nie wolno nam było wyjść z domu bez pozostawienia aktualnego adresu. Jeżeli wychodzę na działkę lub do ZOO, to zostawiam o tym wiadomość u sąsiadek. Byłem sam, ponieważ żona i synek przebywali od tygodnia u naszych znajomych, państwa Lejmbachów w Skoroszach, na przedmieściach Ursusa. Jednego dnia każą pozostać w domu gotowym na każde wezwanie, innego zwalnając z czuwania. Stan alarmu odwołany. Wciąż jednak pozostajemy w gotowości mobilizacyjnej, aż do dalszych rozkazów. W niedzielę 30 lipca przyjechała do mnie Tola, opowiadając o Grzesiu i o tym, co porabiają u Lejmbachów. Zjedliśmy wówczas razem obiad i odprowadziłem ją do tramwaju, ponieważ nie chciała pozostawiać dziecka samego na dłużej. Ulice Pragi były bardzo ożywione. Na bezchmurnym niebie krążyły wysoko dwa samoloty sowieckie. Uparcie patrolowały okolice Grochowa i Saskiej Kępy. Niemiecka obrona przeciwlotnicza reagowała słabo. Tola powiedziała do mnie: *Dobrze, że już jadę, bo Grzesio nie lubi pozostawać beze mnie!* Tramwaj był bardzo zatłoczony i ledwo ją doń wepchnąłem. Zginęła w gęstym tłumie pasażerów i nawet nie miałem możliwości pomachać jej na do widzenia. Po odjeździe tramwaju nr 25 poszedłem na Otwocką. W służbowym domu nauczycielskim nie było nikogo, a dwa wielkie gmachy szkolne stały wydłupione. Nieliczni Niemcy, bez kurtek mundurowych, kopali ziemię w ogródkach przed szkołami, grabili i sadzili kwiaty, podlewając je wodą. Jakaś młoda niewiasta powiedziała do mnie: *Niech Pan zobaczy! Mówią, że to już ich koniec, a oni kwiatki sadzą. Żeby tak na ich grobie mogła sadzić te kwiatki!*

W bramie domu przy ul. Siedleckiej 29 wciąż tkwił wartownik z rozpylaczem, jednak nie wylegitymował mnie, kiedy wchodziłem. Porucznik inżynier Raczyński (dowódca mego plutonu AK) oznajmił mi, że jest spokojnie, ale że w każdej chwili jest gotowy do obsadzenia szkoły – jeżeli taki rozkaz otrzyma lub jeśli Niemcy opuszczą szkołę. Poprosiłem, aby mnie zwolnił, ponieważ jutro chcę pojechać do Rodziców i siostry, do Radzimina. Powiedział, że jest jakby spokojniej, nie ma stanu alarmowego i dlatego zezwala na tę podróż. Mam się zameldować po powrocie.

Wczesnym rankiem w poniedziałek poszedłem na dworzec kolejki mareckiej, który wówczas znajdował się za wiaduktem przy ulicy Radzymińskiej. Miałem tam znajomych, mego szwagra Leona, kolejarzy. Tu dowiedziałem się, że kolejka nie kursuje od kilku dni, ale dwa czy trzy wagony odjadą do Strugi po zapas materiałów pozostawionych dla pracowników drogowych. Dzięki protekcji udało mi się odjechać tym pociągiem. Nie pamiętam, gdzie mnie wysadzono – w Markach, czy też w Strudze. Dalej ruszyłem pieszo. Był upalny lipcowy dzień, a droga do Radzimina – kompletnie pusta. Po kilku kilometrach marszu, zobaczyłem na opustoszałej drodze dziwne zjawisko. Był to tabor wypełniony po brzegi mężczyznami, kobietami, dziećmi oraz dobytkiem załadowanym w nadmiarze. Wszystko to wydawało ogromny hałas, ale nie reagowało na samotnie wędrującego mężczyznę. Część z tych ludzi była uzbrojona w karabiny i automaty. Po odgłosach dobiegających z wozów domyśliłem się, że jest to tabor uciekających przed bolszewikami volksdeutschów oraz ruskich związanych z armią Własowa. Po przejeździe tej rozwrzeszczanej hołoty wyszedłem na środek szosy, aby lepiej obserwować to, co mogło wydarzyć się przede mną. W dolinie Czarnej Strugi ujrzałem zaporę przeciwczołgową zespaną ze skrzyżowanych szyn kolejowych. Tu ruch był nieco większy i dzięki temu kilkakrotnie korzystałem z możliwości podwiezienia na chłopskich furmankach, jadących do domu lub na pole. Dawało to krótki odpoczynek na upalnej drodze. Mijały nas kolejne tabory, głównie uciekających Ukraińców - kolaborantów. Ci mogli być groźni, ponieważ wystraszeni strzelali w powietrze – dla dodania sobie odwagi. Wczesnym popołudniem dotarłem do domu mej siostry Janki. Rodzice i Janka byli ogromnie zdziwieni moim przybyciem, ale z ogromnym zainteresowaniem dopytywali się, co u nich w domu na Nowym Bródnie i co na Nieporęckiej, co z Tolą i Grzesiem.

Namawiali mnie, abym poszedł do Radzymina, gdzie na rynku, wczoraj wieczorem, Niemcy spalili trzy sowieckie czołgi. Ze wschodu szła sowiecka kolumna pancerna i w zasadzce odparto jej atak na miasto. W sąsiedniej wsi ruscy chwalili się, że idą *na Warszawu* i że nikt ich w tym nie powstrzyma. Znów bolszewicy pod Radzyminem, tym razem oczekiwani. Paradoks historii! Musiałem jednak tego samego dnia powrócić na Pragę. Po zjedzeniu obiadu i wymoczeniu nóg w ciepłej wodzie, rozpocząłem powrót do domu. Szedłem kompletnie pustą szosą. Czasami tylko przemykał nieśmiało chłop z furką, z czego korzystałem dla podwiezienia. Prace żniwne na polach trwały i chłopci – zapytywani, czy zdają sobie sprawę z niebezpieczeństw – mówili: *A kto, panie, da wam jeść w miastach? Musimy robić swoje!* Za doliną Czarnej Strugi przeżyłem trudną chwilę. Za zaporami przeciwczołgowymi wyszedł ze stogów słomy Niemiec z pistoletem automatycznym w rękę, wrzeszcząc: *Halt! Halt!* Emocje opadły, kiedy zbliżył się do mnie. Był to chłopak 17-18 letni, w za dużym mundurze i zbyt obszernym hełmie, cały drżący, pytający: *Gdzie są ruscy???* Nawet nie wywołał we mnie nienawistnej satysfakcji, raczej budził litość i żal, jaką może wywołać tylko przerażone, zagubione dziecko. Powiedziałem, że ani ruskich, ani Niemców w Radzyminie nie ma. Był zmęczony fizycznie i psychicznie; powlókł się ze swoim karabinem do kopy słomy i zagrzebał się w niej.

Zmordowany dobrnąłem wieczorem na Otwocką i od razu wstąpiłem do Raczyńskiego. Gmachy szkół były opuszczone przez Niemców. Obsadziliśmy gmach naszymi ludźmi, aby zapobiec rozkradaniu sprzętu. Było to wyposażenie koszar wojskowych, jakie tu od października 1939 r. urządzili okupanci. Z radością oznajmiono mi, że w zakamarkach udało się znaleźć kilka karabinów, amunicję, a nawet granaty.

Wieczorem, po umyciu się i krótkim odpoczynku, poszedłem na drugie piętro do Wojtyrów. Mieli oni schowane radio, co groziło karą śmierci. Do audycji było trochę czasu, więc ustawiliśmy polskojęzyczną radiostację bolszewików, pracującą gdzieś koło Warszawy. Odbiór był znakomity. Spiker nawoływał do powstania przeciw Niemcom, do bicia ich ramię w ramię z bohaterską Armią Czerwoną. *Niech pan posłucha – mówiła Wojtyrowa – oni od kilku dni piekłą się i pienią, że Armia Krajowa stoi z bronią u nogi, że w ten sposób pomaga faszystom, kiedy trzeba ich bić tym,*

co ma się pod ręką! Audycje te zamilkły, jak uciał, natychmiast po wybuchu powstania.

1 sierpnia, we wtorek, poszedłem rano na działkę, do ZOO. Był piękny, słoneczny, spokojny dzień letni. Z obu stron mostu kolejowego krzżeli się na wieżach żołnierze Wehrmachtu, ładując działka przeciwlotnicze. A więc aktywna obrona mostów trwała. Na działkach nie było ludzi. Zebrałem trochę warzyw i objuczony ruszyłem do domu. Po drodze przeczytałem wielki afisz z zarządzeniem gubernatora Fischera, wzywający 100.000 polskich mężczyzn do stawienia się na pl. Piłsudskiego z łopatami – do prac ziemnych w obronie Warszawy przed bolszewikami. Niedawna likwidacja Żydów także rozpoczęła się od wywożenia mężczyzn „na roboty”... To musi być moment dopingujący do powstania. Było jasne, że zgłosi się niewielu, jeśli ktokolwiek, ale taka sytuacja zmusi Niemców do reakcji, być może drastycznych. W okolicy domu księży emerytów przy ul. Ratuszowej, położonym obok kościółka p.w. Matki Boskiej Loretańskiej, był niesamowity ruch. Niemcy już dawno wyrzucili stąd starców, duchownych na emeryturze i urządzili szpital dla oficerów. Teraz wyprowadzali się, a męty z marginesu społecznego „czyścili” gmach ze wszystkiego, co ruchome i nie tylko. Pomyślałem sobie, że widocznie jakaś komórka miejscowej AK nie dopatrzyła zabezpieczenia obiektu przed takim losem. Około 11.30 rozległy się syreny alarmu przeciwlotniczego. Pichciłem sobie skromny obiad. Jakieś placki kartoflane, trochę pomidorów z działki, kiedy usłyszałem za drzwiami szybkie kroki. Zapukano do drzwi. Stał w nich młody, szczupły, wysoki chłopak w jasnym płaszczu i berecie na głowie, znany mi z widzenia. Nie był to nasz, mój uczeń, ale często widywałem go spotykającego się po bramach z naszymi chłopakami. Wyprężony zameldował: *Panie profesorze! Zgodnie z rozkazem dowódcy kompanii proszę o przekazanie mi kluczy do szkoły na Kawęczyńskiej i zgłoszenie się na zbiórkę plutonu o godzinie 16.30 w szkole przy Otwockiej!* W tej chwili odstaawiłem z ognia niedopieczone placki, zostawiłem klucze od mieszkania pani Stabrowskiej i poszedłem za nim do szkoły. Otworzyłem szkołę i niebawem zaroilo się w niej od chłopców i dziewcząt. Większość była uzbrojona, ale było to marne uzbrojenie. Nakładali białoczerwone opaski z napisem AK i orłem polskim. Tak więc po wielu, zbyt wielu latach, znów zobaczyłem polskich żołnierzy. Byli śmiali, młodzi i piękni. Jakże piękni i jakże kochani!

Wybiegłem, aby zawiadomić o zbiórce Franciszka Pecka, woźnego szkoły, żołnierza naszego plutonu. Mieszkał na Kowieńskiej. Ruch był ogromny. Masa młodych ludzi szła szybkim krokiem ulicami. Widać było, że dzieje się coś nadzwyczajnego. Pomyślałem, że musieli to także widzieć Niemcy. Na ul. Wileńskiej mnóstwo młodzieży. Kryli się po bramach z drabinami, siekierami, łomami, niektórzy z bronią. Domyślałem się, że będą atakować Dyрекcję PKP na Wileńskiej, róg Targowej. *Boże, Boże – myślałem – to już za chwilę nastąpi, za chwilę skończy się niewola! Kto przeżyje wolnym będzie, kto umiera wolnym już!*

Powstanie na Pradze wygasło w ciągu dwóch, może trzech dni. Ludzi było mało, fatalnie lub wcale nieuzbrojonych. Praga stanowiła przedpole frontu i tu nagle okazało się, że – mimo pozorów – Niemców jest wielu i to znakomicie uzbrojonych. Prawdę mówiąc, chwała Bogu, że powstanie szybko tu wygasło, bo zarówno straty w ludziach, jak i straty materialne były niewielkie.

Najgorsze zaczęło się w końcu sierpnia. Z oddali dobiegały odgłosy bitwy pancерnej w okolicach Radzimina i bliżej. Niemcy zorganizowali gigantyczną operację wyłapania i wywiezienia wszystkich mężczyzn z terenu Pragi w wieku od 16 do 60 lat. Operacja ta była dokonywana z niemiecką dokładnością. Uciekałem przed branką na Bródno. Ulice były puste. Dotarłem, biegnąc od bramy do bramy, do tunelu kolejowego na końcu ul. 11 Listopada i początku ul. Odroważy. Poprzez teren zniszczonego kirkutu żydowskiego dotarłem do bramy Cmentarza Bródnowskiego, od strony ul. Świętego Wincentego. Tu uderzył mnie potworny zaduch rozkładających się zwłok ludzkich. Przed drewnianym kościołkiem cmentarnym leżały stosy niepogrzebanych, gnijących trupów. Część z tych ciał, głównie mężczyzn, zapewne rozstrzelanych przez Niemców, nosiła ślady kul. Przemykałem się między grobami, jak najdalej od alejek. Kryli się tu ludzie. Mówili, że istotnie Niemcy rozstrzelują mężczyzn, których wyciągnęli z kryjówek.

Opłotkami Nowego Bródna i Pelcowizny dotarłem do Żerania, gdzie Stasięk, mój brat, prowadził niewielki zakład fryzjerski. Posiliłem się u nich. Doszliśmy do wniosku, że poruszając się razem (dwóch młodych mężczyzn) mamy mniejsze szanse uniknięcia łapanek. Poszedłem do ciotki Nowakowskiej, siostry mojej Mamy, w Piekielku. To zostałem pojmany, w dniu 10 września, a więc na cztery dni przed wejściem wojsk sowieckich i polskich na Pragę. Obława była tak szczelna,

tak dokładna, że nikt nie ocalał. Ukrywających się w piwnicach, dołach i innych zakamarkach mordowano, wrzucając do nich granaty. Grupę kilkuset mieszkańców Piekielka i okolic, w tym mnie, wywieziono do Niemiec poprzez obóz przejściowy na terenie twierdzy zakroczymskiej. Z tego, co wiem, jestem jednym z nielicznych, którzy przeżyli ów koszmar. Ludzi na ogół wysyłano do obozów koncentracyjnych, pracujących wciąż pełną parą jako fabryki śmierci. Przeżyłem cudem, ponieważ w czasie transportu, już na terenie Niemiec, na pewnej stacji (w czasie selekcji więźniów), wybrano mnie pośród innych, którym gorzej się powiodło, do pracy niewolniczej. Uratowała mnie mocna budowa ciała, obiecująca wydajną pracę niewolnika. Chwalić Boga, że wszystko to już się skończyło. Kiedy było mi ciężko, zawsze powtarzałem sobie: *Władziu, może być gorzej!* To dobra formuła na przetrwanie!

Kto zaś dosmażył i – być może – zjadł moje placki kartoflane, nie dowiedziałem się nigdy, bowiem do domu wróciłem dopiero po dwóch latach obozu niemieckiego. Potem, po wyzwoleniu przez Amerykanów, byłem zastępcą komendanta obozu dla wyzwolonych jeńców, wykładałem język polski w Polskim Liceum w Lipstadt. Wróciłem do kraju w lipcu 1946 r., przywożąc ze sobą grupę kilkudziesięciu maturzystów. Zdawali maturę w pięknych, czystych, jasnych pomieszczeniach byłego gimnazjum niemieckiego. Uznałem, że po tej morderczej wojnie, po zagładzie tak wielkiej części inteligencji polskiej, są oni ziarnem, które da plon z pracy swych umysłów dla Polski. Każdej Polski, jaką by ona nie była.



Władysław Janczewski –
po przejściu na emeryturę w roku 1975

Posłowie

Wspomnienia te spisałem w roku 1957. Spodziewam się zarzutów, że polonistę stać jest na napisanie epopei, że praca ma charakter szkicowy, zawiera liczne niedomówienia, słabą kompozycję i zapewne potknięcia stylistyczne. Kiedy kończę te impresyjne wyznania, widzę ich niedostatki, potrzebę rozszerzeń i uzupełnień. Uznałem jednak, że warto zostawić coś, co byłoby swego rodzaju zeznaniami świadka, obserwującego pewną grupę nauczycieli w czasie okupacji niemieckiej w latach 1939–1944. Tę kartę historii naszej szkoły i Związku Nauczycielstwa Polskiego zniekształcono.

W grudniu 1948 r., na tak zwanym kongresie zjednoczeniowym partii, występuje Halina Krysanka, przedstawicielka Związku Młodzieży Polskiej, następnie wieloletni pracownik etatowy administracji partyjnej PZPR. Padają słowa: *Na lekcjach w Liceum Władysława IV ksiądz (sic!) Usarek krytykuje uchwały III Plenum*

PPR-u. Po tej prowokacji dyrektor Usarek zostaje nie tylko zostaje usunięty ze szkoły, ale też szykanowany do tego stopnia, że koledzy dyrektorzy ze szkół dla pracujących zatrudniają go pod innym nazwiskiem, aby mógł zarobić niewielką sumę na skromne życie. Wprowadza się zakaz zatrudniania go w szkolnictwie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Po październiku roku 1956 rehabilituje się dyrektora, ale do swej ukochanej szkoły – Liceum Władysława IV – już wrócić nie może. Ma zdrowie zniszczone napięciem lat okupacji, obozem koncentracyjnym i stalinowskimi represjami lat powojennych. Umiera 11 stycznia 1964 r., na trzeci z kolei zawał serca. W ostatni wieczór swego życia mówi do ukochanej córki Krystyny: *Gdybyś kiedyś o mnie coś napisała, napisz tylko: ZAWSZE POSŁUSZNY ŚWIĘTEMU PRAWU MIŁOŚCI OJCZYZNY!*

I pomyśleć, że gdyby taki Usarek urodził się w Francji lub Holandii, doczekałby się zapewne pomnika w swojej dzielnicy, jakaś ulica nosiłaby jego imię. Temu zasłużonemu Człowiekowi nie poświęcono u nas nawet tablicy – imiennej tablicy upamiętniającej jego postać i jego dokonania. Nie ma jej nawet w macierzystej szkole, która Mu tyle zawdzięcza, w Liceum im. Króla Władysława IV. Czy to zemsta stalinistów i hitlerowców zza grobu?

Warszawa, 1965 r.

**Mennica Państwowa
– oczami
jej mieszkańca
i pracownika
w latach 1939–1944**

Tadeusz Kulbicki

*Okruchy wspomnień
z najmielszych lat mojego życia,
Rodzicom swoim poświęcam –*

Autor

Genezą sprawczą opisanego wspomnienia z lat dziecińczych i młodzieńczych był konkurs ogłoszony przez Towarzystwo Przyjaciół Pragi w 1996 r. Wtedy to za namową kolegów, rodowitych prażan, przeląłem na papier kilka czy kilkanaście wydarzeń z mojego życia, związanych z Pragą. Były to wspomnienia związane głównie z miejscami zamieszkania, nauki, zabaw i rozrywek. Rodząca się nostalgia za minionymi latami dzieciństwa i młodzieńczymi, wywołana tymi wspomnieniami, zrodziła pomysł, ażeby szerzej wydobyć z zakamarków pamięci te zdarzenia, które szczególnie związane są z Pragą, ale tak naprawdę z unikalnym praskim zakładem przemysłowym, jakim niewątpliwie była zlokalizowana tam Mennica Państwowa.

Zapiski te pozwalają poznać życie Mennicy Państwowej w latach trzydziestych, tuż przed wojną, widziane oczami dziecka, a potem w czasie okupacji i w okresie tuż powojennym, postrzegane już przez dojrzewającego młodzieńca. Nie mają one ambicji układania się w chronologiczną kronikę tych lat, ale przestrzegają w ogólnym zarysie pewnej kolejności wydarzeń. Są to raczej luźne opisy zdarzeń, które najbardziej i najgłębiej wryły się w pamięć autora. Nie sposób było tu uniknąć pewnego emocjonalnego zaangażowania, gdyż niektóre z nich głęboko i osobiście dotyczyły autora i jego rodziny.

Nie będą to więc suche, kronikarskie zapisy. Czytelników szukających wyłącznie opisów faktograficznych i historycznych, a nie osobistych impresji autora, odsyłam do znakomitej książki inż. Władysława Terleckiego pt. „Mennica Warszawska”, wydanej przez Ossolineum w 1974 r., o niestety już wyczerpanym nakładzie i możliwej do zdobycia tylko w antykwariatach. Ma marginesie – książka warta wznowienia, co gorąco polecam uwadze obecnego Zarządu Mennicy Polskiej S.A.

Wyrażam nadzieję, że znajdzie się grupa osób, która z zainteresowaniem przeczyta te wspomnienia, a może nawet będą i tacy, którzy zechcą do tych zapisków dołączyć także własne materiały w postaci dokumentów, zdjęć czy osobistych notatek. Sądzę, że Towarzystwo Przyjaciół Pragi, a może nawet i Zarząd Mennicy Polskiej, takie materiały przyjąłoby z wdzięcznością. Warto bowiem ocalić to, co jeszcze można zachować dla przyszłych pokoleń, a co przez grzech zaniechania może całkowicie zaginąć w mrokach niepamięci i zapomnienia.

Autor

Kapitulacja Warszawy była dla mieszkańców ulicy Markowskiej szokiem i wstrząsem – takim, jak dla wszystkich mieszkańców stolicy. Po euforii końca lat trzydziestych i hasłach „silni, zwarci, gotowi”, widok żołnierzy Wehrmachtu na ulicach Warszawy wydawał się koszmarnym snem. Niestety, nie był to sen, ale twarda rzeczywistość.

Na początku października 1939 r. zaczynają wracać z wojennych tułaczek pracownicy Mennicy. Niestety, nie wszyscy. Niektórzy zaginęli, inni dostali się do niewoli, będąc uprzednio żołnierzami Wojska Polskiego, powołanymi w ramach mobilizacji z końca sierpnia 1939 r. Dyrekcja Mennicy Państwowej zjawia się w komplecie. Pada pytanie – co dalej? Już w połowie października pojawia się komisaryczny zarządca, tzw. Treuhänder – Niemiec o nazwisku Eugen Reinhardt. Jest on jednocześnie zarządcą Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych przy ulicy Sanguszki, gdzie zresztą ma swoją stałą siedzibę, a do Mennicy Państwowej, na Markowską, przyjeżdża najpierw codziennie, a w latach późniejszych raz, dwa razy na tydzień. O tym, jaki był to człowiek i jak się układała swoista z nim współpraca, napiszę nieco później.

Mennica powoli dźwigała się z wojennych zniszczeń. Ponieważ nie było możliwe podjęcie jakiejkolwiek produkcji monet z powodu przysypania głównego wydziału produkcyjnego (jakim była tłocznia) gruzem z wyższych kondygnacji, pierwszą produkcją, jaką podjęto, były metalowe stemple urzędowe dla jednostek administracyjnych i Generalnej Guberni (jak określono tereny państwa polskiego, okrojone zarówno na rzecz Rosji Sowieckiej, jak i Rzeszy Niemieckiej). Cały czas trwało też usuwanie gruzów ze zniszczonych wydziałów, a na wiosnę 1940 r. rozpoczęto odbudowę zniszczeń – efektów bombardowań. Odbudowano wydział licznicy menniczej nad tłocznia, pomieszczenia socjalne (łazienki, szatnie, toalety) oraz zorganizowano nowoczesną, jak na ówczesne czasy, stołówkę pracowniczą. Ta ostatnia funkcjonowała przez zimę 1939/1940 w pomieszczeniach zastępczych i była dla sporej liczby pracowników bardzo ważnym źródłem żywienia, gdyż wielu z nich wróciło do domów zrujnowanych, bez działającej jeszcze sieci gazowej czy elektrycznej. Jak wiadomo, ta zima była jedną z najmroźniejszych. Braki opału, energii elektrycznej, bieżącej wody powodowały, że warunki życia były bardzo ciężkie. Jednak nie pojawiły się jeszcze inne zagrożenia życia – łapanki, wywózki na roboty przymusowe do Niemiec, czy masowa eksterminacja narodu w obozach

koncentracyjnych w Oświęcimiu, Brzezince, Majdanku. To, co najgorsze, miało nastąpić później.

Zarówno Dyрекcję Mennicy, jak szeregowych pracowników, zadziwił pośpiech, z jakim niemiecki zarządca prowadził odbudowę zniszczonych wydziałów produkcyjnych fabryki. Wkrótce jednak dowiedzieliśmy się, jakie to przyczyny powodowały, że zakład szybko i sprawnie odbudowywano. Cała tajemnica tkwiła w potrzebach surowcowych Niemiec, zwłaszcza w zakresie metali używanych w przemyśle zbrojeniowym. Chodziło przede wszystkim o miedź i jej stopy (brąz) oraz niezbędny przy produkcji wysokogatunkowych stali – nikiel. Odbudowę zakończono pod koniec lata 1940 r. i natychmiast przystąpiono do bicia monet ze stopu cynkowego. Monety z brązu – najniższe nominały od jednego grosza do pięciu oraz monety ze stopu niklu – od 10 groszy do jednego złotego, były przez Niemców wychwytywane z obiegu i wywożone jako surowiec do niemieckich hut i fabryk, głównie do celów zbrojeniowych. Monet srebrnych, od czasu zakończenia działań wojennych we wrześniu 1939 r., praktycznie w obiegu nie było. Przeważnie były przechowywane przez osoby prywatne i wypuszczane w obieg tylko w wyjątkowych sytuacjach. Produkcja bilonu ze stopu cynku nie mogła dać pełnego obciążenia całej fabryce i stąd zaistniała konieczność redukcji załogi. Odbywało się to stopniowo, bez większych wstrząsów, chociaż dla niektórych był to szok, kiedy – po kilkunastu latach pracy – nagle się ją traciło. Istniały jeszcze dodatkowe powody, dla których rozstanie pracownika z Mennicą było dlań swoistym dramatem. Mennica została przez Niemców zaliczona do tzw. zakładów specjalnych. Niosło to ze sobą pewne korzyści. Pierwszą korzyścią było to, że obok wynagrodzenia pracownik dostawał tzw. „deputat” w postaci dwóch litrów wódki na miesiąc. Oryginalna, monopolowa wódka była powszechnie używaną walutą. Była przy tym znacznie wyżej ceniona od pospolitego bimburu czy gorzały domowej roboty, często dla uzyskania mocy doprawianej karbidem. Oryginalne opakowanie, etykieta, zalakowany korek, stempel PMS – to było cenione i dlatego bardzo łatwo było taką wódkę sprzedać lub wymienić na potrzebny akurat towar. Wódczane deputaty w fabrykach mocno nadzorowanych przez okupanta nie były bynajmniej wyrazem troski o poziom życia załóg, przy niskim i jakościowo marnym poziomie zaopatrzenia w żywność. To był element świadomego rozpijania społeczeństwa polskiego, aby jak najszybciej

sprowadzić Polaków do lansowanej rasistowskiej doktryny istnienia „Untermenschów”, czyli „podludzi”, która jednocześnie zakładała istnienie grupy „Übermenschów”, czyli „nadludzi” – w tym oczywiście klasycznych nordyków – Niemców. Niemniej, przyniatająca większość pracowników Mennicy traktowała ów deputat wódczany jako element rzeczowy wynagrodzenia i mało kto „przepijał” deputat, jako że załoga mennicza, starannie jeszcze przed wojną kompletowana, prezentowała na ogół wyższy od przeciętnego poziom zarówno przygotowania zawodowego, jak i ogólny poziom intelektualny i moralny. Drugim cennym dodatkiem do zatrudnienia w Mennicy był Ausweis, czyli rodzaj legitymacji służbowej, funkcjonującej obok powszechnie obowiązującej formy dokumentu stwierdzającego tożsamość, jakim była Kennkarta, czyli „karta rozpoznawcza”, wprowadzona przez Niemców w miejsce przedwojennych dowodów osobistych. Ausweisy, wydawane przez kierownictwa fabryk nadzorowanych przez Niemców, miały przez długi czas moc chroniącą przy ulicznych łapanekach. Większość żandarmów, żołnierzy Wehrmachtu czy formacji SS-Waffen, stanowiących personel obław i łapanek, do późnych lat czterdziestych, to jest do lat 1943/1944, honorowała te legitymacje. Jednakże zdarzały się i takie przypadki, że niemiecki żandarm dał zarówno Kennkartę, jak i Ausweis i brutalnie wpychał człowieka do ciężarówki zwanej wówczas powszechnie „buda”. Generalnie trzeba jednak przyjąć, że Ausweis chronił przed łapanką i wywózką. Kolejnym przywilejem cenionym przez pracowników Mennicy były specjalne kartki żywnościowe na chleb, mięso, tłuszcze czy buraczaną marmoladę. W powszechnym zaopatrzeniu przydziały artykułów na kartki były mikroskopijne i praktycznie przy tych racjach nie dało się wyżyć. Każdy, kto chciał przeżyć, musiał w różny sposób zaopatrywać się „na boku” – na bazarach, na ulicy, czy poza miastem – bezpośrednio u gospodarzy wiejskich. Wtedy, jak wspomniano wcześniej, cenioną walutą była oryginalna, monopolowa wódka. Pracownicy Mennicy, z chwilą uruchomienia produkcji monet cynkowych i stempli urzędowych na potrzeby jednostek Generalnego Gubernatorstwa, otrzymali – dzięki staraniom dyrekcji – kartki uprzywilejowane wielkością przydziału. Były to kartki wyższej kategorii, określone jako „für schwere Arbeiter” – czyli „dla ciężko pracujących”. Przydziały były nieco wyższe niż na kartkach zwykłych, ale daleko im było do porcji, jakie otrzymywali Niemcy pracujący w jednostkach cywilnych np. Arbeitsamt,

czy też „pół Polacy, pół Niemcy” – jak określano zapisanych na specjalnych listach volksdeutschów i reichsdeutschów. Oni swoje kartki realizowali w wyznaczonych sklepach znanej firmy niemieckiej, dystrybutora środków spożywczych w GG, a mianowicie placówkach „Julius Meinl u. S.” (Juliusz Meinl i Synowie).

O podziemnej działalności załogi Mennicy w latach 1939-1944 właściwie wiadomo niewiele, choć nieomal natychmiast po wkroczeniu Niemców do Warszawy przystąpiono do działalności konspiracyjnej. Wynikało to z faktu, że ogół pracowników był związany ideowo z przedwojenną opcją niepodległościową, głównie legionową. Wskazywała na to orientacja szeroko pojętego kierownictwa Mennicy, istnienie formalne drużyny POW „Strzelec” złożonej z pracowników, odbywającej regularne spotkania, ćwiczenia, aktywnie włączającej się w akcje polityczne na zewnątrz zakładu, jak np. wybory czy też uroczystości rocznicowe. Kilku członków kierownictwa Mennicy było oficerami rezerwy i to właśnie oni nawiązali szybko kontakt z formującym się ZWZ (Związek Walki Zbrojnej), organizacją będącą załącznikiem późniejszej Armii Krajowej. Pierwsze praktyczne działania grupy konspiracyjnej polegały na zorganizowaniu podrobionych dokumentów tożsamości dla osób, które ze względu na udział w kampanii wrześniowej oraz na posiadane stopnie wojskowe – oficerskie i podoficerskie – niechybnie byłyby internowane i osadzone w oflagach i stalagach. Głównym animatorem działań konspiracyjnych był inż. Adolf Zajączkowski – chemik, kierownik laboratorium menniczego, wielki patriota, aresztowany w 1942 r. i stracony na Pawiaku. Z czasem działania grupy konspiracyjnej były coraz bardziej zorganizowane i rozszerzane. W wydziałach produkcyjnych Mennicy wytwarzano części do pistoletu automatycznego typu sten – wzór angielski – oraz kilka drobnych elementów zapalników do granatów zwanych „sidolówkami”. Dla niewtajemniczonych trzeba dodać, że przed wojną znakomitym środkiem do czyszczenia domowych przedmiotów ze szkła i metali był płyn „Sidoł”, sprzedawany w metalowych butelkach, które żywo przypominały granaty zaczepne typu „filipinka”. Produkcja „sidolówek” odbywała się w kilku miejscach w Warszawie i tam były dostarczane te elementy. Części do automatów typu sten były wynoszone przez wtajemniczonych pracowników po kilka sztuk w kieszeniach albo w torebkach na narzędzia, jakie każdy rower zwykle miał przytroczone do siodełka. Trzeba dodać, że do pracy przyjeżdżała

na rowerach spora grupa pracowników. Na terenie Mennicy były nawet specjalne wiaty do parkowania. Rower był bardzo popularnym środkiem lokomocji, ponieważ pracownicy tej fabryki już przed wojną należeli do elity osób zarabiających w zakładach przemysłowych branży metalowej. Wyższe przeciętne zarobki w Warszawie uzyskiwali tylko pracownicy zakładów zbrojeniowych np. P.Z.Inż. czy zakładów lotniczych PZL. Konspiracyjna grupa w Mennicy skoncentrowała się jednak na „produkcji” lewych Kennkart i Ausweisów dla osób zagrożonych lub nawet już poszukiwanych przez gestapo. W fałszywe dokumenty, acz na oryginalnych blankietach, dostarczanych przez „zaprzyjaźnioną” grupę konspirantów z PWPW (Państwowa Wytwórnia Papierów Wartościowych) z ul. Sanguszki, zostało wyposażonych także kilka osób pochodzenia żydowskiego, głównie inteligencji i wolnych zawodów, co uchroniło ich przed koniecznością przeniesienia się do getta, a tym samym przed niechybną zagładą. Współpraca z grupą konspiracyjną z PWPW polegała na zwartej wymianie. Mennica, jako jedyny uprzywilejowany wytwórca stempli (pieczęci) urzędowych dla jednostek formalnie działających w różnych sektorach życia publicznego, przekazywała duplikaty pieczęci z hitlerowską „gapą” według aktualnych potrzeb, np. pieczęcie Arbeitsamtu czy jednostek samorządowych (starostw), natomiast od grupy działającej w PWPW otrzymywano oryginalne blankiety Kennkart i Ausweisów. Doszło nawet do tego, że preparowano Ausweisy nieistniejących zakładów, pracujących rzekomo na potrzeby Wehrmachtu czy też ważnych instytucji niemieckich. „Produkowano” różne zaświadczenia, np. wystawione przez szpital zakaźny – o przebytych tyfusie i wezwaniu na kontrolę medyczną. Takie zaświadczenie, oczywiście pisane po niemiecku, działało skuteczniej, aniżeli najmocniejsze Ausweisy. Jeśli do tego dochodziła ogolona „na zero” głowa, skutek był murowany, jako że chorym na tyfus – zarówno mężczyznom jak i kobietom – strzyżono włosy do gołej skóry. Niemcy panicznie bali się tyfusu i był to najlepszy środek odstrasżający. I takim to sposobem „gapa”, czyli znienawidzony symbol hitleryzmu, umieszczona na podrabianych dokumentach, stawała się – paradoksalnie – najlepszym puklerzem ochronnym dla Polaków. Dowodzi tego także przedziwna historia szyldu, jaki był umieszczony przy wejściu do Mennicy Państwowej przy ul. Markowskiej 18. Ów nieduży szyld – tablica odlana z brązu, opatrzona godłem państwowym z napisem „Mennica Państwowa” –

utrzymał się przy wejściu na teren fabryki do stycznia 1940 r. Było to o tyle zaskakujące, że przez okres kilku miesięcy, a już na pewno po Nowym Roku 1940, na straży Mennicy stał oddział złożony z niemieckich Wachmannów Wehrmachtu, niezależnie od trzech normalnych zmian cywilnych wartowników, z sekcijnymi warty na czele. Widok był szokujący, gdy przy tablicy z godłem Rzeczypospolitej, czyli orłem w koronie i z polskim napisem „Mennica Państwowa”, stał na warcie niemiecki żołnierz uzbrojony po zęby. Im jakoś to nie przeszkadzało. Żywoć tablicy skończył się dopiero podczas mroźnej i śnieżnej zimy 1939/40, kiedy to samochód komisarzycznego zarządcy niemieckiego – E. Reinhardta, utknął w ogromnej zaspie przed bramą wjazdową. Tego dnia przyjechał sporo wcześniej i ekipa porządkowa pracowników, tzw. placowych, która trochę zamarudziła przy oczyszczaniu dziedzińców fabrycznych, nie zdążyła oczyścić wjazdu do Mennicy. Treuhänder E.Reinhardt wyszedł na jezdnię przed bramą i skierował się do wejścia w budynku wartowni. Jakie było zaskoczenie, kiedy ujrzał za salutującym mu Wachmannem polski napis i godło państwowe. Zrobił oczywiście piekielną awanturę i kazał natychmiast ową tablicę zdjąć. Wydał także polecenie, ażeby w ciągu kilku dni sporządzić nową tablicę z brązu, z hitlerowską „gapą” na czołowym miejscu i napisem w języku niemieckim, alfabetem gotyckim: „Staatliche Münze – Warschau”. Polecenie trzeba było wykonać i w ciągu zaledwie kilku dni odlano z brązu tablicę (dwukrotnie mniejszą) z napisem, jaki nakazał zamieścić Reinhardt. Tablicę przymocowano przy wejściu, na miejscu poprzedniej. Ponieważ była dwukrotnie mniejsza, co było celowe, aby nie eksponować symbolu hitlerowskiej buty, czyli „gapy”, wyglądała niepoważnie, wisząc pośrodku jasnej plamy po poprzedniczce, okolona dziurami w murze po kółkach mocujących. Pikanterii tej sprawie dodaje fakt, że w kilka dosłownie dni po zawieszeniu nowej tablicy, władze niemieckie wycofały oddział wartowniczy Wehrmachtu i Mennica zaczęła być strzeżona przez straż przemysłową w prawie niezmiennym od przed wojny składzie.

Odmienne losy stały się udziałem głównego szyldu, czyli tablicy zamocowanej nad wejściem do budynku administracyjnego. Szyld ten, również odlany z brązu, był ogromny, by nie rzec – monumentalny. Była to tablica o wymiarach rzędu półtora metra wysokości i metra osiemdziesiąt szerokości. W jej części centralnej umiejscowiono godło państwowe, poniżej zaś napis: „Mennica Państwowa”. Tablica

umocowana tuż nad głównym wejściem przy pomocy czterech głęboko w mur zapuszczonych sworzni zakończonych ozdobnymi główkami, ważyła około stu pięćdziesięciu do dwustu kilogramów. Jej zdjęcie wiązało się z koniecznością rozkuwania muru, zamurowania dziur i tym podobnych robót. Zdecydowano więc, że tablica zostanie zasłonięta grubą, kilkunasto milimetrową sklejką, pomalowaną na kolor elewacji całego budynku, czyli brunatno-czerwony. Taki bowiem kolor miała większość budynków menniczych, jako że budynki pochodziły z przełomu wieków, nie miały tynkowanych elewacji, a tylko czerwona – z czasem prawie brązowa – cegła wyznaczała kolorystykę obiektu. Innym powodem zdecydowania się na jedynie zasłonięcie, a nie zdejmowanie tablicy, była głęboka, chociaż z perspektywy czasu już wiemy, że zupełnie nieuzasadniona wiara, iż wojna się skończy za kilka miesięcy, kiedy to nasi zachodni alianci ruszą z ofensywą na hitlerowskie Niemcy. Wtedy wiara ta była niepodważalna, a sceptycyzm czy wręcz pesymizm, co do rychłego i zwycięskiego końca wojny, był przyjmowany jako brak patriotyzmu i postawa niegodna Polaka. Zamaskowana tablica przetrwała szczęśliwie całą okupację, łącznie z wysadzeniem w powietrze części budynków fabrycznych przez wycofujące się oddziały niemieckie i została odsłonięta triumfalnie nazajutrz po wyzwoleniu Pragi, to jest 13 września 1944 r. Znaleźli się jednak tacy, których raził orzeł w koronie i proponowali nawet usunięcie tegoż elementu. Na szczęście górę wziął rozsądek i orzeł w koronie pozostał, chociaż powojenne kierownictwo Mennicy w osobach Zygmunta Nowakowskiego – elektryka, i Waleriana Jakubowicza – ślusarza, przewodniczącego rady zakładowej, nie mogło pogodzić się z orłem w koronie, ponieważ – jak mówili – był to symbol burżuazyjnej, wrogiej robotnikom Polski. Tablica nad wejściem przetrwała na pewno do wczesnych lat pięćdziesiątych. Co się z nią stało później – tego nie wiem.

Aby wyczerpać temat tablic urzędowych, nie sposób pominąć jeszcze jednej sprawy związanej z nimi, która brzmi niemal anegdotycznie. Produkcja bilonu ze stopu cynkowego nie dawała Mennicy możliwości uzyskania pełnego obciążenia na wszystkich wydziałach produkcyjnych. Szukano więc za wszelką cenę robót dodatkowych, ażeby obciążyć wszystkie wydziały. Na przykład w ramach dodatkowej produkcji uzyskano spore zamówienie na... pudełka do pasty do obuwia. Pudełka były wykonane ze stopu tego samego co bilon,

ponieważ przez ponowne przetopienie ażurów po wyciętych krażkach uzyskiwano materiał na te wyroby. Mennica dysponowała dość wydajną odlewnią i w miarę nowoczesną walcownią. Pudełka były robione dla znanej warszawskiej firmy, a mianowicie „Dobrolin” [F.A.] i [G.]Pal na Woli. Jednakże po cynkowym bilonie pozostawało coraz więcej odpadów w postaci ażurów. Szukano więc jeszcze innych możliwości ich wykorzystania. Ktoś – dzisiaj już trudno ustalić kto – wpadł na pomysł, że skoro potrafiła mennicza załoga odlewać tablice z brązu (kilka takich wykonano przed wojną dla ważnych instytucji), to może zaproponować Treuhänderowi, aby Mennica miała monopol – taki, jak na pieczęcie urzędowe i suche stemple do dokumentów – także na tablice zawieszane na frontonach oficjalnych instytucji na terenie całego Generalnego Gubernatorstwa. Treuhänder pomysł kupił. Musiał mieć dobre wejścia u Gauleitera Fischera w Warszawie, bo wynik był taki, że Mennica uzyskała formalną zgodę na produkcję tablic – szyldów dla wszelkiego rodzaju instytucji działających w G.G. Projekt plastyczny został ściągnięty z tablic berlińskich, tzn. w części centralnej tablicy umieszczony był duży czarny orzeł z rozpostartymi skrzydłami, trzymający w szponach wieniec ze swastyką w środku, oraz czarne napisy – koniecznie gotykiem. Całość otaczała czarna obwódka, a tło tych tablic było wściekle czerwone. Format w zasadzie nieznormalizowany, wręcz dowolny, z uwagi na różnice w objętości samego napisu. Na próbę wykonano takie tablice dla Mennicy. Uzyskały one akcept i rozpoczęła się produkcja. Różnych urzędów niemieckich w Warszawie i w „stolicy” Generalnej Guberni, czyli Krakowie, było wiele, podobnie w innych miastach, stąd i roboty było sporo. Udało się w ten sposób utrzymać zatrudnienie na niezmiennym poziomie i zapewnić ochronę pracowników przed wywózką do Niemiec, na roboty, a co ważniejsze – nawet przed obozem koncentracyjnym. Tablice na wejściu do wartowni menniczej odcinały się jaskrawo od szarego muru. Wkrótce miało się okazać, co brzmi jak ponury żart historii, że miało to swoje pozytywne skutki. Nasilenie łapanek ulicznych nastąpiło w połowie 1940 r. Związane było to z inwazją na Francję, Belgię i Holandię. Zmobilizowano wówczas kolejne roczniki młodych, a nawet już i nieco starszych Niemców, po czym okazało się, że w niemieckich fabrykach, a także gospodarstwach rolnych pojawiły się poważne kłopoty z siłą roboczą. To spowodowało, że Niemcy sięgnęli w krajach okupowanych po siłę roboczą pod postacią przymusowej

wywózki. Gęsto zaludniona Praga była areną wielu setek akcji niemieckiej policji, wojska i żandarmerii, mających na celu dostarczenie niemieckiej machinie wojennej jak największej liczby rąk do pracy. Dotyczyło to zwłaszcza tej części Pragi, która rozpościerała się w rejonie jej głównych centrów handlowych i komunikacyjnych, jak dworce: Wschodni i Wileński, Bazar Różyckiego i najważniejsza arteria Pragi – ulica Targowa. W tym rejonie łapanek były najczęstsze i miały największy zakres ilościowy, jeśli chodzi o liczbę biorących w nich udział niemieckich oddziałów. Ulice Żabkowska, Markowska, Brzeska były regularnie widownią tego rodzaju akcji, podobnie – przylegająca do Dworca Wileńskiego ul. Białostocka. Wielokrotnie obserwowaliśmy zza wysokiego, ponad czterometrowego ogrodzenia Mennicy, grupki uciekających rodaków i ścigających ich Niemców. Często padały strzały, czasem ktoś ginął, czasem bywał ranny. Ale nigdy nie zdarzyło się, aby ścigający i zatrzymujący Polaków Niemcy próbowali wejść na teren Mennicy, chociaż czasem, narażając siebie samych, mający akurat służbę nasi cywilni wartownicy szybko wpuszczali na teren spore nieraz grupki uciekających osób. Po przeczekaniu łapanek i odjazdu niemieckich „bud” (ciężarówek odwozących złapanych), szczęśliwi uciekinierzy wracali do swoich domów. Obserwacja zachowań niemieckich żołnierzy, żandarmów i Bahnschutzów (straż kolejowa) skłoniła kierownictwo Mennicy do tego, ażeby tę wstydliwą dla nas tablicę z „gapą” i niemieckim napisem jeszcze bardziej wyeksponować. I tak też się stało. W niedługim czasie na murze wartowni będącej wejściem na teren fabryki zamocowano już nie jedną, ale dwie tablice, mocno powiększając ich wymiary. Znienawidzona „gapą” miała teraz ponad pół metra rozpiętości skrzydeł, a cała tablica wymiary metr szerokości na blisko pół metra wysokości. Przykro było nam, Polakom, na to patrzeć i wchodzić przez drzwi „ozdobione” takimi elementami, ale wyższy cel, jaki przyświecał ich założeniu, przesądzał sprawę. Trzeba powiedzieć, że tablice z „gapą” zdały egzamin. Przez cały czas okupacji ani razu – podkreślam, ani razu – żandarmeria, wojsko czy Bahnschutze nie wtargnęli na teren Mennicy w czasie prowadzonych przez nich bądź to obław na handlujących i dojeżdżających na Dworzec Wileński, bądź w czasie łapanek na roboty przymusowe do Niemiec. Tablice były tak wielkie, że dojrzał je z samochodu, wjeżdżając usytuowaną nieopodal bramą, komisaryczny zarządca E. Reinhardt. Jak opowiadał dyrektor Mennicy, inż. L. Zagrodzki,

Reinhardt pochwalił za takie wyeksponowanie fabryki, ale dodał, że rozumie, jakie intencje kierowały pomysłodawcami nowych tablic. Szkop był niewątpliwie inteligentny (był poligrafem z wykształcenia) i trzeba obiektywnie stwierdzić, że szkodliwość jego była znikoma. Nawet można powiedzieć, że był przydatny, chociaż miał w tym swój osobisty interes, o czym napiszemy dalej.

Wspomniałem już, że wszyscy pracownicy Mennicy Państwowej i Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, obok powszechnie obowiązujących Kennkart zastępujących przedwojenne dowody osobiste, posiadali tzw. Ausweisy, czyli specjalne legitymacje stwierdzające zatrudnienie w ważnych dla Generalnego Gubernatorstwa instytucjach i przedsiębiorstwach. Te specjalne legitymacje miały stanowić również pewną, zresztą dość iluzoryczną, gwarancję, że jej posiadacz nie zostanie wywieziony do Niemiec na roboty przymusowe bądź do obozu koncentracyjnego. Iluzoryczną, bo zdarzało się często, iż mimo posiadania takiego dokumentu, jakiś niedouczoney i niezorientowany żołnierz Wehrmachtu czy też świeżo przeniesiony do G. G. żandarm, nie bacząc na „urzędową” moc dokumentu, po prostu darł go na oczach delikwenta i poszturchując kolbą karabinu wypychał do tzw. „budy”, czyli ciężarówki odwożącej złapanych na punkt tranzytowy. Jeden z większych punktów mieścił się w budynku szkoły przy ul. Skaryszewskiej. Lokalizacja taka została podyktowana tym, że szkoła przy Skaryszewskiej to budynek nie tylko obszerny, ale także położony tuż przy Dworcu Wschodnim i jego bocznicach. Tam też trafiała duża część pojmanych w łapankach na ulicach Pragi. Zdarzyło się już w 1940 r., że w czasie pierwszych łapanek, zwłaszcza tych organizowanych przy dworcach: Wschodnim i Wileńskim, w ręce Niemców wpadł pracownik Mennicy dojeżdżający z podwarszawskiej miejscowości. Przypadek sprawił, że był to jeden z grawerów, który akurat pracował nad ważnymi pieczęciami dla urzędu gubernatora m.st. Warszawy, czyli po prostu gubernatora Distrikt Warschau. Oczywiście rozpoczętą przez niego robotę mógł wykonać każdy inny grawer, ale kierownictwo Mennicy postanowiło wykorzystać sytuację i spróbować uratować złapanego przed wywózką, jak również niejako sprawdzić, jakie układy i możliwości ma Treuhänder der Staatlichen Münze – Eugen Reinhardt. Do rozmowy z E. Reinhardtem wydelegowano Kazimierza Kulbickiego, który znał świetnie niemiecki i „rozszyfrował” już trochę psychikę Treuhändera. Przedstawiony mu w cztery oczy

problem Reinhardt przyjął jakby obojętnie, ale wziął dane personalne złapanego i obiecał, że się rozejrzy, co może zrobić. Błysk w jego oczach pojawił się dopiero wtedy, kiedy usłyszał, że rodzina złapanego gotowa jest wyrazić „konkretną” wdzięczność w przypadku pomyślnego załatwienia sprawy. Jakie było zdumienie Dyrekcji Mennicy, gdy już następnego dnia Reinhardt nie tylko zadzwonił, ale przyjechał osobiście na Markowską i powiedział wprost, że on to robi zupełnie bezinteresownie, jednak komendant punktu tranzytowego już rozpoczął rejestrację złapanych i być może takie wykreślenie z rejestru będzie trudne. Ale czego nie robi się dla Parteigenosse – towarzysza partyjnego (E. Reinhardt był członkiem NSDAP), że postara się, pofatyguje, przekona właściwy personel itd. Aby „przekonać” personel zażądał pięciu „górali” (okupacyjne 500 zł miało wizerunek górala) i to natychmiast. Aluzja była jednoznaczna, jak również sugestia, że po zebraniu odpowiedniej kwoty (notabene z funduszków Mennicy, a nie od rodziny pracownika), Reinhardt osobiście „załatwi” sprawę przekazania pieniędzy. Przy tym pierwszym razie nieco się krygował, że jest mu niezręcznie, że zdaje sobie sprawę z pewnego korupcyjnego „smrodku”, ale dla dobra fabryki i dla pilnych potrzeb urzędu Gauleitera Fischera, gotów jest podjąć ten trud. Kopertę wziął, pojechał w południe i za dwie godziny przywiózł człowieka. Oczywiście znów podkreślał „trud”, jaki sobie zadał, ale widać było, że jest przekonany, iż podniósł bardzo swój prestiż wobec członków Dyrekcji, którzy legitymowali się tytułami inżynierskimi, a nawet profesorskimi (np. prof. Janusz Szumski – z-ca dyr. ds. technicznych – metalurg, wykładowca na Politechnice Warszawskiej). Reinhardt był absolwentem Leipziger Hochschule für Maschinenbau. Wiadomym powszechnie było, że łapówka za uwolnienie złapanego z punktu tranzytowego waha się pomiędzy jednym, a trzema „góralami”. Pięć „górali”, rzekomo niezbędne za pracownika Mennicy, to oczywiście lipa. Ile faktycznie E. Reinhardt „dał w łapę” na Skaryszewskiej, wiedział tylko on. Ile zostawił sobie, to także była jego tajemnica. Dalsze lata obaliły mit o nieprzekupności niemieckich urzędników, funkcjonariuszy różnych szczebli, czy też przedstawicieli wojska, żandarmerii, a nawet gestapo. Reinhardt, składając deklarację, że gotów jest pomagać w każdej takiej „trudnej sytuacji”, dawał do zrozumienia, że niemal każdą sprawę da się skutecznie załatwić, jeśli tylko przygotuje się kwotę wyższą od powszechnie znanej taryfy. Trzeba przyznać, że był skuteczny. Udało mu się

nawet oswobodzić aresztowanego dyrektora Mennicy, inż. Ludwika Zagrodzkiego. Treuhänder Eugen Reinhardt przez całą okupację zgarnął sporo grosza, ale i wyciągnął wielu pracowników, nawet już z transportu, ratując ich niechybnie nie tylko od przymusowej pracy w Niemczech, ale i od obozów zagłady. Raz tylko nie udało mu się nic załatwić (choć pieniądze wziął – i to w tym przypadku grube), kiedy w roku 1942 aresztowano grupę pracowników Mennicy z inż. Adolfem Zajączkowskim na czele. Co do inż. Zajączkowskiego, wiadomym było, że tkwi w konspiracji AK-owskiej po uszy. Natomiast obecność kilku pozostałych pracowników w grupie aresztowanych, pod zarzutem działalności konspiracyjnej przeciwko Rzeszy Niemieckiej, była dość problematyczna i zagadkowa. W tym przypadku Reinhardt, można powiedzieć, „zawiódł”, choć i nadzieje na pomyślne załatwienie sprawy były dużo mniejsze. Z tej grupy aresztowanych przeżyły tylko cztery osoby. Jeden z nich, tokarz Roman Grobek-Stachura, wrócił z Oświęcimia już po kilku miesiącach, co było wydarzeniem wprost niewiarygodnym. Jednakże, według nigdy nie potwierdzonych podejrzeń, był on konfidentem gestapo i to on właśnie zadenuncjował tę grupę. Jego aresztowanie miało mu zatem wyrobić alibi wobec środowiska. Jak było naprawdę, tego już dziś nikt nie wyjaśni. Drugi z aresztowanych, który przeżył Oświęcim, to kierowca służbowej limuzyny dyrekcyjnej, Jan Jaroszewicz. Odnośnie tego człowieka też po wojnie toczyły się postępowania wyjaśniające, dotyczące jego postawy w obozie. On i jego rodzina zajmowali na terenie Mennicy mieszkanie służbowe i nie dało się ukryć, że na przykład paczki żywnościowe przesyłane mu przez rodzinę były adresowane na jego nazwisko, numer obozowy, nr bloku i formacji Schutzhäftling. Byli więźniowie Oświęcimia informowali, że była to formacja, której podlegali obozowi kapo, rekrutujący się z samych więźniów. Faktem jest, że obaj przeżyli Oświęcim i że po powrocie z obozu szybko zerwali kontakty ze środowiskiem dawnych współpracowników i znajomych. Obaj już dawno nie żyją i te słowa nie są w stanie już im w niczym zaszkodzić. Być może obaj padli ofiarą bezwzględnej i okrutnej maszyny hitlerowskiej, która czasami nie odbierała życia, ale łamała charaktery i upadlała ludzi nawet do granic dzisiaj niewyobrażalnych. Pozostałe dwie aresztowane osoby to grawer Dulesza, który jeszcze długo pracował w Mennicy, a o dalszych losach jedynej wówczas aresztowanej kobiety, która także doczekała końca wojny, nie mam żadnej wiedzy.

Stadtkommandantur

Warschau, d.7.10.1939.

Ic

AUSWEIS

Der Buchhalter Herr *Kazimierz Kulbicki* ist berechtigt
die Staatl. Münze auf Warschau-Praga zu betreten.



J. J. J.
Hauptmann

Przepustka Kazimierza Kulbickiego na teren Mennicy Państwowej wystawiona dn. 7 października 1939 r.
Ze zbiorów Mennicy Polskiej S.A.

A b s c h r i f t

Dritte Ausfertigung

UEBERGABE - PROTOKOLL

Heute den 9.X.1939 wurden zwecks Ablieferung an die Reichsbank nachfolgende Werte von der Polnischen Staatlichen Münze übergeben und von den unterzeichneten Beauftragten der Kommandantur Warschau richtig übernommen. Eine Zählung und Nachprüfung, auch hinsichtlich des Gewichts, konnte bei den Werten in Fässern und Beuteln nicht vorgenommen werden.

Stück 527 Barren Feinsilber / 999 Probe /

" 7 Bänder " "

3 Sack Silbermedaillenplatten ohne Prägung / 950 P./

2 " Denkmünzen mit Prägung / 950 Probe /

2 Fass Silberspäne / 950 " /

1 Kasten Feinsilber - Stanzreste / 950 " /

1 Fass mit 12.400 Stück 5-Złotymünzen

1 Fass mit 15.000 Stück 2-Złotymünzen

Stück 1064 Bandsilberlegierung / circa 750 fein /

1 Fass Silberlegierungsreste / circa 750 fein /

1 Fass Silberlegierung-Stanzreste / circa 750 fein /.

Für die Kommandantur Warschau: Für die Staatliche Münze:

/-/ Hans Prell, Hauptmann

/-/ Ludwik Zagrodzki
Direktor der Staat. Münze

/-/ Karl Kummer, Oblt.

/-/ Jan Szumski
Vertreter des Direktors.

Abgenommen:

1) *egz. Dział Admin. - Rachuba*
2) *" " " - Skanba*
3) *" " " Kontrola*
4)

Mimo tej konspiracyjnej wpadki, a później także i wiedzy o rozstrzelaniu inż. Adolfa Zajączkowskiego, praca konspiracyjna na terenie Mennicy nie została zaniechana. W dalszym ciągu wytwarzano części do pistoletu maszynowego typu sten, w dalszym ciągu tłoczone były blaszane elementy zapalników do granatów, zwanych popularnie „sidolówkami” i nadal prowadzony był regularny nasłuch audycji nadawanych z Londynu w języku polskim. Zresztą te właśnie audycje były źródłem wiarygodnych wiadomości, gdyż prasa w G.G., zwana „gadzinową”, całkowicie kontrolowana przez okupanta, podawała informacje zgodnie z nakazami goebbelsowskiej polityki propagandowej. Nasłuch radiowy programów BBC był zorganizowany perfekcyjnie. Mimo rozkazu okupanta o konieczności oddania odbiorników radiowych, na terenie Mennicy były zainstalowane i dobrze zakonspirowane dwa odbiorniki radiowe wysokiej klasy, tzw. superheterodyny wielozakresowe, będące wcześniej własnością jednej z osób z kierownictwa fabryki. Bywało, że w rodzinach dobrze sytuowanych już przed wojną 1939 r. znajdował się nie jeden, a więcej radioodbiorników. Zwłaszcza dwa, trzy lata przed wojną mocno reklamowano znakomite wielolampowe superheterodyny takich firm jak Phillips, Telefunken i innych. Tak właśnie było w przypadku mojej rodziny. Pierwsze radio, jakie pamiętam, to odbiornik na słuchawki z tzw. „kryształkiem”, drugie, już lampowe, w wysokim pudle, tylko jednozakresowe i nabyte chyba w 1938 r, to radio firmy Telefunken. Ten trzyzakresowy odbiornik przy kilkunastometrowej antenie sprawdzał się znakomicie i jeszcze przed ogłoszeniem przez okupanta nakazu oddania radioodbiorników rodzice postanowili, że najnowszego nabytku nie oddadzą, choćby nawet mieli go zniszczyć. Radioodbiornik ocalał, a niemieckim okupantom oddaliśmy „kryształowca” na słuchawki i zabytkowy aparat jeszcze – z początku lat trzydziestych. Nowy Telefunken został ukryty na ogromnym strychu budynku administracyjno-mieszkalnego, pomiędzy zgromadzonym tam sprzętem przeciwpożarowym w postaci skrzyń z piachem, gaśnic różnych typów, hydronetek, bosaków, łopat, wiader itp. Ta obfitość sprzętu wynikała z faktu szerokich przygotowań do obrony przeciwpożarowej jeszcze przed wojną, a była to konieczność, ponieważ konstrukcja dachu nad budynkiem była całkowicie drewniana – tak bowiem budowano na przełomie wieków.

Pobieżna inspekcja wszystkich pomieszczeń w budynkach fabrycznych, przeprowadzona zaraz po działaniach wojennych w 1939 r.

przez oddział wartowniczy złożony z żołnierzy Wehrmachtu, nie zakwestionowała obecności tego zbiorowiska sprzętu przeciwpożarowego i radiodbiornik, z ręcznie ukryty, przetrwał pierwszą próbę konspiracji. Kiedy jednak powiedziało się „a”, trzeba było także powiedzieć „b”. Tym dalszym krokiem było zainstalowanie gniazdka, rozciągnięcie anteny wśród licznych krokwi i podpór więźby dachowej i dopiero wtedy rozpoczął się nasłuch wieści ze świata. Z czasem okazało się, że w innym budynku fabrycznym grupa pracowników zakonspirowała inny radiodbiornik i wtajemniczeni mogli posłuchać audycji zagranicznych – głównie BBC z Londynu. Obydwa przetrwały prawie całą okupację, podczas której wiernie służyły podtrzymywaniu ducha i były ogromnym moralnym wsparciem w trudnych latach wojny.

Jak wspomniano już wcześniej, Mennica była jakby enklawa względnie bezpieczeństwa przed łapankami, nocnymi rewizjami, czy też niespodziewanymi aresztowaniami w miejscu zamieszkania. Skonstatowanie owego faktu zainspirowało mojego ojca do wykorzystania tych okoliczności w działalności konspiracyjnej. Wkrótce w naszym mieszkaniu, w bardzo obszernej łazience, zainstalowano radiostację. Łazienka była pomieszczeniem sporym, ponieważ znajdował się tam piec opalany węglem, paka na opał oraz szafa na ręczniki, szlafroki itp. Wanna była duża, długa, na wysokich żeliwnych nogach, a przy niej położony był drewniany podest, który wkrótce przerobiono tak, że odsuwał się łatwo od wanny, pod którą były schowane dwa bloki – nadawczy i odbiorczy oraz urządzenia z tzw. „kluczem Morse’a” do nadawania. Do obsługi tej radiostacji potrzebny był oczywiście przeszkolony nadawca. Mógł to być tylko człowiek z zewnątrz, gdyż nikt z domowników takiej umiejętności nie posiadał. Ostatecznie wprowadzono w życie pomysł jednego z doświadczonych konspiratorów. „Zalegalizowano” na wartowni – na całe szczęście już obsługiwaną przez polską załogę – osobę korepetytora, który miał przychodzić do mojego starszego brata. Rzeczony korepetytor dostał okresową przepustkę i tak rozpoczęła pracę radiostacja AK-owska. Najbardziej „poszkodowanym” był mój brat, który w tym czasie musiał siedzieć w mieszkaniu i to była dolegliwość – nazwijmy ją fizyczną, natomiast jego despektem psychicznym było to, że wśród mennicznych koleżanek i kolegów zaczął uchodzić za tępaka i nieuka, co było oczywiście nieprawdą, gdyż uczył się bodaj najlepiej z nas. Szybko jednak zrozumiał, że taka jest konieczność

i chyba w końcu pogodził się z tym. Radiostacja działała ponad osiem miesięcy, po czym musiała zostać przemieszczona – od pewnego czasu na ulicach Markowskiej, Żąbkowskiej i Białostockiej pojawiły się bowiem niemieckie samochody z radiopelengatorami. Kiedy objazdy ulic nasiliły się, zwłaszcza podczas okresu nadawania i odbioru, który trwał od pół do całej godziny, a także kiedy odnotowano pierwsze rewizje w domach naprzeciwko Mennicy (przy ulicy Markowskiej 15, 17 i 19), uznano, że możliwość namiaru i zlokalizowania radiostacji jest już bardzo duża i należy zmienić miejsce nadawania. W czerwcu 1943 r. radiostacja została wywieziona po kawałku, a ustanie wizyt „korepetytora” doskonale zbiegło się w czasie z zakończeniem roku szkolnego. Starszy brat odetchnął z ulgą, a na pociechę mógł pochwalić się świadectwem szkolnym z ocenami bardzo dobrymi, jako dowodem skuteczności pobierania dodatkowych lekcji. Dokąd została przeniesiona radiostacja, tego oczywiście nie było nam wiadomo. O tym, jak duże było niebezpieczeństwo „namiaru” przez Niemców niech świadczy fakt, że niemal zaraz – w ciągu kilku dni, zaobserwowaliśmy, iż niemieckie radiopelengatory z kierunkowymi antenami zainstalowanymi na samochodach znikły z ulic okalających Mennicę. Żałowaliśmy trochę, że zostaliśmy pozbawieni najświeższych wieści ze świata, tym bardziej, że przełom w wojnie niemiecko-sowieckiej i przesuwanie się frontu na zachód potęgowały nadzieję na zakończenie wojny. A że do tego zakończenia trzeba było czekać jeszcze prawie dwa lata, to już zupełnie inna historia.

Mimo konieczności wyprowadzenia radiostacji, praca konspiracyjna nie ustawała ani na moment. Sprzyjało temu zresztą wiele okoliczności. Pierwsza, szalenie ważna, to fakt, że teren Mennicy, ze względu na jej specyfikę produkcyjną, stanowił swego rodzaju wyizolowaną enklawę, do której z całą pewnością nie mogli wpaść niespodziewanie żandarmi, policja lub cywilni agenci gestapo. Nic takiego nie zdarzyło się przez całą okupację. Drugim sprzyjającym czynnikiem było to, że teren fabryki – z racji jego specyficznej i dość chaotycznej zabudowy – tworzył tyle naturalnych zakamarków, iż przeprowadzenie szczegółowej rewizji w halach fabrycznych, magazynach zamkniętych, składach na otwartym powietrzu, komórkach, szopach, wiatkach itp. było fizycznie niemożliwe. Żeby dotrzeć do nich wszystkich, trzeba byłoby... rozebrać fabrykę. O niektórych skrytkach i przedmiotach przechowywanych indywidualnie przez pojedynczych pracowników

lub przez porozumiewające się grupy, dowiedzieliśmy się dopiero po wojnie albo podczas odgruzowywania fabrycznych pomieszczeń po wysadzeniu ich przez Niemców we wrześniu 1944 r. W ten sposób niektórzy przechowywali radioodbiorniki, których nie chcieli oddać, wielu ukrywało broń, krótką i długą. Wśród pracowników Mennicy było kilku zapalonych myśliwych i właśnie oni ukrywali w różnych przemysłnych schowkach swoją broń myśliwską. Jakie było nasze zdumienie, kiedy podczas wywożenia gruzu odnajdywano zniszczone, bo zniszczone, ale typowe strzelby myśliwskie czy dubeltówki, jakieś wiatrówki i flowery (karabinki małokalibrowe typu sportowego), a także broń krótką, czyli rewolwery. Wszystko to było dowodem, że załoga Mennicy tkwiła w konspiracji po same uszy. A to, że była to konspiracja związana z różnymi opcjami politycznymi, można było wywnioskować z tytułów prasy podziemnej, jaka była czytana i przekazywana z ręki do ręki. Tytułem, z którym stykałem się przez większą część okupacji był „Biuletyn Informacyjny”. Nie od razu dopuszczono mnie do tajemnicy posiadania, czytania czy dalszego kolportażu. Dopiero około roku 1942 uznano w domu, że ostrzyżony „na zero” dwunastolatek, ganiający za piłką lub szalejący na rowerze po fabrycznych dziedzińcach, dojrzał na tyle, iż można było go dopuścić do grupy wtajemniczonych. O tym, że przez dom nasz przepływały podziemne wydawnictwa, wiedziałem od dawna. Natomiast nie bywałem dopuszczany do przeczytania nawet tego, co dla przedwcześnie dojrzewającego psychicznie nastolatek mogłoby przecież być zrozumiałe. Jednakże i ten próg poznania musiałem w końcu przekroczyć, zmuszony do tego nieoczekiwanymi okolicznościami. Mianowicie, podczas jednej z wielu łapanek został zatrzymany i uwięziony młody łącznik praskiej grupy AK-owskiej. Kilka osób z tej grupy było pracownikami Mennicy. Zachodziła potrzeba przynoszenia i przekazywania prasy podziemnej – właśnie „Biuletynu Informacyjnego”. Odbyla się tzw. poważna rozmowa i pełen niepokoju – nie ukrywam tego – oraz ciekawości, zostałem włączony do kolportażu. Mniej więcej raz w tygodniu przenosiłem pakiet około 10-15 sztuk „Biuletynu” pod wskazany adres. Miejsca odbioru były zmieniane. Początkowo były to mieszkania prywatne, później – dla bezpieczeństwa – miejsca publiczne np. stragan na bazarze Różyckiego lub znana apteka Stanisława Biele przy ul. Ząbkowskiej, róg Nieporęckiej. „Biuletyny” były wkładane w „gadzinowego następcę” przedwojennego „Płomyka” i „Płomyczka”,

a mianowicie pisemko „Ster”. Miało ono spory format, tak więc włożenie między kartki dziewięciu „Biuletynów” nie sprawiało trudności. Czasami do tornistra (mojego utrapienia lat szkolnych) wkładałem kilka numerów tegoż nafaszerowanego „Biuletynem” „Steru”, wciskałem maksimum książek szkolnych i zeszytów, po czym na nieco drżących nogach podążałem do ustalonego na ten dzień miejsca. Z jednej strony byłem dumny, że biorę czynny udział w czymś ważnym razem z dorosłymi, z drugiej strony – przyzwyczajony do przebywania w dość bezpiecznym miejscu, jakim był teren Mennicy – na ulicy, z zakazanym „ładunkiem”, czułem się jednak dość niepewnie. Z czasem oswoiłem się z sytuacją i kolejne kursy z prasą podziemną nie powodowały już takiego stresu. Dopiero kiedy po wybuchu powstania warszawskiego i pierwszych walkach na Pradze – zresztą bardzo szybko spacyfikowanych przez Niemców – ustały dostawy „Biuletynu” na teren Mennicy, dowiedziałem się, który z pracowników Mennicy przywoził podziemną prasę do fabryki, a także i o tym, że nie ja jeden byłem kolporterem od tego dostarczyciela. Dostawy ustały, ponieważ z dniem 1 sierpnia 1944 r. Mennica zawiesiła działalność produkcyjną na polecenie dyrektora inż. Ludwika Zagrodzkiego i w zasadzie wszyscy pracownicy – poza oczywiście mieszkańcami – nie mieli już wstępu na teren fabryki. Zakład został zamknięty. Ostatnią lub jedną z ostatnich wizyt złożył Treuhänder Jürgen Stephen, następca oddelegowanego na front E. Reinhardta. Podpisał nominację na funkcję komendanta obro-ny przeciwlotniczej i przeciwpożarowej Kazimierzowi Kulbickiemu. Wydano komunikat, że z dniem 1 sierpnia 1944 r. zawiesza się produkcję, nakazano zabezpieczyć maszyny, urządzenia oraz znajdujące się w halach półfabrykaty. W pośpiechu ogromnym, a był to 3 lub 4 sierpnia 1944 r., a więc już po upadku powstańczych walk na Pradze, Stephen zapomniał zabrać urzędowe pieczęcie Mennicy – te z hitlerowską „gapą” i w języku niemieckim. Kiedy wkładano je do szafy w dyrektorskim sekretariacie, nikt nie przypuszczał, jak bardzo te pieczęcie przydadzą się zaledwie w dwa tygodnie później.

Podczas pierwszych dni powstania w fabryce byli już prawie sami mieszkańcy oraz kolejna zmiana wartowników, która przysłała rano 1 sierpnia do zakładu, a z powodu toczących się w niektórych punktach Pragi walk, nie mogła po dwunastogodzinnej służbie udać się do domów. Zresztą z tego samego powodu niemal nikt nie przyszedł na zmianę wieczorną. Później, po ustaniu walk, a właściwie

sporadycznych strzelanin w niektórych punktach Pragi – cała zmiana poranna z 1 sierpnia pojedynczo, chyłkiem, od bramy do bramy, udała się do swoich domów. Zastało tylko dwóch, którzy mieszkali w lewobrzeżnej części miasta, a którzy z powodu całkowitej blokady mostów Kierbedzia i Poniatowskiego nie mogli połączyć się z rodziną. Z czasem i oni wyszli z fabryki, udając się do rodzin w miejscowościach podwarszawskich, gdyż taki szczątkowy ruch ludności cywilnej był na ulicach Pragi jeszcze możliwy. Potem i to było niesłychanie trudne i niebezpieczne.

W ten sposób Mennica stała się fabryką martwą, a jej mieszkańcy zostali zdani na własne siły, nie bardzo wiedząc, co dzieje się w lewobrzeżnej Warszawie. Nie było już prądu, ale na całe szczęście była woda pitna, pobierana z – ponownie po latach odkrytej spod betonowej blokady – studni artezyjskiej. Studnia ta, kiedy zabudowania fabryczne Mennicy należały do Polskiego Monopolu Spirytusowego, była dostarczycielką wody do produkcji wyrobów alkoholowych. Kiedy tę część zabudowań przejęto na potrzeby Mennicy (lata 1922–1924), studnię zamurowano, a budynki fabryczne, administracyjne i mieszkalne przyłączono do miejskiej sieci wodociągowej. Teraz studnia stała się ratunkiem dla mieszkańców Mennicy i nie tylko dla nich, bowiem często pod osłoną nocy przebiegali przez ulicę mieszkańcy nieparzystej strony ulicy Markowskiej, aby zaopatrzyć się w wodę pitną, o którą było coraz trudniej. Całe szczęście, że na podwórkach starych praskich kamienic, a także licznych fabryczek, warsztatów, a nawet stajen (transport konny w tych czasach, to była norma!), były zwykłe studnie, z których woda wprawdzie nie zawsze nadawała się do spożycia, ale kto w tym czasie zwracałby na taki drobiazg uwagę. Ważne, że w ogóle była.

Po ustaniu walk na Pradze, prawie całe dwa tygodnie sierpnia upływały względnie spokojnie dla mieszkańców oraz kilku pracowników zamieszkałych bliżej zakładu. Dylemat, czy zdjąć z murów portierni znieławidzone tablice z obcym napisem „Staatliche Münze” i hitlerowską „gapą”, czy też je zostawić, został po naradzie rozstrzygnięty. Tablice zostaną, bo póki co Niemcy są na Pradze, a przez leżącą sto metrów dalej ulicę Ząbkowską przeciągały kolumny wojsk niemieckich wycofujących się z frontu wschodniego. Kolumny te kierowały się głównie na most Kierbedzia, ale często zatrzymywały się na noc na przecznicach, w tym także na Markowskiej. Tablice nadal znakomicie

spełniały swoją rolę „obronną”. Zresztą tuż obok był całkowicie opasany przez wojska Dworzec Wileński, przyjmujący ewakuujące się transporty ze wschodu. Były to głównie transporty rannych, których przed kolejnym etapem ewakuacji lokowano w szpitalu Przemienienia Pańskiego. Szpital ten, zaraz po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej 1941 r., został częściowo, a potem niemal całkowicie zamieniony na szpital wojskowy. W czasie jego funkcjonowania w latach okupacji, mieszkańcy Pragi na widok przewożonych karetkami, bądź autobusami wojskowymi ze znakiem czerwonego krzyża, rannych żołnierzy Wehrmachtu, komentowali z satysfakcją ten widok mówiąc: *Panowie – dzisiaj była świeża dostawa rąbanki*.

Wracając do losów Mennicy w tych gorących dniach, trzeba powiedzieć również o postawie samych mieszkańców. Problemem numer jeden był brak żywności. Zamknięte sklepy, nieczynny prawie w całości Bazar Różyckiego, koniec przydziałów kartkowego chleba – to wszystko spowodowało, że poczucie względnego bezpieczeństwa przed np. łapankami do kopania umocnień na peryferiach, czy też do prac przeładunkowych na dworcach: Wschodnim i Wileńskim, choć niezwykle istotne, nie rozwiązywało jednak innych problemów życiowych, w tym problemu braku żywności. Także z pieniędzmi było krucho lub wręcz źle, bowiem, mimo że nieliczne, to jednak możliwości potrzebnego zakupu chleba czy warzyw szybko wysuszyły portfele. Jediną naszą walutą okazała się wówczas wódka i spirytus! Skąd takie właśnie zasoby siły nabywczej się wzięły – wymaga szerszego omówienia i wyjaśnienia.

Jak wiadomo, Mennica Państwowa na Pradze przy ul. Markowskiej została zorganizowana i rozlokowana w części zabudowań Monopolu Warszawskiego. Zakłady te, przed wprowadzeniem tam i organizacją Mennicy, zajmowały cały kwartał zabudowań otoczony ulicami: Żąbkowską – z głównym wejściem, Markowską – z bramami wjazdowymi do magazynów, Białostocką – z wjazdem na bocznice kolejową, odnogę z towarowej części Dworca Wileńskiego oraz Nieporęcką – z wysokim ceglany murem. Jedyne kawałek narożnika ulic: Żąbkowskiej i Nieporęckiej zajmowały dwie kamienice z numeracją dla tej pierwszej. Na potrzeby Mennicy wykrojono narożnik ulic: Markowskiej i Białostockiej. Główne wejście i wjazd do Mennicy były od ul. Markowskiej 18. Zabudowa tej części dawnych zakładów spirytusowych była dość chaotyczna i przypadkowa. Po stylach budynków

administracyjno-mieszkalnych i hal fabrycznych widać było, że realizowano je w różnych czasach i niektóre z nich miały na sobie piętno doraźnych dobudówek. Teren Mennicy oddzielał częściowo od obszaru Monopolu Warszawskiego ceglany mur, zwieńczony stłuczonymi denkami od butelek, zatopionymi w cemencie zadziurami do góry. Część granicy pomiędzy zakładami stanowiły po prostu ściany budynków z zamurowanymi na zewnątrz oknami, ale były również takie dwa miejsca, w których granica między obiema fabrykami przebiegała w poprzek budynku. Po prostu część domu była we władaniu Monopolu, a część należała do Mennicy. I właśnie w jednym z takich budynków, mieszczących w części menniczej grawernię i gisernię, a po stronie Monopolu warsztaty naprawcze i sprzęt do sprzątania terenu, urządzono ukryte przejście, mające służyć jako możliwość ucieczki, gdyby zdarzyły się próby aresztowań wśród pracowników czy mieszkańców. Budynek administracyjno-mieszkalny był oddalony od wartowni o dobre dwieście, do trzystu metrów. Byłby więc czas na szybką „ewakuację” w przypadku zagrożenia, tym bardziej, że wszyscy mieszkańcy posiadali telefony, a centralka znajdowała się na wartowni. Była też umówiona forma sygnalizacji niebezpieczeństwa (np. rewizji), poprzez włączenie oddzielnego połączenia, które na domowym telefonie dawało ciągły sygnał dzwonieniem. Nie tak, jak to zwykle bywa, kiedy łączy się numer wewnętrzny i dźwiękowy sygnał zgłoszenia jest bardzo typowy – czyli okresowy z dłuższą przerwą. Z sygnalizacji tej skorzystano podczas całej okupacji kilka razy, ale na szczęście były to fałszywe alarmy, kiedy patrol niemieckich żandarmów chciał skorzystać z toalety lub telefonu.

Wracając do tajemnego połączenia terenów Mennicy i Monopolu trzeba stwierdzić, że służyło ono głównie do dodatkowego zaopatrzenia się w wódkę lub spirytus. Oczywiście, nie były to cenne wówczas płyny butelkowane – na rozlewni istniały pewne formy kontroli ilościowej, ale zaprzyjaźnione osoby pomagały napełnić nawet pięciolitrową bańkę poprzez zawór spustowy czy też innego rodzaju niezauważalne dościsnąć. Zresztą nie dociekaliśmy za bardzo, jak to się odbywało, gdyż te czynności „zaopatrzeniowe” miały miejsce przeważnie w porze nocnej i na ich wyniki czekało się przy podziemnym przejściu z terenu na teren. Przejście było zrobione w piwnicy budynku, w którym Mennica miała gisernię, a sam otwór w murze był zamaskowany odchylaną, otwierającą się jak drzwi, półką, na której były magazynowane gipsowe

Staatliche Münze
Mennica Państwowa

WARSZAWA
ul. Markowska Nr 18.

TELEFONY:
Dyrekcja 10-15-40
Centrala 10-15-93
10-15-94

Dz. Nr 1303/Pers.

Warschau
Warszawa, dnia 21. Oktober 1939 r.

BESCHEINIGUNG.

Es wird bescheinigt, dass Vorzeiger
Herr KULBICKI Kazimierz wohnhaft in Warschau-Praga,
Markowska Strasse Nr 18 Wohn.Nr. 7. als Angestellte
der Staatlichen Münze in Warschau-Praga, Markowska
Strasse Nr 18 arbeitet.

DIREKTOR DER STAATLICHE MÜNZE

Lagrodzki
/Dipl. Ing. Ludwik Zagrodzki/

Rachunek bież. w Centralnej Księgowni Ministerstwa Skarbu Nr 106.
Konto ciekowe w Pocz. Kasie Oszcz. Nr 3260.

Poświadczenie zatrudnienia Kazimierza Kulbickiego w Mennicy Państwowej z dn. 21 października 1939 r. Ze zbiorów Mennicy Polskiej S.A.

TREUHÄNDER
DER STAATLICHEN MÜNZE
MENNICA PAŃSTWOWA

TELEFONY:
Dyrekcja 10-15-40
Centrala 10-15-93
10-15-94

Dz. Nr 46/40

Warschau, den. 1. April 1940.
WARSAWA, DN. 193 E.
Progr. ul. Markowska Nr 18.

BESCHEINIGUNG
=====

Herr/Frau/Frl KULBICKI Kazimierz
wohnhaft in Warszawie - Markowska
Strasse Nr 18 ist Angestellter der unter meiner
Aufsicht stehenden Staatlichen Münze in Warschau, Markowska-
strasse Nr 18.

Die Dienstzeit dauert von - 7 - 20 Uhr. Er / Sie / ist
daher berechtigt, sich im Gebiete der Stadt Warschau frei zu
bewegen und falls er/sie/ ausserhalb Warschau wohnt, von seiner
Wohnung sich ungestört zu seiner Dienststelle zu begeben.

Zu anderen Arbeiten kann er/sie/ nicht herangezogen wer-
den, da er/sie/ für eine geregelte Arbeit in der Staatlichen
Münze unentbehrlich ist.

Ich bitte Militär-, Polizei - und Gendarmerieorgane dem
Inhaber dieses Ausweises entsprechend entgegenzukommen.

Treuhänder
der
STAATLICHEN MÜNZE
Reinhardt
(Reinhardt)

Rechnung litz. w. Centralnej Księgarni Ministerstwa Skarbu Nr. 106
Konto rachunku w Pozn. Kassa Olszt. 20880.

104.37

Poświadczenie zatrudnienia Kazimierza Kulbickiego w Mennicy Państwowej, stwierdzające że jest jej niezbędnym pracownikiem, upoważniające m.in. do swobodnego poruszania się po mieście, podpisane przez Zarządcę Komisarycznego Mennicy Eugena Reinhardta.
Ze zbiorów Mennicy Polskiej S.A.

odlewy (średnicy niekiedy na pół metra) projektów monet zarówno kiedyś realizowanych, jak i tych, które nigdy nie weszły do produkcji. O przejściu wiedziało niewiele osób, nawet nie wszyscy mieszkańcy, jak i nie wszyscy pracownicy grawerni, giserni i podziemnego magazynu modeli. Korzystając z tego przejścia i powiązań życzliwych zarządów – rzadziej w czasie przedpowstaniowym, częściej podczas okresu powstaniowego – aż do połowy września 1944 r., reperowaliśmy wątle budżety domowe. Alkohol jako „waluta wymienialna” pozwolił przeżyć mieszkańcom Mennicy zarówno podczas okresu powstaniowego, jak i przez spory okres po wyzwoleniu Pragi, kiedy mimo ostrzału z lewobrzeżnej części Warszawy, ruszył swego rodzaju handel uliczny i bazarowy. Zwłaszcza handlowcy z Bazaru Różyckiego dawali dowody niebywalej odwagi, mimo gwizdzących (te przelatywały dalej) i padających nieopodal pocisków. Większy respekt budził tylko ostrzał z tzw. „działa kolejowego”, które ulokowane gdzieś na bocznicach dworcowych, nękało mieszkańców Pragi. Jednak i tu umiano przystosować się poprzez rozeznanie, ile czasu upływa pomiędzy jednym pociskiem a następnym i w tej przerwie życie powracało do swego, niby normalnego nurtu. Przerwy takie miały wymiar kilkunastu minut, bo chyba tyle trzeba było czasu na ponowne załadowanie olbrzymia i odpalenie kolejnego pocisku.

Na Pradze pojawiło się sporo chłopskich furmanek z różnymi produktami rolnymi, a nawet tzw. „rąbanką”. Alkohol był walutą przyjmowaną bez oporów, tym bardziej, że nie śmierdział odorem typowym dla bimbru i miał nieskazitelną przejrzystość i klarowność. Najbardziej w cenie były jednak zalakowane, oryginalne butelki z nalepkami Monopolu. I tak, dzięki takiej specyficznej „walucie” zdobywanej, a także i zgromadzonej w zapasach z okupacyjnych „deputatów” fabrycznych, mieszkańcy Mennicy mogli przeżyć trudny okres powstaniowy i czas do momentu wyzwolenia lewobrzeżnej części Warszawy.

Z osób związanych z historią Mennicy w czasie okupacji bezwzględnie należy wymienić sekretarkę osobistą Treuhändera E. Reinhardta – panią Elżbietę Bujakównę. Była ona córką prezesa Związku Polaków w Niemczech, zaangażowaną na sekretarkę Treuhändera ze względu na doskonałą znajomość języka niemieckiego. Zresztą, jak niosła ówczesna wieść, nie było specjalnie chętnych na tę posadę, chociaż zarówno w Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych,

jak i w Mennicy Państwowej, było kilka pań mogących pełnić tę funkcję. Nastroje antyhitlerowskie zaraz po wrześniowej klęsce i niemal natychmiastowych restrykcjach władz okupacyjnych w stosunku do ludności polskiej, spowodowały absolutną niechęć do bezpośredniego kontaktu z komisarycznym zarządcą. Tym bardziej, że na początku swego urzędowania w PWPW, do Mennicy na Pragę przyjeżdżał często w towarzystwie mundurowych funkcjonariuszy władz okupacyjnych. Wnosić należało, że podobnie było w jego siedzibie na ul. Sanguszkii. W końcu roku 1939 na tę posadę Elżbieta Bujakówna zgłosiła się podobno sama. Piszę – podobno, gdyż jest to wersja usłyszana w Mennicy od osób trzecich. Później, dopiero po bliższym i dłuższym poznaniu jej samej i jej perypetii rodzinnych, krok jaki uczyniła zupełnie dobrowolnie, stał się w pełni zrozumiały. W monografii Władysława Terleckiego pt. „Mennica Warszawska” autor wspomina bardzo krótko o istotnym motywie przyjęcia tej posady, a także o jej pozytywnej postawie wobec pracowników obu podległych E. Reinhardtowi zakładów. Z przekazów, jakie usłyszałem w domu od ojca, jak również od innych osób z kierownictwa Mennicy, ale już po wojnie, wyłaniał się ciekawy obraz tej osoby. Osoby, która umiała harmonijnie połączyć osobisty cel z bardzo pozytywną rolą spełnianą dla ogółu. Tym osobistym celem Elżbiety Bujakówny było uwolnienie aresztowanego już w grudniu 1939 r. ojca. Prezes Związku Polaków w Niemczech został aresztowany w Lipsku, a rodzina wydalona do Generalnej Guberni. Jego córka liczyła zapewne na to, że bezsprzecznie wpływowy Parteigenosse NSDAP, jakim był E. Reinhardt, pomoże jej wydostać ojca z rąk gestapo i uchronić go przed obozem koncentracyjnym czy też ciężkim więzieniem. I jedno, i drugie zakończyłoby się niechybnie śmiercią przetrzymywanego działacza polonijnego, chociażby z uwagi na jego ówczesny stan zdrowia. Wiedziała zapewne dość dokładnie o łapówkach wręczanych E. Reinhardtowi za wyciągnięcie z transportów pracowników PWPW czy Mennicy Państwowej złapanych w łapankach ulicznych. Mogła również liczyć na zdecydowaną pomoc finansową ze strony kierownictwa Mennicy, gdyby okazało się, że jej zasoby własne nie wystarczają na opłacenie zwolnienia ojca. Tym bardziej, iż wiadomym było, że uwolnienie to musi być decyzją bynajmniej nie tylko E. Reinhardta, ale także kilku wysoko postawionych osób w hierarchii policji, władz okupacyjnych i w samych Niemczech. Niestety, starania te, które trwały ponad pół

roku, nie przyniosły pozytywnego rezultatu. Zwodzona obietnicami Elżbieta Bujakówna czekała aż do jesieni 1940 r. Wtedy dowiedziała się oficjalnie, że ojciec jej został stracony. Nie dostała przepustki na wyjazd do Niemiec, do Lipska, na pogrzeb lub nawet tylko po to, aby odwiedzić grób. Prawdopodobnie ojciec Elżbiety Bujakówny został stracony dużo wcześniej, tylko z nieznanых powodów zwlekano z powiadomieniem rodziny. Sama Bujakówna przeżyła to bardzo mocno, co podkreślali wszyscy, którzy po tej tragicznej dla niej wiadomości stykali się z nią na co dzień. Z czasem dramatyczne wydarzenia w samej Warszawie, jak łapanki, uliczne egzekucje, aresztowania ludzi podziemia, zatarły trochę ból po stracie ojca i odwróciły jej uwagę od przeszłości. I wtedy szerzej włączyła się we współpracę z polskim personelem zarówno PWPW, jak i Mennicy Państwowej. Trzeba także dodać, iż z uwagi na jej funkcję zawodową, miała codzienny kontakt nie tylko z E. Reinhardttem, ale i jego gośćmi – często wysokiej rangi funkcjonariuszami administracji okupacyjnej, a nawet gestapowcami wędzającymi w samej Wytwórni. Wizyt tych było wiele z uwagi na fakt, że drukowano tam pieniądze, tak zwane „młynarki”, zwane tak od podpisu prezesa banku – Młynarskiego, jaki widniał na okupacyjnych banknotach. Były tam również drukowane blankiety okupacyjnych dowodów osobistych – Kennkart oraz Ausweisów i nocnych przepustek, pozwalających na poruszanie się po godzinie policyjnej. Z tego powodu gestapowcy systematycznie odwiedzali Wytwórnę na Sanguszki. Sądzę, że byli pracownicy PWPW mogliby wnieść dużo więcej wiedzy i faktów o życiu okupacyjnym w tej fabryce.

Wiadomym było, że w PWPW działa na pewno organizacja podziemna i ze względu na swą rozległość, a czasami i nieostrożność samych członków, dochodziło do aresztowań. Grupa AK-owska działająca w Mennicy miała tam swoje kontakty. Jak już wspomniałem, poprzez te kontakty trwała swoista „wymiana” – z jednej strony oryginalnych blankietów Kennkart, Ausweisów, nocnych przepustek, a z drugiej strony – stempli urzędowych jednostek administracji okupacyjnej i takich jak Arbeitsamty (urzędy pracy), czy organy władzy terytorialnej, jak starostwa czy gminy. Kontakty mennicznych członków podziemia były ułatwione dzięki bardzo banalnej przyczynie. Otóż Mennica Państwowa posiadała stołówkę pracowniczą, ale poza napojami typu kawa, mięta, nie gotowano w niej posiłków. Posiłki dla pracowników Mennicy przywożono ze stołówki PWPW. Wytwórnia,

zbudowana w latach trzydziestych, posiadała nowoczesną jak na owe czasy kuchnię i stołówkę. Z uwagi na zmniejszoną w stosunku do lat przedwojennych liczbę pracowników samej PWPW, a także i Mennicy postanowiono, że posiłki (tylko zupy – bardzo „cienkie”) będą dowożone codziennie do stołówki menniczej. Ciekawostką będzie zapewne fakt, że zupy te dowożono w typowych bańkach po mleku i przy pomocy rikszy rowerowej. Starsi zapewne pamiętają, co to były riksze rowerowe, zarówno osobowe, jak i towarowe. Otóż taką riksę skonstruowano w Mennicy, specjalnie w tym celu. Jej odmiennością od typowych riks kursujących wówczas w Warszawie było to, że była poruszana nie przez jednego, a przez dwóch riksarzy ulokowanych w formie klasycznego tandemu, czyli jeden za drugim. Było to niezbędne ze względu na ciężar ładunku wynoszący ponad dwieście kilogramów. Głównym kierowcą rikszy był Tadeusz Aluchna, potężne chłopisko, były czynny sportowiec. Tadeusz Aluchna był członkiem AK-owskiego podziemia i faktycznym łącznikiem z organizacją działającą w PWPW z uwagi na fakt, że oprócz posiłków woził także pocztę urzędową z Mennicy i do Mennicy, pisma do podpisu Treuhändera, jak również dokumenty przeznaczone dla Mennicy. Z tego powodu stykał się nieomal codziennie bądź bezpośrednio z sekretariatem E. Reinhardta i samą E. Bujakówną, bądź z kancelarią Wytwórni. Z czasem nawiązał bliższy kontakt z sekretarką i potrafił ją pozyskać do pewnej współpracy. Mimo swej niewątpliwie „fizycznej” pracy, był człowiekiem inteligentnym, co zaowocowało stale poszerzającą się współpracą z E. Bujakówną. Uzgodniono na przykład, że w przypadku planowanych przez Treuhändera odwiedzin Mennicy, dzwoniła do sekretariatu dyrektora L. Zagrodzkiego i informowała, że „żądane przez was dokumenty, będą dziś dostarczone”. W przypadku przewidywanej wizyty E. Reinhardta w szerszym gronie wojskowych czy cywilnych Niemców, „kod” informacyjny miał oczywiście inne brzmienie. W ten sposób mennicza społeczność, w tym i kierownictwo, była przygotowana na niepożądane, aczkolwiek nie do uniknięcia, wizyty. Odpowiednie sygnały szły do właściwych osób na wydziały produkcyjne, po czym natychmiast znikwały z maszyn i warsztatów przedmioty, które nie były oficjalnym wyrobem Mennicy. A jak już wspomniano, menniczna działalność była zaangażowana w produkcję części do pistoletu automatycznego typu sten, a także w detale do granatów ręcznych tzw. „sidolówek”. W ten sposób praktycznie uniknięto

wszelkich wpadek i „niezapowiadanych wizyt”, które w tych czasach były daleko groźniejsze, aniżeli dziś komukolwiek się wydaje. Współpraca z Elżbietą Bujakówną układała się dla Mennicy pomyślnie przez cały czas jej pracy w sekretariacie E. Reinhardta. Na początku roku 1944 dotychczasowy komisaryczny zarządca PWPW i Mennicy Państwowej został odwołany. Na jego miejsce mianowano Jürgena Stephena. Tę zmianę natychmiast odczuli wszyscy. Nowy zarządca okazał się bezwzględny satrapą. Nasiliły się aresztowania wśród pracowników PWPW i zaostrzono formy inwigilacji załogi, tym bardziej, że klęska Niemiec była już jednoznacznie widoczna i była tylko kwestią czasu. Kilka ostatnich wizyt w Mennicy przed wybuchem powstania warszawskiego potwierdziło tylko tę opinię. Był to zimny, cyniczny i zaciekły hitlerowiec. Jego nominacja na miejsce E. Reinhardta była, zdaniem wielu osób, wynikiem opinii administracji niemieckiej i osób związanych z gestapo o zbyt łagodnym i liberalnym podejściu dotychczasowego Treuhändera do załóg podległych mu zakładów i mizernych rezultatów w tropieniu podziemnych organizacji na ich terenie. Rzeczywiście, trzeba stwierdzić, że w Mennicy Państwowej – poza jedną wpadką kilkunastoosobowej grupy pracowników i ich aresztowaniem – nie było zaciekłego i bezwzględnego terroru i szantażu ze strony zarządcy. Odnosiło się wrażenie, że chciał w miarę spokojnie i „dostatnio”, przetrwać wojnę w bezpiecznym miejscu, a przede wszystkim uniknąć wysyłki na front wschodni. Taką opinię o nim wyraziła także Elżbieta Bujakówna. Po jego odwołaniu, ona także została przeniesiona z sekretariatu na inne stanowisko. Niestety, z daleko mniejszymi możliwościami dalszej współpracy z kierownictwem Mennicy. Nowy zarządca powołał do swego sekretariatu nową, całkowicie zaufaną sobie osobę. Na szczęście nie na długo, ponieważ dzień 1 sierpnia 1944 r. panowanie Jürgena Stephena definitywnie przerwał. Jakie były dalsze losy Elżbiety Bujakówny, nie jest mi wiadomym. Z okazji powojennych spotkań i wzajemnych poszukiwań się warszawiaków, różnie mówiono na temat jej losów, ale to tylko niepotwierdzone wersje.

Ze spraw mało znanych nawet szerszemu ogółowi pracowników Mennicy z czasów lat okupacyjnych była sprawa zręcznego „wymanewrowania” niemieckich władz, związana z próbą ulokowania zamówień i wykonawstwa dla wojennego przemysłu stocznioowego Niemiec. Już w połowie roku 1943 naloty alianckie na Niemcy nasiliły się tak

bardzo, że duża część niemieckiego potencjału zbrojeniowego była w poważnym stopniu zniszczona. Jako środek mogący utrzymać niemiecką maszynę wojenną na poziomie wymaganym przez armię, lotnictwo i marynarkę, uznano alokację produkcji detali i podzespołów w krajach okupowanych. Najlepiej do tego nadawały się kraje położone daleko na wschód od baz alianckiego lotnictwa. Zasięg ówczesnych samolotów bombowych nie dorównywał dzisiejszym maszynom i stąd brała się teza, że rozlokowanie produkcji zbrojeniowej w krajach okupowanych pozwoli na utrzymanie poziomu produkcji zbrojeniowej, a co więcej, będzie stanowiło pewien moralny dylemat dla aliantów – czy bombardować obiekty położone w miastach i krajach będących sprzymierzeńcami w koalicji antyhitlerowskiej. Jak już wiemy z historii, ten dylemat miał najmniejsze znaczenie dla sprzymierzonego dowództwa – liczyły się tylko i wyłącznie rezultaty militarne. Ale to tylko dygresja.

Wracając do tematu dotyczącego Mennicy, chciałbym przekazać coś, czego dowiedziałem się z osobistej relacji od mojego ojca, Kazimierza Kulbickiego, prawie rok po tych wydarzeniach. W końcu lat czterdziestych, podczas przypadkowego spotkania byłego kierownika wydziału mechanicznego Mennicy w latach okupacji, usłyszałem nawet obszerniejszą, niż ta od ojca, relację. Otóż sprawa miała się tak:

Na wiosnę roku 1943 przyjechał do Mennicy, w ramach rutynowych wizyt, niemiecki zarządca E. Reinhardt. Ale nie sam. Wraz z nim przyjechało trzech, bądź czterech Niemców – cywili i jeden wojskowy w mundurze Wehrmachtu. Eugen Reinhardt miał oznajmić kierownictwu Mennicy, że w ramach dociążenia posiadanego parku maszynowego załatwił możliwość dużego zamówienia dotyczącego detali ze stopów lekkich. I rzeczywiście; w kilkanaście dni po tej wizycie przyjechało kilku cywilów, ponoć z Ministerstwa Gospodarki Rzeszy i z zakładów, które miały być w Niemczech odbiorcą. Zostawili rysunki i próbne partie odkuwek. Te zostały natychmiast sfotografowane i przekazane przez wtajemniczonych i zaufanych ludzi do specjalistów związanych z AK-owską grupą wywiadu. Zanim nadeszła informacja, co to są za detale, do czego służą, z jakimi elementami uzbrojenia są związane oraz zanim obrobiono i wykonano próbne sztuki, zjawił się przedstawiciel zakładów, które miały być odbiorcą. Okazało się, że jest to pracownik stoczni w Cuxhaven, który w Generalnej Guberni

miał być rezydentem czuwającym nad ekspedycją części. Okazało się również, że ma czuwać także nad dostawami części z innej fabryki w G.G. do stoczni w Wilhelmshaven. W jednej chwili sprawa stała się przeraźliwie jasna. To mają być części do instalacji na U-bootach, czyli niemieckich okrętach podwodnych. Wiadomym było, że główna baza U-bootów była w Wilhelmshaven, a jedna ze stoczní wytwarzających okręty podwodne – w Cuxhaven. Konkluzja była jedna – za wszelką cenę nie można dopuścić do wspierania potencjału zbrojeniowego Rzeszy. Gorączkowe narady kierownictwa Mennicy zostały dodatkowo zdopingowane informacjami z komórek AK-owskiego wywiadu, że istotnie – Niemcy przenoszą spore ilości detali i podzespołów produkowanych dotychczas u siebie do fabryk w Austrii, Czechosłowacji i Polsce. Problem był jeden – jak się od tego wymigać. Odpadł wariant proponowany przez jedną z osób, a mianowicie produkcji i sabotażu w postaci świadomego usterkowania detali, a to ze względu na możliwe konsekwencje w postaci narażenia życia dużej grupy pracowników, poczynsz od kierownictwa fabryki, poprzez dozór techniczny, aż do samych bezpośrednich wykonawców na warsztacie. Ostatecznie postanowiono przekonać niecierpliwących się już rezydentów obu zakładów, że na mennicznym parku maszynowym wydziału mechanicznego nie da się utrzymać parametrów dokładności i precyzji pasowań, jakie są wymagane przy takiej produkcji. Było to w dużym stopniu prawdą, ponieważ park maszynowy wydziału mechanicznego Mennicy był dość archaiczny. Obrabiarki – głównie tokarki, były mocno leciwe. Najlepszym dowodem jest fakt, że niemal wszystkie były napędzane poprzez staroświecką wspólną transmisję, ulokowaną nisko pod sufitem, połączoną skórzanymi pasami z poszczególnymi maszynami. Dokładnie tak, jak to oglądamy na starych zdjęciach zakładów przemysłowych z początków wieku. Tylko kilka najnowszych obrabiarek miało indywidualny napęd. Obszerne wyjaśnienie w języku niemieckim, wraz z uzasadnieniem technicznym, podpartym informacją o wieku maszyn i stopniu ich zamortyzowania, zostało mimo pewnych oporów podpisane przez Treuhändera E. Reinhardta i osobiście przez niego doręczone rezydującej w G.G. grupie organizatorów produkcji zbrojeniowej na terenach okupowanych krajów. Z niepokojem oczekiwano reakcji oficjalnych władz, ale nic szczególnego, przynajmniej w Mennicy, nie wydarzyło się. Zresztą cała administracja niemiecka,

zarówno cywilna, jak i wojskowa, była zaabsorbowana walkami i likwidacją getta warszawskiego.

Niespodziewany opór żydowskiej organizacji podziemnej zmusił Niemców do formalnych walk. Likwidacja getta, dogaszanie pożarów po kwietniowych walkach i wywózka pozostałej ludności żydowskiej do obozów zagłady, trwały jeszcze kilkanaście tygodni. A potem były już tylko wieści z frontu wschodniego i komunikaty głównej kwatery Führera o „wycofywaniu się na z góry upatrzone pozycje” i „wyrównywaniu linii frontu”. Niepokój kierownictwa Mennicy trwał jeszcze przez kilka miesięcy po wyjaśnieniach, czyli faktycznej odmowie produkcji, ale wyniki bitwy na Łuku Kurskim latem 1943 r. i widoczny już nawet w Warszawie powolny odwrót i przybliżanie się linii frontu do terenów Polski, rodziły nowe problemy, obawy i wyzwania. W ten sposób udało się uniknąć społeczności menniczej wspomagania znienawidzonej maszyny wojennej Niemców. Czy to mogło wpłynąć na faktyczny potencjał wojenny Trzeciej Rzeszy? Raczej nie, ale pozostała satysfakcja z biernego, ale zawsze oporu, chociaż obejmowała ona z oczywistych względów tylko niewielką, bo może około dziesięcioosobową grupę pracowników Mennicy. Były to bowiem sprawy, którymi w owych czasach chwalić się raczej nie należało.

Mieszkańcy Mennicy, jak również pracownicy, którzy tam się schronili, wiedząc o względnym bezpieczeństwie na terenie tego zakładu, do końca mieli nadzieję, że uda się przeżyć do dnia wyzwolenia. Front był tuż, tuż – na dalekich przedmieściach praskich, przy czym kanonadę ostrzału stanowisk niemieckich przyjmowano jako uwerturę do triumfalnego finału. Jak się później okazało, nadzieje te nie ziściły się w całości, choć niewątpliwie – w zakresie uchronienia się mieszkańców Mennicy i części pracowników od egzekucji lub w najlepszym razie od wywózki do obozów koncentracyjnych. Trzeba podkreślić, że przyczyniło się do tego ogromne zdyscyplinowanie mieszkańców, którzy starali się ograniczać poruszanie się po terenie, jak również utrzymać w ryzach sporą grupę dzieci i młodzieży, których ciekawość, żywiołowość i niekiedy brak wyobraźni o grożącym niebezpieczeństwie, skłaniały do zachowań czasami mało rozsądnych. Najmłodszych mieszkańców próbowano utrzymać na miejscu, tworząc im coś w rodzaju świetlicy, której rolę pełniło kilka sal biurowych mieszczących się w budynku administracyjnym, udostępnionych na ten cel przez Kazimierza Kulbickiego, pełniącego

funkcję cywilnego „komendanta” obiektu. Były to sale od strony fabrycznego podwórza, celowo tak usytuowane, ażeby nawet nie pokazywać się w stronie frontowej budynku, a także, ażeby podkreślić fakt, że fabryka jest zamknięta, opuszczona i praktycznie poza strażnikami nikogo tam nie ma.

Pierwsze dni powstania warszawskiego przebiegły w sporym napięciu, ale później nastąpiło jakby odprężenie. Kanonada z Warszawy lewobrzeżnej dobiegała dość wyraźnie, nocne luny obserwowane z okienek na strychu najwyższego budynku menniczego pokazywały początek tragedii warszawskiej. Trzeba powiedzieć, że w tych czasach, nie tylko przedpowstaniowych, ale także już po wybuchu samego powstania i całkowitym jego niepowodzeniu, na prawym – praskim brzegu Wisły, sceptycyzm co do jego ewentualnego powodzenia oraz wojskowego i politycznego sukcesu, był ogromny. Dotyczyło to nie tylko szeregowych członków AK-owskiej organizacji, marnie uzbrojonych, ale także średniego szczebla dowódczego. Ci, którzy nie zdołali w pierwszych dniach przedrzeć się do lewobrzeżnej części miasta i pozostali na Pradze lub w okolomiejskim pierścieniu miejscowości podwarszawskich, przyglądając się kolejnym przegrupowaniom formacji niemieckich Wehrmachtu i SS-Waffen, nabierali głębokiego przekonania, że podjęta decyzja walki zbrojnej w tej chwili jest skazana na niepowodzenie. Do walki z powstańcami szykowały się bowiem nie „poszczerbione” na froncie wschodnim i wycofujące się oddziały wojsk niemieckich, ale wyborowe formacje elitarnych dywizji np. „Hermann Göring”. Formacje te zostały zasilone najświeższym poborem młodych, często osiemnasto-, dwudziestoletnich chłopaków, w większości członków organizacji Hitlerjugend, nafaszerowanych hitlerowską ideologią i nienawiścią do wrogów Trzeciej Rzeszy. Nienawiść ta bywała często podsycana wiadomościami o śmierci bliskich, kolegów, przyjaciół, braci na frontach całej Europy, jednak głównie na froncie wschodnim, jak również starszych członków rodziny – wskutek coraz intensywniejszych nalotów alianckich na miasta niemieckie.

Hipotezy i rozważania na temat szans ludności warszawskiej wobec tych wyszkolonych oddziałów bardzo szybko przerodziły się w twardą rzeczywistość, z którą przyszło się zmierzyć także mikrospołeczności menniczej. Gdzieś pomiędzy 8 a 10 sierpnia 1944 r. wjechała na teren fabryczny Mennicy kolumna samochodów, wozów

pancernych i czołgów z dywizji „Hermann Göring”. Była to jedna z samodzielnych brygad grenadierów pancernych sformowanych z myślą o zasileniu oddziałów niemieckich broniących linii Wisły. Grupa ta, przystosowana do samodzielnego operowania, oprócz samych czołgów, dysponowała samochodami-warsztatami, cysternami, pojazdami amunicyjnymi, gospodarczymi (kuchnia, piekarnia itp.), które rozlokowano na obszernym dziedzińcu fabrycznym. Nieregularny kształt i różnorodność mennicznych zabudowań – liczne prześwity między budynkami, budynki zróżnicowane wysokością, wiaty, magazyny, sprzyjały zamaskowaniu i ukryciu pojazdów przed ewentualnymi nalotami lotniczymi, których – powiedzmy szczerze – prawie nie było ani ze strony sowieckiej, ani ze strony aliantów zachodnich. Późniejsze, nieliczne zresztą, naloty samolotów alianckich z zaopatrzeniem wojskowym dla walczącej Warszawy, w niczym tej formacji nie zagrażały.

Mieliśmy od tego momentu możliwość obserwowania hitlerowskiej maszyny wojennej, która mimo totalnego odwrotu na wszystkich frontach Europy (przypomnijmy – był to okres już dwa miesiące trwającej inwazji aliantów w Europie Zachodniej), wciąż była groźna, morderczo skuteczna i coraz bardziej zdeterminowana do walki w wrogiem. To już nie był radosny „Blitzkrieg” pierwszych lat wojny i błyskawicznego połykania kolejnych krajów. To była walka o własne życie, o własny kraj i o to, co do tej pory wydawało się najlepsze, największe i najważniejsze, a więc – Führer i Tysiącletnia Rzesza. To wszystko było zagrożone i trzeba było o to walczyć.

Sama tylko kadra dowódcza tej grupy to byli oficerowie w przedziale 28-35 lat. Gros żołnierzy to około dwudziestolatkowie (nawet kierowcy czołgów i pojazdów gasienicowych, nie mówiąc już o kierowcach samochodów warsztatowych, cystern czy pojazdów amunicyjnych). Scenariusz operacyjny tej grupy był prosty. Cała grupa liczyła ok. 200-250 żołnierzy. Rano grupa czołgów wyjeżdżała w kierunku mostów Poniatowskiego i Kierbedzia, tamtędy prawdopodobnie dalej w głąb miasta. Późnym popołudniem wracali, następowało tankowanie, ładowanie amunicji, jakieś naprawy czy przeglądy. Rano następnego dnia do wozów bojowych wsiadała nowa zmiana i ruszała do swego niszczycielskiego rzemiosła. Załogi, które schodziły po dniu walki, miały dzień na odpoczynek, posiłek, umycie się i sen, często nawet w ciągu dnia. Raz po raz samochody amunicyjne i cysterny

STAATLICHE MÜNZE

DES GENERALGOUVERNEMENTS

GIRO-KONTO BEI
DER EMISSIONSBANK IN POLEN
ZWEIGNIEDERLASSUNG
W A R S C H A U
Postscheckkonto Warschau Nr. 796



Fernsprecher:

DIREKTION	10-15-40
WIRTSCHAFTSABTLG.	10-26-20
ZENTRALE	10-15-83

Nr. 387/41

Warschau-Praga, den 9.VI.1941
Markowskastr. 18

Bescheinigung

Hierdurch bescheinige ich, dass Herr Kulbicki Kazimierz in der Staatlichen Münze beschäftigt ist. Er versieht ausserdem den Posten eines Vertreters des Betriebsluftschutzleiters im Betriebsluftschutz der Staatlichen Münze.

Diese Bescheinigung dient zwecks Vorlage bei den Behörden.

Zaświadczenie

Niniejszym zaświadczam, że p. Kulbicki Kazimierz zatrudniony jest w Mennicy Państwowej. Oprócz tego pełni obowiązki zastępcy kierownika w obronie przeciwlotniczej Mennicy Państwowej.

Zaświadczenie niniejsze służy dla przedstawienia Władzom.

LEITER
DER STAATLICHEN MÜNZE
DES GENERALGOUVERNEMENTS

J. P. Heymann

STAATLICHE MUENZE
DES GENERALGOUVERNEMENTS
IN WARSCHAU
Krowacka str. 18

Nr 864

O g ł o s z e n i e

Z polecenia Pana Komisarza Mennicy Państwowej
z dniem dzisiejszym zostaje zamknięta.

Warszawa, dnia 31 lipca 1944r.

Dugosz

Ogłoszenie o zamknięciu Mennicy Państwowej z dn. 31 lipca 1944 r.
Ze zbiorów Mennicy Polskiej S.A.

wyjeżdżały poza teren Mennicy. Domyślaliśmy się tylko, że chodzi albo o uzupełnienie zapasu albo o dotankowanie i doładowanie amunicji czołgów, które pozostały na stanowiskach lub proces ten odbywał się terenie operacji. Patrzyliśmy z przerażeniem i zgrozą na sprawne funkcjonowanie wojennej maszyny hitlerowskiej, w ostatnich – było nie było – miesiącach wojny, kiedy świadomość przegranej była już chyba powszechna wśród żołnierzy i kadry oficerskiej, choć nikt zapewne nie śmiał o tym mówić. Stosunki pomiędzy mieszkańcami Mennicy, a grupą niemieckich żołnierzy ułożyły się na zasadzie wzajemnej ignorancji. Natomiast cała młodzież i dzieci dostały od rodziców kategoryczny zakaz poruszania się po terenie fabrycznym. Rodzice obawiali się, że żołnierze będą chcieli spać wygodnie w lokalach mieszkalnych, ale (chyba ze względów ostrożności stosowanych przez dowództwo grupy) załogi spały na halach fabrycznych, w pomieszczeniach administracyjnych wydziałów produkcyjnych. Jak dowiedzieliśmy się później, część z nich nocowała w wagonach pociągu stojącego na bocznicach Dworca Wileńskiego, który tam utkwiał po kolejnym transporcie rannych z frontu wschodniego. Był to chyba ostatni transport z rannymi lokowanymi w szpitalu Przemienienia Pańskiego. Szpital ten został w dużej części przerobiony na lazaret niedługo po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej.

Zaopatrywanie się w wodę pitną, a także do mycia czy prania, podczas stacjonowania grupy pancernej wiązało się dla mieszkańców Mennicy z pewnym elementem ryzyka. Wynikało to z usytuowania studni artezyjskiej, z której korzystaliśmy, w przeciwnym do budynku mieszkalno-administracyjnego narożu terenu. Żeby z niej skorzystać, trzeba było przejść przez prawie cały dziedziniec fabryczny, między poszczególnymi budynkami. Problem ten wprawiał w niepokój zwłaszcza rodziców, gdyż po wodę posyłano dzieci i młodzież nastoletnią, ale nie starszą niż trzynaście, piętnaście lat. Po wodę chodzono przeważnie późnym wieczorem, kiedy ruch wokół pojazdów zaopatrzeniowych tuż przy murach budynków był najmniejszy i tylko dwójki wartownicze poruszały się po terenie. Reszta żołnierzy rozlokowana po różnych pomieszczeniach fabrycznych spała, bądź słuchała wiadomości radia berlińskiego, tylko wieczorem jako tako słyszalnego. Jak dowiedzieliśmy się później, żołnierze tej formacji dostawali oficjalnie rum do kawy, a i inne trunki wysokoprocentowe musieli gdzieś zdobywać na własną rękę. Ciekawe, że wśród tych młodych, niekiedy

bardzo młodych ludzi, nie było ochoty do chóralnego śpiewania, tak charakterystycznego z pierwszych lat okupacji, kiedy to osławione *Heili-heilo*, *Kornblumenblau* czy *Rosamunde* rozlegały się powszechnie. Podejrzewam, że owymi zwiększonymi dawkami alkoholu, młodzi żołnierze często „zapijali” stres czy tęsknotę za domem. Zwłaszcza, że widmo klęski już zupełnie wyraźnie zagładało im w oczy.

Wracając do naszego zaopatrzenia w wodę trzeba powiedzieć, że nie zdarzyły się przypadki zaczepiania, zabraniań czy innych form szykanowania młodych „woziwodów”. Będąc jednak przewidujący, mieliśmy zawsze w dużych, dwudziestolitrowych bańkach po mleku, pewien zapas wody pitnej, na wypadek, gdyby okazało się niemożliwym korzystanie z ujęcia studni artezyjskiej. Bańki po mleku, które w ramach bhp dostawali pracownicy mennicznych wydziałów odlewni, walcowni, czy galwanizerni jeszcze przed wojną (bo później już niestety nie) – przydały się teraz znakomicie.

Osobnego omówienia wymagają stosunki, jakie ułożyły się – nie bez trudności – pomiędzy dowództwem grupy operacyjnej a pełniącym obowiązki komendanta ochrony i obrony przeciwlotniczej i przeciwpożarowej Kazimierzem Kulbickim, z formalnego nadania jeszcze przez Treuhändera Staatliche Münze – Eugena Reinhardta. Dowódcą grupy był około 40-letni, doświadczony oficer w randze Oberstleutnanta, co odpowiada mniej więcej randze pułkownika w naszej hierarchii stopni wojskowych. Sztab grupy stanowiło około dziesięciu oficerów, niektórzy bardzo młodzi, co potwierdzało tezę, że były to już ostatnie rezerwy kadrowe Trzeciej Rzeszy. Jeden z nich, mający pieczę nad dosyć potężną radiostacją polową, zainstalowaną na sporej ciężarówce z wysokim, wysuwającym teleskopowo masztem, mówił bardzo dobrze po polsku, choć dało się słyszeć pewną „twardość” wymowy i niekiedy proste błędy gramatyczne. Okazało się, że nazywał się Jürgen Zawitzky (Sawicki?) i niechętnie przyznawał się do swoich niewątpliwych korzeni polskich (śląskich?), na które wskazywało jego pochodzenie z Gliwic. To on właśnie przekazał na początku stacjonowania grupy niemieckich żołnierzy warunki, jakich należało przestrzegać, aby mieszkańcom nie groziły przykre konsekwencje. Później, kiedy okazało się, że Kazimierz Kulbicki mówi swobodnie po niemiecku, do doraźnych ustaleń włączył się sam dowódca grupy, który w ciągu pierwszych dni nie „pospolitował się” rozmowami z grupą zamieszkałą na terenie Mennicy. Potem „puścił

trochę farby” i oznajmił, że nie interesują go zupełnie – jak to nazwał – „działania ewakuacyjne” ludności polskiej, czyli po prostu wywózki do obozów, ponieważ on jest żołnierzem i tylko działania wojskowe go zajmują. Przypomnił jednak o konieczności przestrzegania zakazu poruszania się mieszkańców po terenie, głównie pomiędzy stacjonującymi pojazdami pancernymi i samochodami zaplecza. Zwłaszcza podczas tankowania z samochodów – cystern do czołgów i załadunku amunicji. Chyba czytał w myślach naszych dorosłych ojców i braci, co by to było, gdyby tak udało się wrzucić wiązkę granatów pod cysternę pełną paliwa czy też ciężarówkę z amunicją...

W miarę upływu dni sierpniowych, kiedy z nasłuchu Londynu wiedzieliśmy już niemal na pewno, że powstanie nie może zakończyć się sukcesem, nastroje nasze pogarszały się z dnia na dzień. Do tego dochodził brak żywności. Wyczerpały się także resztki jarzyn z zamienionego na grządki ogrodu fabrycznego – niegdyś dumy i oczka w głowie dyr. Ludwika Zagrodzkiego. Już w 1942 r. prawie cały jego obszar, poza wysokimi zadrzewieniami, został sprawiedliwie podzielony na sześć równych części i wszyscy, bez wyjątku, uprawiali swoje około stumetrowe zagonki. Nasza rodzina skrupulatnie i solidarnie uprawiała swoją część. Nie bawiąc się w różnorodność upraw, na całej powierzchni przydzielonego nam „arealu” sadziliśmy pomidory. Flance odmiany „sława Nadrenii” przywiezione były z gospodarstwa nasiennego z Chylic pod Warszawą, prowadzonego chyba przez siostry zakonne. Ponurym żartem historii było to, że w sierpniu 1944 r., obok snujących się po terenie Mennicy niemieckich pancerników, ze smakiem zajadaliśmy się zupą pomidorową czy też sałatką z pomidorów – bardzo smacznym, w gatunku „sława Nadrenii”. Na początku września przeminęła jednak również i „sława Nadrenii”. Problem żywności dla około trzydziestu osób w enklawie pozornego spokoju, stał się bardzo palący. Pierwszym rozwiązaniem stały się sporadyczne „zakupy” wojskowego chleba od niektórych żołnierzy. Oczywiście za alkohol, bo to była jedyna „waluta” jaką dysponowano. Nie można było zbyt wiele tej waluty „upłynniać” na ów „mini-rynek”, ażeby nie doprowadzić do dramatycznych konsekwencji dla obu stron. Być może niektórzy oficerowie i funkcyjni podoficerowie wiedzieli o tym i przymykali oczy, ale starano się zachować maksimum ostrożności. Swego rodzaju wydarzeniem było przywiezienie przez służbę kwatermistrzowską dwóch krów zarekwirowanych zapewne w jakimś

podwarszawskim gospodarstwie. Krowy zastrzelono, wyjęto z nich co lepsze partie mięsa, natomiast pozostałe części np. nogi, łby, niektóre wnętrzności – oczywiście za uniwersalną „walutę” w butelkach – odstąpiono mieszkańcom. To rozwiązało na kilka dni problem wyżywienia, zwłaszcza dzieci.

Na początku września, nie dalej jak około piątego czy szóstego, dowódca grupy wezwał K. Kulbickiego i zażądał otwarcia skarbcza menniczego. Według jego informacji w skarbcu miały znajdować się jeszcze spore ilości srebra w postaci ażurów po wyciętych krążkach na monety emisji przedwojennych oraz kosztowności ofiarowane przez ludność na Fundusz Obrony Narodowej do września 1939 r. Wezwany wyjaśnił, że otworzyć skarbcza nie może, ponieważ do jego otwarcia potrzeba trzech kluczy, znajdujących się u trzech różnych osób, z czego dwie zamieszkują w lewobrzeżnej części Warszawy. Wówczas niemiecki dowódca zażądał nazwisk i adresów. Chyba już następnego dnia przekonał się, że odnalezienie tych osób w pałacej się Warszawie jest czystą utopią. Efektem tej wiedzy był przyjazd bliżej nieokreślonej grupy wojskowych, niewątpliwie saperów, z zasobem butli z gazem, acetylenem i specjalnymi palnikami do cięcia metali.

W ciągu pół godziny przystąpili do pracy. O ile z rozcięciem kraty z połączonych prętów stalowych do korytarza okalającego z czterech stron właściwy skarbiec nie było kłopotów, o tyle okazało się, że właściwe, ogniotrwałe drzwi do pomieszczenia, nie poddają się tak łatwo. Mijały godziny, a skarbiec się nie poddawał. Wycięto obydwie zamki, ale mechanizm uruchamiający znajdujące na prawie całym obwodzie stalowe rygle w postaci okrągłych prętów o średnicy około 40 mm, nadal trwał niewzruszony. Na czym polegała największa trudność, tego nie umiem powiedzieć. Jednak po pierwszej godzinie niepowodzeń usunięto trzech obecnych tam pracowników Mennicy, którzy mieli służyć jako tragarze ewentualnego „łupu” (brak prądu unieruchomił elektryczny dźwig, przy pomocy którego transportowano ze skarbcza gotowe monety w workach z grubego płótna lub też deponowano tam sprowadzane metale szlachetne, przeznaczone do wyrobu monet lub odznaczeń państwowych) i sięgnięto do metody „pirotechnicznej”. Założony ładunek drzwi nie otworzył, ale ich sforsowanie wyraźnie przybliżył. Około godziny trzeciej po południu rygle odsunięto i drzwi, a właściwie ich popalone palnikami fragmenty i sforsowane wybuchem mechanizmy wewnętrzne, ustąpiły i... nastąpiło

wielkie rozczarowanie. Rzekome wielkie ilości szlachetnych kruszców okazały się mitem, a nadzieje na ogromne ilości cennej biżuterii spaliły na panewce. Jak wiadomo, cały zapas złota menniczego został jeszcze we wrześniu 1939 r. pobrany przez pełnomocników Ministerstwa Skarbu i wraz z państwowym zasobem tego kruszcu ewakuowany do Rumunii. Zamiast oczekiwanych kosztowności, w skarbcu znajdowało się jedynie kilka metalowych pojemników wypełnionych mechanizmami zegarków ofiarowanych na FON. Ich złote lub srebrne koperty zostały jeszcze przed wrześniem 1939 r. przetopione na sztaby. Kosztowności typowych, w postaci biżuterii – wszelkiego rodzaju obrączek, pierścionków, sygnetów, bransolet itp. – po prostu już nie było. Można sobie wyobrazić wściekłość dowódcy grupy stacjonującej w Mennicy, jak również dowodzącego pododdziałem saper-skim. Ściągnięcie tego pododdziału na teren Mennicy, w czasie kiedy Niemcy szykowali się do odwrotu z Pragi i minowali wszystkie mosty w obrębie Warszawy, było zapewne dużym wyczynem i nie obyło się bez konkretnych obietnic łatwego i cennego łupu. Tymczasem rzeczywistość okazała się szara. W skarbcu, poza pewną ilością bilonu cynkowego, nie było naprawdę nic wartościowego. Bo jaką wartość miało kilka kilogramów srebrnych ażurów czy ogołocone ze złotych i srebrnych kopert mechanizmy zegarków, głównie kieszonkowych „cebul” i minimalnej liczby naręcznych? Dla fachowców – zegarmistrzów – „łup” taki byłby zapewne bezcenny, ale dla uciekających oddziałów, kilka kilometrów od zbliżającego się frontu, to byłby tylko zbędny balast. Taką właśnie ocenę przyjęli saperzy niemieccy i po godzinie penetracji zasadniczego pomieszczenia skarbcza, spakowali sprzęt i w ogromnym pośpiechu odjechali. Pośpiech był wskazany, gdyż od strony praskich przedmieść wyraźnie słyszalna była kanonada artyleryjska. Zbliżanie się frontu potwierdziły gorączkowe przygotowania kolumny samochodowej, zaplecza technicznego, amunicyjnego i paliwowego stacjonującej grupy operacyjnej. Od kilku dni wozy pancerne już nie dojeżdżały wieczorem na teren Mennicy i składów przy Dworcu Wileńskim. Jak twierdzili ci, którzy mieli odwagę zapuszczać się w okolice Bazaru Różyckiego i bocznic kolejowych dworców: Wschodniego i Wileńskiego w poszukiwaniu żywności i nie tylko, część wozów pancernych stacjonowała na terenie parku Praskiego, w pobliżu mostu Kierbedzia, inne – może także z różnych jednostek, wzdłuż ulicy Zielenieckiej, nieopodal parku

Paderewskiego. Widocznie liczone się z szybkim wkroczeniem Armii Czerwonej i Wojska Polskiego i chciano zapewne uratować potencjał bojowy przed ostatecznym wysadzeniem obu mostów drogowych na Wiśle. Pospieszna ewakuacja kolumny niemieckiej nastąpiła w dniu 9 września. Były to ponoć ostatnie chwile przed zniszczeniem mostów. Ale chwile grozy prawdziwej i fizycznie bliskiej przyszło przeżyć mieszkańcom Mennicy następnego dnia.

Był ciepły poranek, 11 września 1944 r. Cisza na całym fabrycznym terenie, trochę śmieci, jakieś skrzynki, rozsypana amunicja strzelecka, resztki rozlanego paliwa wskazywały na pośpiech, w jakim Niemcy opuszczali Mennicę. Odgłosy kanonady były coraz wyraźniejsze i budzące coraz większe nadzieje. Brak prądu nie pozwalał skorzystać z nasłuchu radiowego, ale nadzieje na rychłe oswobodzenie Pragi, a zaraz potem Warszawy, rosły z godziny na godzinę. We wczesnych godzinach przedpołudniowych dobiegły pilnie nasłuchujących mieszkańców potężne odgłosy wybuchów, wyraźnie jeszcze dalekie, ale wyjątkowo silne. Później dowiedzieliśmy się, że to wysadzono przedostatni most drogowy w Warszawie, czyli most Poniatowskiego. Ostatni most, czyli most Kierbedzia, zachowali Niemcy dla wycofujących się na zachód oddziałów wojskowych. Około godz. 11.00, na Markowskiej, przed bramą wjazdową zatrzymały się trzy samochody. Jeden terenowy volkswagen i dwie ciężarówki. Z terenówki wysiadło i podeszło do wejścia dwóch oficerów. Z pewnym zaskoczeniem spojrzeli na wiszące jeszcze tablice z hitlerowską „gapą” i napisem „Staatliche Münze”. Zażądali widzenia z kimś, kto sprawuje nadzór nad obiektem. Tym kimś był Kazimierz Kulbicki. Okazało się, że jest to grupa minerska z tak zwanego „Vernichtungskommando”, które później odegrało czołową rolę w paleniu i wysadzaniu w powietrze ocalałych po powstaniu domów w lewobrzeżnej Warszawie („Vernichtungskommando” można przetłumaczyć dosłownie jako „grupa niszcząca”, likwidacyjna). Formacja ta, to zorganizowana z pełną premedytacją grupa sapersko-minerska, w czasie totalnego odwrotu z frontu wschodniego. Zespoły takie istniały formalnie już na początku wojny, w latach 1940-1941, przy każdym prawie większym zgrupowaniu wojskowym – dywizji czy brygadzie. Cel powołania takich grup był jasny. W czasie ewentualnego odwrotu zostawić nieprzyjacielowi „spaloną ziemię”. Do tego dochodziła jeszcze eksterminacja ludności cywilnej i pośpieszny

934/41

24.XI.1941

Die Staatliche Münze teilt mit,
dass der Angestellte, Kulbicki Kezi-
mierz, Versicherungsweis Nr.110
44765, seit Oktober 1941 ein Gehalt
bezieht, das die festgesetzte Grenze
von 725,- Zł übersteigt.

Der oben Genannte will die
Beiträge zur Krankenversicherung
freiwillig weiter zahlen. Die Staat-
liche Münze wird weiter - wie bisher -
die Krankenversicherungsbeiträge ab-
ziehen.

Mennica Państwowa zawiadamia,
że pracownik unyszkowy, Kulbicki
Kazimierz, nr legitymacji ubezpiecz.
11044765, pobiera od października
1941r. pobory, które przekraczają
725,- zł.

Wyżej wymieniony chce nadal
dobrowolnie płacić składkę na ubez-
pieczenie chorobowe. Mennica Państ-
wowa potrącać będzie - jak dotych-
czas - składkę na ubezpieczenie
chorobowe.

An die
Sozialversicherungskasse
Sektion IV
in Warschau

LEITER
DE STAATLICHEN MÜNZEN
ET ALGÈMENES

J. D. [Signature]

[Zakaznik]

Wyst. p. 27.11.41

27.11.41

B e s c h e i n i g u n g
=====

Warschau, den 6.12. 1943.

über die Teilnahme an der Schulung der Werkluftschutz-Distriktsstelle im Generalgouvernement.

Herr Kulbicki Kazimierz

stellvertretender Werkluftschutzleiter des

Werkluftschutzbetriebes Staatl.Muenze, Warschau

hat an dem Lehrgang I p/Dez. 1943 teilgenommen.

Über die Geheimhaltungspflicht ist der Teilnehmer unterrichtet und hat mit seiner Unterschrift in der Anwesenheitsliste diese Pflicht anerkannt.



[Handwritten signature]
(Dr. Bicker)

Bürgermeister a.D.

Leiter der

Werkluftschutz-Distriktsstelle

Poświadczenie odbycia przez Kazimierza Kulbickiego szkolenia z zakresu ochrony przeciwlotniczej.
Ze zbiorów Mennicy Polskiej S.A.

rabunek tego, co było cenne np. dobra kultury i wszelki majątek trwały, mogący przynieść zwycięskiemu wrogowi jakiś pożytek.

Wiadomość przekazana mieszkańcom była przerażająca: *Macie pół godziny czasu na ewakuację z budynku mieszkalnego, możecie zabrać żywność i odzież.* Dalsza część tego potwornego komunikatu brzmiała, mówiąc w największym skrócie: *Fabryka zostanie zaminowana i wysadzona w powietrze, zgodnie z rozkazem dowódcy praskiego odcinka frontu.* Nogi ugięły się pod wszystkimi. A więc blisko pięć lat względnego bezpieczeństwa, pięć lat minimalnych strat w ludziach, czyli pracownikach i mieszkańcach, a teraz koniec z tym wszystkim. Znana była prawda o obozach zagłady, obozach pracy, wywózkach do Niemiec na roboty przymusowe i znane były doskonale fakty masowych egzekucji ulicznych. Co dalej? To pytanie w godzinie grozy stawiali sobie wszyscy. Nie było jednak czasu na rozmyślanie. W mieszkaniach pakowaliśmy w zupełnym oszołomieniu resztki żywności, jakieś suchary, trochę ciepłej odzieży, dzieciaki brały ulubione zabawki, starsi swoje leki i dokumenty. Wszystko przebiegało w ponurym milczeniu. Kazimierz Kulbicki, pamiętając wiele przypadków, kiedy to z Niemcami, nawet z tych wysokich szczebli wojskowych i cywilnych, udawało się coś wskórać przy pomocy łapówki, podjął ostrożne rozmowy z dowódcą grupy. Próbował pertraktować, ażeby pozostawić budynek mieszkalny, ponieważ on nie wchodzi w skład kompleksu fabrycznych zabudowań związanych z produkcją. Niemiec zdawał się rozumieć propozycję, ale nadal okrzykami wydawał polecenia żołnierzom roznoszącym skrzynki z materiałem wybuchowym i rozwiązującym ze szpul długie linie kabli elektrycznych. Przez kilka minut trwała narada części dorosłych mieszkańców, co mogą zaoferować. Biżuterii – poza ocalonymi ze względów czysto uczuciowych – nie miała już prawie żadna rodzina. Pieniądzy, tak zwanych „młynarek”, nie było sensu ofiarować, gdyż w tym czasie stanowiły one praktycznie już tylko makulaturę, za którą nic nie można było kupić. W końcu padło pytanie – kto z pracowników, głównie mieszkańców, ma jeszcze wypłacone na początku września 1939 r. pobory, które zostały wydane wprost z zasobu skarbcowego, nieprzekazanego w pierwszych dniach wojny do Banku Polskiego? Wypłata ta odbyła się za zgodą przedstawiciela Ministerstwa Skarbu, który miał za zadanie przygotować ewakuację złota z darów na FON wraz z rządem RP, udającym się przez Rumunię na emigrację. Pobory wypłacono

nowiutkimi monetami srebrnymi, które jeszcze ani minuty nie były w normalnym obiegu. Numizmatyk powiedziałby zgodnie z prawdą, iż były one w „stanie menniczym” – czyli idealnym. Część pracowników z powodu bieżących potrzeb stopniowo wydawała te pieniądze, ale kilka osób, w tym także mój ojciec, niemal całą tę wypłatę zachował – jak się to mówi – na „czarną godzinę”, tym bardziej, że było szkoda pozbywać się tego symbolu wolnej Polski, czyli jej oficjalnej waluty, zwłaszcza w tak pięknej wizualnie i nieskazitelnej formie. Pospieszna zbiórka wśród mieszkańców przyniosła plon, który mógł okazać się niewystarczającym, ale trzeba było zaryzykować. W rozmowie w cztery oczy oficer dowodzący grupą przekonywał K. Kulbickiego, że te niespełna sto monet dziesięciozłotowych z wizerunkiem Józefa Piłsudskiego, to trochę za mało dla niego w porównaniu z tym, czego mieli nie zrobić, ale odgłosy zbliżającego się frontu przyspieszyły decyzję i zakończyły pertraktacje. Około godz. 10.00 podoficer z grupy saperów zameldował, że ładunki zostały rozmieszczone i kable podłączone. Wszystkim mieszkańcom kazano opuścić teren fabryczny i przejść na drugą stronę ulicy Markowskiej do domów numer 15, 17 i 19. Obładowani plecakami, walizkami i tobołkami przeszli wszyscy na drugą stronę ulicy – mieszkańcy z dziećmi i mała grupa pracowników, którzy na czas powstańczych walk schowali się do fabryki, a później już nie mieli możliwości powrócić do domów. Zresztą byli przekonani – i słusznie – że w fabryce są bezpieczniejsi. Ciężarówki z saperami odjechały sprzed bramy i zaparkowały na Białostockiej, około stu metrów o skrzyżowania. Na terenie fabryki pozostało tylko dwóch ludzi. Oficer grupy minerskiej i Kazimierz Kulbicki, pełniący do tej chwili funkcję – nazwijmy to umownie – „komendanta obiektu”. Jak wynika z późniejszych relacji tego ostatniego, oficer niemiecki do ostatniej chwili wahał się z wyłączeniem budynku administracyjnego i mieszkalnego zarazem z sieci podłożonych i podłączonych ładunków. Jednakże uporczywa dyskusja i przekonywająca argumentacja wręczonej łapówki zdawały się przechylać szalę na korzyść zainteresowanych. W końcu Niemiec podjął decyzję. Najpierw odesłał K. Kulbickiego na drugą stronę ulicy, potem sprawdził, jak daleko na Białostockiej stoją ciężarówki z saperami, a następnie polecił czekającemu z urządzeniem zapłonowym podoficerowi podłączyć wyprowadzone na drugą stronę ulicy kable. Kable zostały założone na zacisku urządzenia zapłonowego, obydwaj żołnierze skryli się w bramie narożnego

zabudowania należącego do znanej firmy „BLOCK-BRUN S.A.” i podoficer wcisnął dźwignię zapalnika. Niezależnie od strachu i obaw o przyszłość, ciekawość kazała mieszkańcom wyjść jednak z podwórek przed bramy domów po drugiej stronie ulicy. W chwilę po uruchomieniu urządzenia zapłonowego jeszcze nie było słychać wybuchu, tylko widok był przerażający i zaskakujący jednocześnie. Widoczne doskonale budynki fabryczne Mennicy Państwowej uniosły się jakby w górę, a dopiero za ułamek sekundy dobiegł do nas łańcuch wybuchów i ogromna chmura szarego kurzu i czarnego dymu wzbila się w powietrze. Podmuchało powietrze „pchnęło” ciekawskich na podwórko, wybuch ogłuszył na tyle, że nie słychać było wypadających setek szyb w oknach domów, gdzie mieszkańcy Mennicy znaleźli schronienie. Nad Mennicą unosił się ogromny słup dymu, kurzu i pyłu, który bardzo powoli opadał na ziemię. Nie było widać jeszcze, co zostało z zabudowań fabrycznych. Oficer niemiecki dowodzący grupą podszedł do K. Kulbickiego zaraz po odesłaniu podwładnego z urządzeniem zapłonowym i powiedział krótko: *Umowa dotrzymana*. O prawdziwości tego stwierdzenia nie można było się przekonać, gdyż nad fabrycznym terenem wciąż stał słup dymu i zasłaniał go wolno opadający pył wapienny i ceglany. Niemiec nie czekał. Wsiadł do czekającego za rogiem na niego terenowego volskwagena i odjechał. Odjechali także saperzy w ciężarówkach stojących daleko w głębi Białostockiej. Daleko – bo jak się później okazało, było to celowe działanie dowódcy grupy, by nie mogli się przekonać naocznie, co i jak zostało zniszczone i czy to jest zgodne z rozkazem.

Powoli opadał kurz i pył, zniknął czarny dym, samoczynnie wygasł niewielki pożar resztek ropy naftowej w małym podręcznym magazynku przy odlewni. Równie powoli wyłaniał się obraz zniszczeń i... ocalałych fragmentów budynków. Głębokie westchnienie ulgi wywołał widok całego, nienaruszonego budynku administracyjno-mieszkalnego. Tylko gdzieś tam straszyły powyrywane okna lub powybijane podmuchem szyby. Obraz zniszczeń w tym budynku, w porównaniu ze stosem gruzów wydziałów produkcyjnych, nie był tak przygnębiający. Wszyscy mieszkańcy i pracownicy wrócili natychmiast do swoich mieszkań, biorąc się, mimo nasilającej się kanonady artyleryjskiej, za elementarne porządki. W gruzach były wydziały odlewni, walcowni, tłoczni, licznarni, galwanizerni oraz obróbki mechanicznej i ślusarni. Oprócz budynku administracyjno-mieszkalnego, ocalały jedynie

magazyny wzdłuż ulicy Markowskiej, portiernia i niewykończony budynek, mający w zamyśle być siedzibą grawerni i giserni. Reszta leżała w gruzach, których zwałowiska sięgały wysokości nieomal dziesięciu metrów. Jako ciekawostkę można dodać, że najpotężniejsze ładunki założono na wydziale tłoczni – to podstawowy wydział menniczy. Sam wydział, ze względu na ogromny ciężar maszyn tłoczących monety, mieścił się na wysokim parterze, nad pomieszczeniami skarbcza. Potężny żelbetowy strop tłoczni rozpadł się i załamał, wpadając wraz z automatami do części podziemnej, ale samo pomieszczenie skarbcza ocalało. Ta solidna betonowa budowla wytrzymała nalot bombowy we wrześniu 1939 r., wytrzymała też detonacje przy wysadzeniu Mennicy, również we wrześniu, tylko pięć lat później, bo w 1944 r.

Pierwszym zadaniem, po doprowadzeniu mieszkań do jako takiego porządku i oszacowaniu zniszczeń wewnątrz samych lokali, było odkopywanie spod gruzów studni artezyjskiej. Woda była niezbędna zarówno do celów spożywczych, jak i higieny osobistej. Baliśmy się bardzo, ażeby wybuchy pod budynkiem walcowni, nieopodał której było to ujęcie, nie uszkodziły podziemnej części studni. Ogarnęła nas ogromna radość, kiedy spod ponad trzymetrowej warstwy cegieł, bełek, tynku, płataniny przewodów elektrycznych i gazowych, udało się zaczerpnąć pierwsze wiaderko wody. Woda, chociaż zanieczyszczona pyłem wapiennym i ceglanym, smakowała jak nektar. Wkrótce odkopano przejście do studni, tworząc coś w rodzaju „wąwozu” prowadzącego pomiędzy zburzonymi budynkami. Ze studni tej korzystano jeszcze przez wiele miesięcy – aż do czasu, gdy po wyzwoleniu Warszawy lewobrzeżnej pokazała się woda w kranach, pochodząca z wodociągów miejskich. Zresztą trzeba dodać, że mennicza studnia artezyjska, jak również podobne ujęcie na terenie Monopolu Warszawskiego, zostały czasowo włączone do sieci wodociągowej Pragi.

Publikowany tekst jest fragmentem książki przygotowywanej do druku przez Mennicę Polską S.A.



Fundacja
HEREDITAS

Fundacja Hereditas ustanowiona została w listopadzie 2006 r. Celem Fundacji jest dążenie do kulturowego, cywilizacyjnego i społecznego rozwoju kraju. Szczególnym obszarem działań Fundacji jest ochrona kulturowego dziedzictwa. W ramach działalności statutowej realizujemy projekty edukacyjne, wydawnicze, promujące polskie dziedzictwo. Część naszych działań jest skierowana na bezpośrednią opiekę nad dobrami kultury (ochrona i konserwacja obiektów zabytkowych).

Fundacja Hereditas jest organizacją pożytku publicznego. Działalność statutowa Fundacji prowadzona jest na rzecz ogółu społeczeństwa.

Organizacja jest członkiem Związku Stowarzyszeń Praskich.

*Fundacja Hereditas
ul. Jaworzyńska 8 lok. 2
00-634 Warszawa
tel. 022 353 83 30
www.fundacja-hereditas.pl*

Szczególny nacisk w odkrywaniu tajnych kart historii należy położyć na pierwsze miesiące funkcjonowania warszawskiej Pragi po wkroczeniu Armii Czerwonej. To właśnie na Pradze, zajętej przez „sojuszników naszych sojuszników”, zainstalowano marionetkowe władze „Polski Ludowej” i jego agendy. To tu początkowo mieściły się złowrogie Urzędy Bezpieczeństwa z ich kazamatami (...), tu instalowane były struktury sowieckie – NKWD i jego areszty. Praga – szczególnie w jej centralnej części – usiana jest miejscami, które obficie spłynęły krwią polskich patriotów. Nie wszystkie z tych miejsc są znane Warszawiakom, nawet choćby mieszkańcom Pragi...

Leszek Żebrowski

Trzy autentyczne historie może choć w części przybliżyć czytelnikom prawdę o Pradze i jej historii. Bo Praga to nie tylko „cwaniaczki” z bazaru i dworców, ale wielu wspaniałych ludzi, którzy tu żyli, pracowali i kształcili się. Nie zawiedli, gdy potrzebowała ich Ojczyzna i za swą postawę płacili często cenę najwyższą. W trudnych latach okupacji wrodzony spryt, odwaga, a często także humor, pomagały im żyć i przetrwać. Nie zabrakło chłopaków z Pragi na barykadach powstania warszawskiego i na wszystkich niemal frontach Europy.

Mieczysław Wojdyga
Prezes Towarzystwa Przyjaciół Pragi